

# Zemsta

Margit Sandemo

Książka XI z Saga o Ludziach Lodu



calibre 0.9.27



# ZEMSTA

## SAGA O LUDZIACH LODU

Tom XI

1

### ROZDZIAŁ I

Przez pierwsze pół roku po powrocie z Tobronn Villemo była nieszczęśliwa, i to nieszczęśliwa przez duże N. Obnosiła skupioną, obojętną na wszystko twarz, jaką niekiedy widuje się u ludzi, którzy chcieliby powiedzieć światu: „Patrzcie, jak ja cierpię!”

Nikt nie cierpiał głębiej i bardziej beznadziejnie niż ona.

Ale rację miał chyba jednak Niklas twierdząc, że wierna miłość do zmarłego Eldara Svanskogen była zdecydowanie bardziej wynikiem uporu niż potrzeby serca. Tylko że do tego Villemo nigdy by się nie przyznała, nawet przed samą sobą. Jakby nosiła największe w świecie klapki na oczach. A złośliwe plotki, że Eldar był ojcem kilkorga dzieci w okolicy, a nawet że z tego powodu zamordował jedną z owych nieszczęsnych dziewcząt, nie, któż mógł uwierzyć w coś takiego? Villemo dokonywała starannego wyboru wspomnień o swoim ukochanym. Wszystko co nieprzyjemne wyrzuciła z pamięci. Zachowała jedynie owe nader rzadkie przypadki, gdy cokolwiek wskazywało, że także w jego duszy istnieje łagodność, że w ogóle żywi on jakieś ludzkie uczucia i jest nadzieja na poprawę. W jej wspomnieniach Eldar był upadłym aniołem. A piękną scenę śmierci, gdy wyznał jej długo ukrywaną miłość, przeżywała wciąż i wciąż od nowa.

I chociaż nigdy nie wymieniała imienia Eldara - to był jej święty skarb, należał wyłącznie do niej - Kaleb i Gabriella z trudem znosili stan jej ducha. Nie chcieli, by córka traktowała ich z wyrozumiałym, pełnym wyższości uśmiechem, dając do zrozumienia, że nie są w stanie zrozumieć, co czuje, ani by trwała pogrążona w smutnych wspomnieniach, z wyrazem tęsknoty w oczach, przy lada okazji wypełniających się łzami. Chcieli odzyskać swoją zdrową, pełną radości życia, nieco szaloną Villemo, którą tak dobrze znali i tak bardzo kochali.

Poza tym jednak była miła i posłuszna jak nigdy przedtem. A w stosunku do owych nieszczęsnych istot, które oboje z Eldarem odkryli w piwnicy w Tobronn, przejawiała niezwykłą wprost łagodność. Wszyscy oni, cała ósemka upośledzonych, czuli się znakomicie i ze swej strony pomagali jak umieli w Grastensholm, Elistrand i w Lipowej Alei.

Oczywiście, stwarzali wiele problemów, szczególnie Mattiasowi, który uważał, że żadne z nich nie powinno mieć potomstwa, ale jak można temu zapobiec, nie kontrolując ich prywatnego życia? Na razie nic alarmującego się nie stało i wszyscy żyli bezpieczni, chronieni przed światem zewnętrznym, jego szyderstwami i niechęcią, a nawet nienawiścią.

Przeciętny człowiek tak bowiem został stworzony, że na to, co odmienne, często reaguje gniewem i nienawiścią. Ponieważ lęka się tego, czego nie rozumie, bywa agresywny.

Ośmioro podopiecznych Villemo miało się dobrze, pozwolono im żyć w spokoju. Z początku co prawda szeptano w okolicy, że Ludzie Lodu znaleźli sobie tanią siłę roboczą, ale kiedy ludzie poznali historię tych biedaków, gadanie ucichło.

Swoich bolesnych problemów jednak owa ósemka rozwiązywać nie była w stanie. Gdy zatem któreś z nich dręczyły złe sny o Tobronn lub nawiedzały wspomnienia ciemnej piwnicy 2

i bicza albo dręczył strach, czy nie trzeba będzie tam wrócić, posyłano po Villemo.

Spieszyła, pełna zrozumienia, i pocieszała.

Pod tym względem była nieoceniona, ważniejsza nawet niż Mattias i Niklas, których wszyscy kochali i do których przychodzili ze swoimi prawdziwymi bądź urojonymi cierpieniami. Ale tylko Villemo wiedziała, ona jedna była świadkiem ich nędzy i upokorzenia w Tobronn.

Kaleb martwił się poważnie. Raz po raz ktoś ze służby przychodził z informacją, że wokół

Elistrand dzieją się jakieś dziwne rzeczy. Wyglądało na to, że dwór jest obserwowany.

Widywano jakieś tajemnicze postacie, umykające w popłochu, gdy ktoś się zbliżał.

Domownicy byli wypytywani przez nieznajomych o Villemo: gdzie się znajduje, dlaczego nie wychodzi z domu i podobne sprawy.

O Villemo!

Kaleb pytał córkę, co to może znaczyć, lecz ona niczego nie pojmowała. Nigdy się bowiem nie dowiedziała, kim byli owi czterej jeźdźcy, którzy zamordowali Eldara Svartskog.

Przypuszczała, że zginął w walce jako powstaniec. Nie słyszała przysięg starego Wollera, że odnajdzie pannę z Elistrand. Jego syn, jego jedyny syn Mons został zabity przez Eldara i Villemo. To mogło zostać pomszczone tylko w jeden sposób. Eldara dostali... ale ona żyje.

Nie, Villemo nie domyślała się nawet, dlaczego Elistrand mogłoby być obserwowane, dlaczego jacyś ludzie dopytywali się o nią.

- Cóż ty masz za tajemniczych wielbicieli, Villemo? - śmiała się Gabriella.

W takich razach twarz córki znowu przybierała wyraz przygnębienia i bezgranicznej rozpacz. Villemo bez słowa odchodziła do swego pokoju, gdzie na łóżku wciąż jeszcze nie było żadnej inskrypcji. „Tu sypia najszczęśliwszy człowiek na świecie!” Jak mogła być taka głupia, żeby wymyślić coś podobnego! Nie, propozycja Dominika: „Miłość ponad wszystko”, była zdecydowanie najlepsza. Nie mogła się jednak zmusić, by kazać to wyryć.

Kiedy nadeszło lato, Kalebowi było tak serdecznie przykro z powodu jej nieutulonej, lecz jego zdaniem trochę dziecinnej udręki, że zmuszał ją, by wychodziła z domu.

- Stara matka Sigbritt nie może już opuszczać izby. Zanosimy jej co parę dni mleko i coś do jedzenia. Czy mogłabyś się tym zająć, Villemo?

Córka stłumiła bolesne westchnienie, ale obiecała, że weźmie na siebie ten obowiązek.

Bo tak naprawdę, to była ogromna przyjemność wyjść na dwór, rozkoszować się wspaniałym latem. Tylko nie chciała się do tego przyznać. Skoro ma cierpieć, to ma, i już!

Podczas czwartej wyprawy przytrafiło jej się coś dziwnego.

3

Był gorący dzień w samym środku lata. Villemo, zamyślona, wracała od starej. Szła wolno przez las, pusta bańka po mleku obijała się o jej nogi, a wysoka trawa łaskotała bosc stopy.

Na skraju ścieżki błękitnofioletowe wyki pięły się ku światłu, a dalej, w leśnym mroku, bladoczerwone dzwonki połyskiwały nieśmiało na tle czarnej ziemi.

W tym pięknym otoczeniu Villemo czuła się bardziej samotna niż kiedykolwiek. Ten, z którym pragnęła dzielić życie i wszelkie radości, odszedł, już go nie miała. Spoczywał w zimnym grobie na równinie Romerike, daleko od niej.

Ścieżka zrobiła się teraz węższa, drzewa rosły gęściej po obu stronach.

Nagle przystanęła. Wyraźnie słyszała tętent kopyt. I zaraz za jej plecami pojawił się w dzikim galopie jakiś jeździec, cały w czerni, na wielkim, ciężkim koniu, najwyraźniej nie mając zamiaru zatrzymać się ani zwolnić.

Przez okamgnienie Villemo stała jak ogłuszona. Czy on mnie nie widzi? przeleciało jej przez głowę.

Ależ tak, widział ją! Twarz miał przesłoniętą gałganem, tylko oczy błyszczały spod kapelusza, i te oczy patrzyły wprost na nią ze strasznym, najzupełniej świadomym zamiarem. Gnał wahającego się konia naprzód, tam gdzie stała...

Villemo ocknęła się z przerażenia i błyskawicznie rzuciła się przed siebie. Wiedziała jednak, że ścieżka nieprędko zrobi się szersza. Wtedy będzie już za późno. Poczwała na plecach gorąco końskiego oddechu i skoczyła w bok, w gęstwinię kolczastych, splątanych gałęzi. Z

zamkniętymi oczyma starała się uciec jak najdalej od dróżki. Ręce, nogi, nawet uszy podrapane miała do krwi, ale wkrótce uświadomiła sobie, że koń stanął. Jeździec zaplątał

się we własne sieci - nie mógł zawrócić na wąskiej ścieżynie ani tym bardziej konno gonić przez las uciekającej Villemo.

Ona zresztą była już daleko. Przedzierała się przez zarośla, łamiąc mniejsze gałązki. Nie wiedziała, dokąd zmierza, bo nie mogła mieć oczu otwartych dłużej niż przez kilka sekund.

Wciąż się o coś potykała, poranione stopy spływały krwią, wyglądało jednak na to, że jeździec dał za wygraną. Sprawiał wrażenie tak rosnącego i barczystego, że nie byłby w stanie przedostać się przez ten pierwotny gąszcz.

Ze zmęczenia oddech Villemo zrobił się świszczący. Pełzała na czworakach pomiędzy wielkimi kamieniami i przez płataninę krzewów, a gdy tylko mogła, zrywała się i biegła jak szalona, potykała się, padała, wstawiała i znowu biegła.

Nagle pojaśniało. Przed nią, nawet niezbyt daleko, leżało Grastensholm.

Zebrała się na odwagę i pospiesznie spojrzała za siebie, na łąkę, tam gdzie jej prześladowca powinien był wyjechać z lasu, ale nikogo nie dostrzegła.

4

Zmęczona, podrapana i zakrwawiona, z włosami w nieładzie, pełnymi igliwia i połamanymi gałązek, powlokła się do Grastensholm. Przystanęła w hallu, by odetchnąć i doprowadzić się jakoś do porządku.

Nikt, zdaje się, nie widział, jak wchodziła, co mimo przerażenia sprawiło jej jednak przykrość, bo równie dramatycznego entree nigdy jeszcze nie miała.

Wkrótce z dużego salonu doszły ją wzburzone głosy. Najwyraźniej nikt nie miał czasu dla obcych, domownicy zajęci byli własnymi zmartwieniami.

Stała, nie wiedząc, co począć, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie, z salonu wypadła zalana łzami Irmelin i nie zwracając uwagi na Villemo, wbiegła po schodach na górę.

To bardzo niezwykła sytuacja, by w Grastensholm ktoś mówił podniesionym głosem. Mattias i Hilda byli bardzo spokojnymi ludźmi. Villemo ostrożnie wsunęła się do salonu, w którym teraz panowała kompletna cisza.

Zobaczyła Niklasa. Twarz mu płonęła, zaciskał wargi z wyrazem dziwnego uporu.

Gdy weszła, powitało ją milczenie.

- Proszę mi wybaczyć, jeśli przychodzę nie w porę...

W pokoju byli też Mattias i Hilda, oboje próbowali się opanować.

- Villemo, kochanie, jak ty wyglądasz? - zawołał Mattias na jej widok. - Przydarzyło ci się coś złego?

Villemo uznała, że to nie jest odpowiednia pora na zajmowanie się sobą. Wyglądało na to, że oni mają większe problemy.

- Nie, nic takiego. Po prostu potknęłam się na zboczach i wpadłam w zarośla. Ale dlaczego wszyscy

jesteście tacy zdenerwowani? Stało się coś?

Rodzice Irmelin spoglądali po sobie.

- Równie dobrze możesz dowiedzieć się wszystkiego od razu, w końcu prędzej czy później i tak to wyjdzie na jaw - powiedział Mattias, a jego zazwyczaj pełne życzliwości oczy spoglądały na nią ze smutkiem. - Niklas poprosił właśnie o rękę Irmelin. A my musieliśmy, niestety, odmówić.

Myśli kłębiły się bezładnie w głowie Villemo.

- Irmelin i Niklas? Mieli zamiar... się pobrać? Nie wiedziałam, że oni...

5

- Nie - przerwał jej Niklas gniewnie. - Ty z pewnością nie zauważyłaś niczego. Oczywiście, że nie! Znadto jesteś zajęta własną osobą. Tylko że my od wielu lat jesteśmy sobie bliscy i o tym powinnaś była wiedzieć.

- Ja... ja... - jąkała zawstydzona.

- Villemo miała własne zmartwienia - powiedziała Hilda, chcąc załagodzić sytuację.

- Tak, naturalnie, swoich zmartwień nie ukrywała przed nikim - syknął Niklas.

Uznała, że nie powinna się obrażać. Niklas miał rację.

- Ale dlaczego rodzice nie pozwalają wam się pobrać?

Mattias westchnął.

- Nie wolno im. Ze względu na złe dziedzictwo. Są zbyt blisko spokrewnieni.

- Ja tak nie uważam - powiedziała Villemo.

- Owszem, to prawda - upierał się Mattias. - Ja wiem, że kiedyś mój ojciec stał w tym samym miejscu, co Niklas dzisiaj. Mój ojciec chciał się ożenić z Sunnivą, córką Sol. Tengel wpadł we wściekłość, tak potem wszyscy opowiadali. Ale było za późno, oni musieli się pobrać. Potem Sunniva urodziła dziecko obciążone złym dziedzictwem, Kolgrima, i sama umarła przy porodzie.

- Czy oni nie byli bliżej spokrewnieni niż Irmelin i Niklas?

- Tak, o jedno pokolenie. Poza tym Tarald i Sunniva byli bardziej obciążeni dziedzictwem. On był wnukiem Tengela, ona córką Sol. Ale mimo wszystko, Villemo! Nie powinniśmy się godzić!

- To bardzo niesprawiedliwe! - zawołała Villemo. - Oni tak do siebie pasują!

- Tarald i Sunniva też do siebie pasowali, a skończyło się tak okropnie. Nie, musimy odmówić, i to

stanowczo, niezależnie od tego, jak bardzo lubimy Niklasa.

Jakaż ona była ślepa! Ile rzeczy powinno było zwrócić jej uwagę! Już wtedy, dawno, dawno temu, kiedy prosiła Niklasa, by ją pocałował na próbę. Już wtedy powinna była odgadnąć, do kogo należy jego serce.

Zazdrość? Czy odczuwała teraz zazdrość? Nie, nic a nic. Nigdy nie była zainteresowana Niklasem. Uważała, że jest to niezwykle przystojny młody człowiek, ale niech Bóg broni, by żywiła do niego jakieś cieplejsze uczucia. Był jej kuzynem, bliskim krewnym, był jej bratem i przyjacielem z dzieciństwa.

6

- Jestem pewien, że twoi rodzice będą tego samego zdania - rzekł Mattias do Niklasa udreńczonym głosem. - Porozmawiamy z nimi i zobaczymy.

Niklas stał, zgnębiony i zdenerwowany, i wpatrywał się w podłogę.

- Czy mogę pójść na górę, do Irmelin?

Rodzice Irmelin zawahali się.

- Idź - zgodził się w końcu Mattias. - Myślę, że możesz iść. - Ale... nie postępuj pochopnie, Niklas!

Chłopiec skinął głową, zaciskając mocno wargi, i wyszedł z pokoju.

Mattias przetarł ręką czoło. I on, i Hilda wyglądali na bardzo wzburzonych.

- No, to teraz ty, Villemo - powiedział nieobecny duchem. - Nie wyglądasz najlepiej. Możemy popatrzeć na twoje skaleczenia?

- Nie, nic mi nie będzie - odparła. - Powinnam się po prostu umyć, ale to mogę zrobić w domu. Gdybym się jednak mogła trochę ogarnąć, zanim mnie mama zobaczy...

- Tak, oczywiście, chodź ze mną - powiedziała Hilda swoim zwykłym, przyjaznym głosem, lecz także jej myśli błądziły daleko.

Ten dzień odmienił Villemo pod wieloma względami. Stała się zamyślona i przyciszona, wzdrygała się przestraszona, gdy rodzicom udało się wyrwać ją z zadumy przy stole czy wieczorem, kiedy wszyscy troje siedzieli w salonie.

Villemo weszła w bardzo pożyteczny okres zastanawiania się nad sobą. W końcu, po kilku tygodniach, usiadła w swoim pokoju i napisała list. List do Dominika.

Drogi kuzynie!

Będziesz zapewne zdumiony listem ode mnie, nigdy przedtem nic takiego się przecież nie zdarzyło.



Chodzi o to, że czuję się taka zagubiona, a nie mam nikogo, z kim mogłabym porozmawiać.

Tyle się dzieje wokół mnie, a ja sama doznaję uczucia, jakbym się znalazła w jakiejś ogromnej pustej przestrzeni, gdzie nic nie jest rzeczywiste. Poza tym boję się czegoś, czego nie rozumiem, a nie mogę o tym rozmawiać z rodzicami. Już wystarczająco dużo zmartwień im przysporzyłam.

Trzymaliśmy się przecież kiedyś razem, my, równi sobie wiekiem. A zwłaszcza Ty, ja i Niklas, my o kocich oczach. Chociaż Ty zawsze drażniłeś się ze mną, czuję się z Wami najlepiej.

Teraz wszystko się rozpadło. Irmelin i Niklas chcą się pobrać, Ich rodzice im nie pozwalają 7

ze względu na złe dziedzictwo. Oboje są tym zrozpaczeni i dość mają własnych kłopotów, więc ja znalazłam się na uboczu. Lena także wybiera się za mąż, jak pewnie wiesz, za Orjana Stege. Ślub wyznaczony został na koniec lata i wszyscy jesteśmy proszeni na wesele. Zatem i Lena zajęta jest swoimi sprawami. A Tirtan, jak mówią, zrobił się ostatnio jakiś dziwny, tak że i do niego nie mam odwagi napisać. Mam tylko Ciebie, Dominiku, i proszę Cię, bądź tak dobry i potraktuj mnie poważnie, nie zniosłabym, gdybyś sobie ze mnie żartował właśnie teraz.

Jest tak, jakbym się budziła z długiego snu. Uff, jaka ja byłam okropna! Użałam się sama nad sobą, to chyba najwłaściwsze określenie, a przecież nie miałam ku temu żadnych powodów. Widzę to dopiero teraz, kiedy zetknęłam się z czymś zupełnie niezrozumiałym.

Dominiku, parę tygodni temu zostałam napadnięta. W lesie, przez jakiegoś jeźdźca w czerni.

Próbował mnie stratować, nie pojmuję dlaczego, nigdy przedtem go nie widziałam. Tym razem udało mi się uciec, ale przerażyło mnie to bardziej, niż początkowo sądziłam. Teraz zupełnie straciłam równowagę duchową. A już przed tym zdarzeniem nasz dwór był

obserwowany i jacyś ludzie wypytywali naszych służących o mnie! Koniec końców, boję się własnego cienia i nie mam odwagi wyjść za próg. Nigdy więcej nie odważę się pójść na skróty drogą przez las!

A z drugiej strony wydaje mi się to głupie. Czego ja się boję? Śmierci? Ja, która nie mam już po co żyć i nikomu nie sprawiam radości.

Och, Dominiku, tak strasznie ciężko jest być samotnym! Mam na myśli samotność duszy.

Oczywiście, powinnam była wyjść na spotkanie mojemu losowi tamtym razem, kiedy spotkałam żadnego krwi jeźdźca. Ale ja nie chcę być stratowana, to brzmi tak niegodnie, tak nieludzko!

Samobójstwo uważam jednak za wykluczone. Myślę, że takim postępkem przyczynia się swoim bliskim jeszcze więcej bólu niż jeśli, jak ja, dręczy się ich psychiczną izolacją.

Wiesz, tego dnia kiedy E. (Villemo nie mogła się przemóc, by napisać pełne imię) umarł, wtedy wydarzyło się coś dziwnego. My troje, Niklas, Ty i ja, zawsze zastanawialiśmy się, co dla każdego z nas oznaczają te nasze żółte oczy. I ja, nieszczęsna istota, nigdy nie mogłam doszukać się przyczyny, dla której mam takie oczy. Zawsze było wiadomo, że my dwaj zostaliście obdarzeni rzadkimi

zdolnościami, ale ja? I wtedy, gdy on był już konający, błagał

mnie z całej duszy, bym wraz z nim przekroczyła granicę krainy cieni. Pokusa była niezwykle silna, sądziłam bowiem, że oto dopała się także i moje życie. Nagle jednak doznałam po raz pierwszy objawienia, miałam wizję czy jak to nazwać. Przeżycie było tak silne, że aż trudne do zniesienia. Ogarnęła mnie jakaś niezłomna pewność, że Ty, ja i Niklas musimy żyć dalej.

Że zostaliśmy wybrani do czegoś tak okropnego, że dech mi zapierało. Co to takiego, nie mogłam pojąć, tyle tylko że mój przyjaciel E. jest w to w jakiś sposób zamieszany.

Miałeś kiedyś podobne przeczucie? Ty, który możesz dostrzec, co naprawdę kryje się w sercach ludzi? Podejrzewam, że ja właśnie dlatego tak się Ciebie boję i chyba dlatego pomiędzy Tobą a mną istnieje to napięcie, które znajduje ujście w drażniących, niemal 8

agresywnych sprzeczkach. Zawsze sobie wyobrażam, że Ty wiesz o mnie wszystko, czuję się wtedy taka śmieszna i dziecinna, sama nie wiem jaka.

Czy naprawdę jestem beznadziejna, Dominiku? Myślę tylko o sobie, nie zwracam uwagi na innych? Uważam, że niezupełnie tak jest. Moje serce krwawi z powodu Irmelin i Niklasa, którzy nie mogą się połączyć. Cały wczorajszy wieczór przepłakałam nad ich losem. A ci upośledzeni, którzy mieszkają u nas? Przecież im współczuję, rozumiem ich dolę. Mimo wszystko moje życie nie daje mi zadowolenia. Mama i ojciec są dla mnie tacy dobrzy, mają tyle cierpliwości. Ja sama nigdy nie miałam cierpliwości. Wciąż pragnęłam przeżywać coś wielkiego, zawsze patrzyłam w przyszłość. A teraz wszystko jakby się skończyło. Tyle już przeżyłam, tylko dlaczego te przeżycia musiały zawsze być złe?

Och, napisałam okropnie pesymistyczny list, w którym znowu zajmuję się tylko sobą, ale czegoż innego mogłabym się spodziewać przy tych zmiennych nastrojach, w jakie wciąż popadam. Bądź tak dobry, Dominiku, i odpisz mi. Opowiedz mi o swoim świecie, o swoim życiu, o wszystkich, którzy są Ci drodzy! Myślę, że to by mi wiele spraw ułatwiło.

Oddana Ci Villemo

Przybijając pieczęć pod listem, zawahała się na moment. Poczwała wielką ochotę, by dodać:

„Tylko nie chcę nic słyszeć o żadnych przyjaciółkach ani ewentualnych planach małżeńskich”.

Powstrzymała się jednak. Prywatne życie Dominika nie powinno jej obchodzić, była już i tak wystarczająco wielką egoistką, nie mogła na dodatek żądać od innych, by nie wiązali się z nikim. Pospiesznie zapieczętowała list i wyprawiła go w drogę, zanim zacznie żałować, że go napisała.

W sierpniu Villemo zrobiła nareszcie to, o czym myślała już od dawna. Poszła do Svartskogen, uważała bowiem, iż jest jej obowiązkiem opowiedzieć rodzinie o ostatnich dniach życia Eldara.

Przestraszyła się widząc, jak niewielu z tej rodziny zostało. Żyli rodzice Eldara i jego najmłodsze rodzeństwo, ale w ogóle bardzo się w domu przeredziło. Gdy zapytała, co się stało, z resztą krewnych, usłyszała w odpowiedzi, że ulegli nieszczęśliwym wypadkom, jedno po drugim, gdy byli

sami w lesie albo w stołecznym mieście. Villemo miała jednak wrażenie, że starzy coś przed nią ukrywają.

Trudno powiedzieć, że spotkała się tu z serdecznym przyjęciem, ale też niczego takiego nie oczekiwała. Rodzice Eldara milczeli nachmurzeni, częstowali ją podplomykami z kwaśną śmietaną, lecz nie kryli, że czynią tak wyłącznie z obowiązku.

Bardziej niż kiedykolwiek niepewnie Villemo wyjąkała:

- Chciałam przyjść do was już dawno temu. Żeby z wami porozmawiać...

9

- Nie wiem, czy mamy o czym... - mruknęła gospodyni.

- O Eldarze - mówiła dalej Villemo, nie dając się zbić z tropu. - Ostatnie miesiące spędziliśmy przecież razem w tym samym dworze.

Stary tylko sapał bez słowa. Nie mieli pojęcia o uprzejmości, jaką powinni okazać w tej sytuacji.

- Eldar był wspaniałym człowiekiem - powiedziała Villemo ze smutkiem. - Możecie być z niego dumni.

- No pewnie - rzekła matka cierpko.

Młodsze dzieci siedziały na ławie pod ścianą i nie spuszczały z niej oczu. Tamtego chłopca, z którym rozmawiała w Lipowej Alei, nie było. Zginął w Chrystianii, dowiedziała się. Został

zadźgany w jakimś ciasnym zaułku.

- Eldar był jednym z najbardziej zaufanych ludzi powstańców - ciągnęła Villemo niestrudzenie. - I padł na posterunku. Oddał życie za swój kraj.

Po krótkiej, niezręcznej pauzie stary rzekł z wolna:

- Co on tam miał do roboty? Mógł się lepiej zająć gospodarstwem. Teraz mamy tylko tych małych, którzy mogą nas zastąpić.

- Widzę - szepnęła Villemo ze współczuciem. - A co z Gudrun?

Zaległa dręcząca cisza. Matka Eldara, która wyrabiała właśnie ciasto na chleb, cisnęła je teraz na ławę.

- Gudrun nie żyje - oświadczyła krótko.

- Nie, co też mówicie, matko? Jak to się stało?

Stary zaśmiał się gorzko:

- Swoją chorobę ona sama na siebie sprowadziła.

- Takich haniebnych chorób w naszym domu wspominać się nie godzi - wtrąciła matka ostro.

Villemo z trudem przełykała jedzenie. Tak bardzo było jej żal tych ludzi, którzy utracili tylu bliskich.

- Eldar był wspaniałym człowiekiem - zaczęła znowu. - Miał w sobie wiele dobrego.

Zamierzaliśmy się pobrać.

10

Oboje starzy zastygli w bezruchu. Po chwili matka ponownie zajęła się ciastem.

- Proszę nie mówić głupstw, panienko.

- Naprawdę mieliśmy taki zamiar.

- Czy on... zbliżył się do pani, panienko Villemo?

- Eldar? - uśmiechnęła się. - Nie. Zawsze zachowywał się wobec mnie z wielkim szacunkiem.

Tak, tym sposobem udało jej się przedstawić ostatnie wydarzenia w różowych kolorach.

Stary wstał.

- Nie powinna była panienka ciągnąć go na takie zatracenie - powiedział głosem drżącym od powstrzymanego wzburzenia. - Najpierw to powstanie. A potem tak mu zawrócić w głowie, że zapomniał, gdzie jest jego miejsce.

- Ja? - wykrztusiła, ledwo mogąc głos z siebie wydobyć wobec takiej niesprawiedliwości. -

Przecież ja z powstaniem nie miałam nic wspólnego, był w sprzysiężeniu na długo przede mną. A to drugie.... Nie, temu nikt nie winien. Kochaliśmy się bardzo. Dlatego myślę, że teraz należę do Svartskogen. W jakiś sposób... I gdybym mogła coś dla was zrobić, to proszę mi powiedzieć.

- Nie, dziękujemy - powiedział komornik zimno. - Wystarczy tego, co już zostało zrobione.

Ale powinnaś zapytać gospodarza z Grastensholm, dlaczego nic nie robi, żeby bronić swoich komorników, kiedy ich rodziny giną jak muchy.

- No, nie wiem - bąknęła Villemo zbita z tropu. - Co można poradzić na nieszczęśliwe wypadki? Trzeba się mieć na baczności. I być ostrożniejszym.

- Mieć na baczności! - prychnął stary. - Ty niczego nie rozumiesz, ani odrobiny! Możesz sobie myśleć, co chcesz, nic mnie to nie obchodzi.

Wstał i wyszedł z izby.

Villemo stwierdziła, że nie mają już dla niej szacunku. Nie potraktowali jej jak synową. Widzą w niej pannę z dobrego domu, która zadała się z prostym chłopakiem, a to jest niewybaczalne. Dlatego jest gorsza od nich, mogą patrzeć na nią z góry.

Nie pozostawało jej nic innego, jak tylko podziękować i wrócić do siebie z uczuciem, że dzisiaj wykonała naprawdę ciężką pracę.

Po drodze do domu dosłownie w ostatniej sekundzie dostrzegła przy leśnej ścieżce na wpół ukryty sznur. Przywiązany do przygiętego drzewa na zboczu, tworzył niemal niewidoczne 11

sidła na grubszego zwierza. Villemo rozwiązała supeł. Sznur był tak napięty, że drzewo wyprostowało się z trzaskiem.

- O mój Boże - szepnęła do siebie. - Czy teraz zastawia się już sidła na drogach? Ktoś mógł przecież w nie wpaść i zrobić sobie krzywdę!

Że też tego nie zauważyłam idąc do Svartskogen, myślała. Mogło być ze mną źle!

Ale dłużej się już nad tym nie zastanawiała i nie przeczuwając nic złego, ruszyła dalej do domu. Las się skończył i w dole przed nią widoczna była cała parafia Grastensholm.

Villemo doznała uczucia nieskończonej pustki. Co mi teraz pozostało? myślała. Marzenie o mężczyźnie, który nigdy do mnie nie należał. Dlaczego tak rozpaczliwie staram się zachować wspomnienie o nim?

Bo nie mam nikogo innego, oto smutna prawda. A dziewczyna w moim wieku powinna chyba mieć o kim myśleć.

Jednak Eldar...? Jego postać rozpływała się i bladła we wspomnieniach Villemo. A zamiast niego pojawiał się...

Nie, cóż za głupstwa!

Villemo znowu ruszyła przed siebie. Chciała porozmawiać z Irmelin. Teraz obie miały tyle wspólnego, a poza tym już dawno nie widziała przyjaciółki.

Skierowała więc kroki ku staremu, bezpiecznemu, choć może niezbyt pięknemu domowi w Grastensholm.

Irmelin przyjęła ją obojętnie, jakby nieobecna duchem.

- Ach, to ty, Villemo? Gdzie się podziewałaś? Nie widziałam cię w kościele ostatniej niedzieli.

To prawda, Villemo zawsze znalazła jakąś wymówkę, nawet najbardziej nieprawdopodobną, by uniknąć siedzenia w kościele i ziewania.

- Chodźmy na górę, do mojego pokoju - mówiła dalej Irmelin. - Właśnie zaniiosłam tam trochę pszennej placka, żeby się pocieszyć w mojej samotności.

Pokój Irmelin w najmniejszym nawet stopniu nie przypominał jej własnej izdebki. Był jaśniejszy i jakby bardziej dziewczęcy. Usiadły obie na parapecie okna.

- Masz do mnie jakiś interes? - zapytała Irmelin.

- Nie, chciałam tylko porozmawiać. Obie przeżywamy teraz trudne chwile.

Irmelin westchnęła.

- Tak. Sądzę, że moje życie jest skończone.

- Moje także - przytaknęła Villemo.

Ale czy tak było naprawdę? Czyż nie budziły się w niej marzenia o przyszłości, chociaż nie chciała przyjmować tego do wiadomości?

- W każdym razie jeśli chodzi o miłość - dodała.

- Tak. Czasami mam ochotę skończyć ze wszystkim.

- Ależ nie wolno ci tego zrobić! - zawołała Villemo gorąco. - Ja też tak myślałam, kiedy Eldar umarł, ale nie możemy naszym rodzicom zadawać takiego bólu. Oni mają tylko nas.

- Tak, wiem. I tylko ta myśl mnie powstrzymuje.

Przez chwilę siedziały w milczeniu. Potem Villemo powiedziała:

- Och, Irmelin, jak ja ciebie rozumiem!

Przyjaciółka zareagowała gwałtownie.

- Czasami chciałabym, żebyśmy zrobili tak jak Tarald i Sunniva. Wtedy musieliby się zgodzić na nasze małżeństwo.

- Nigdy tego nie zrobiliście? - zapytała Villemo krojąc sobie jednocześnie spory kawałek pszennej

placka. Temat rozmowy nie był już taki tragiczny, zaczęły mówić o bardziej podniecających sprawach, mogła więc pozwolić sobie na swobodniejsze zachowanie.

- Nie, no co ty, oszalałaś? - zawołała Irmelin, lecz usta jej zadrżały. - Ale nie raz mało brakowało - dodała szeptem.

- Eldar bardzo tego chciał - wyznała Villemo. - Przez cały czas. Ale ja byłam uparta. Teraz się z tego cieszę.

- Czy on cię kiedyś pocałował? - szepnęła Irmelin.

Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu Villemo nie umiała sobie przypomnieć. O wstydzie, jak można nie pamiętać czegoś takiego?

- Oczywiście - odparła z ociąganiem. - Ale powinnaś była słyszeć, co on mówił tuż przed śmiercią. Wszystkie te piękne słowa. Och, to było takie cudowne, po prostu boskie!

Irmelin jednak nie była zainteresowana tak uduchowionymi wyznaniem.

- Odczuwałaś coś szczególnego, kiedy on był przy tobie?

- Wtedy, gdy umierał?

- Nie, nie. Kiedy brał cię w ramiona.

W pamięci Villemo pojawiła się nagle dobrze znajoma twarz, która nie miała nic wspólnego z tym, o czym mówiły. Szelmowskie, połyskujące żółtym blaskiem oczy, czarne rzęsy, czarne włosy...

- Co? Aha, kiedy on...

Twarcz nie zniknęła i powodowała zamęt w jej myślach.

Jak miała pamiętać, co czuła w ramionach Eldara? To było już tak dawno temu.

Zgiń, głupia gębo! Chcę myśleć o Eldarze!

- Nic, nie mogłabym powiedzieć, żeby coś szczególnego - rzekła z wolna. - Ale wiem, co masz na myśli. Bo rzeczywiście czułam coś niezwykłego, gdy raz siedzieliśmy blisko siebie.

I...

- Tak, co chciałaś powiedzieć?

Nie, nie mogła chyba powiedzieć, że na samą myśl o pewnym młodzieńcu, który wcale nie jest Eldarem, czuje, że drżą jej kolana.

- Nic. A ty coś czułaś?

Irmelin spoglądała rozmarzona przed siebie.

- Kiedy Niklas mnie obejmował. I kiedy przytulał swój policzek do mojego. I kiedy czułam jego ciało przy swoim...

- Tak? - zapytała Villemo, która bardzo chciała się dowiedzieć, co się wtedy przeżywa.

- Wtedy wiedziałam, że gdyby on zamierzał posunąć się dalej, to nie miałabym siły go powstrzymać.

Villemo ogarnęła jakaś dziwna tęsknota. Pragnęła także przeżywać coś takiego.

- A więc niekiedy było już blisko?

- Och, tak. Któregoś dnia było już tak blisko, że... Nie, nie chcę o tym opowiadać. To są dla mnie święte wspomnienia.

- Rozumiem. Nie, tak daleko ja z Eldarem nie zaszłam. Nie mogłam, wiesz...

Z twarzy kuzynki wyczytała, że Irmelin nigdy Eldara nie lubiła. Dziwne, ale nie sprawiało jej to już przykrości. Dawniej wpadała w złość, gdy tylko ktoś się na niego skrzywił.

Czyżby jej miłość zaczynała umierać? Czy aż tak jest niestała?

- Napisałam list do Dominika - powiedziała ni stąd, ni zowąd.

- O Eldarze? - zapytała przyjaciółka zdumiona.

- Nie, coś ty!

- Ale dlaczego, na Boga, pisałaś do niego? Przecież ciągle się kłócicie.

Villemo była wdzięczna za ten pretekst, którego mogła się uchwycić.

- Tak, no i właśnie dlatego napisałam. Żeby położyć kres tym wiecznym kłótniom i przekomarzaniom. Ale on nie odpowiedział - dodała ze smutkiem.

- No pewnie! I nie myślę, że to zrobi. On ma własne życie. Może nawet już się ożenił, taki przystojny.

Jakby ktoś wbił sztylet w serce Villemo. Ożenił się? Dominik? O, dolo nieszczęsna!

- Pewnie coś byśmy o tym wiedzieli - jęknęła płacziwie.

- To nie takie pewne - ciągnęła bezlitosna Irmelin.



- Poczta działa okropnie.

Ta odpowiedź była kolejnym ciosem, ale też i pewną pociechą. Skoro poczta się opóźnia, mogła jeszcze mieć nadzieję na odpowiedź Dominika.

Irmelin mówiła w zamyśleniu:

- Niklas, Dominik i ty. Ja zawsze byłam poza waszą trójką. Och, jak ja marzyłam, żeby też mieć takie żółte oczy! Żeby być jedną z was. Ale ja zaliczałam się tylko do zwykłych śmiertelników.

Villemo nigdy tak na te sprawy nie patrzyła. Gdy jednak teraz zobaczyła wszystko od strony Irmelin, poczuła się nieskończenie dumna, że należy do wybranych.

- Zastanawiam się, co to oznacza - mówiła dalej Irmelin. - Niklas bardzo się tym przejmuje.

On twierdzi, że te wasze oczy mają coś wspólnego z ciężącym na rodzinie przekleństwem.

- Oczywiście, że ma! - wykrzyknęła Villemo. - Tylko my nie jesteśmy źli.

- Wcale tego nie powiedziałam. Niklas twierdzi...

- Co takiego?

- Nie wolno mi tego powiedzieć.

Villemo chwyciła ją za rękę.

- Ja mam prawo wiedzieć. Dręczy mnie ta sama niepewność, co jego.

Irmelin rzuciła tęskne spojrzenie na pustą tacę, gdzie przedtem leżał pszenny placek. Gość w ferworze rozmowy zjadł wszystko.

- Niklas uważa, że Tarjei i Kolgrim wiedzieli coś ważnego.

- O nas? Oni przecież umarli na długo przed naszym urodzeniem.

- Nie, mam na myśli przekleństwo.

- No, to oczywiste, że wiedzieli. Wszyscy są przekonani, że tamci dwaj natrafili na jakiś ważny ślad.

- Tak, ale Niklas badał tę sprawę. Uważa, że oni znaleźli coś na strychu. Tutaj w Grastensholm.

- O tym także słyszałam.

16

- Nikt jednak nie wie, co to było. Zresztą od tamtego czasu nikt też nie szukał. Chodźmy tam, Villemo!

- Na strych?

- Nie rób takiej miny! Boisz się ciemności?

Villemo rzeczywiście się bała, ale nigdy w życiu nie przyznałaby się do tego.

- Głupstwo! Chodź, pójdziemy!

Mroczne schody na strych przerażały ją. W dzieciństwie nigdy nie wolno było jej tam wchodzić, dlatego zawsze bała się tego miejsca. Strych w Grastensholm to był mistyczny, okropny świat, gdzie panowały duchy i wszelkie możliwe trolle.

Przez cały czas, odkąd zaczęły tę rozmowę o tak bardzo intymnych sprawach, zastanawiała się, czy powinna powiedzieć Irmelin o tamtym wieczorze, kiedy całowała się z Niklasem. Ale to przecież było tylko na próbę, bez żadnych uczuć. Postanowiła nie mówić. Irmelin byłoby przykro i w ogóle jaki by to miało sens?

Irmelin uchyliła skrzypiące drzwi na strych. Przed Villemo otwierał się powoli jakiś nieznany świat.

Kilka małych szczelin w dachu nie dawało wystarczająco dużo światła.

- A niech to - szepnęła. - Kryjówek i kątów wystarczyłoby tu dla całej drużyny duchów.

Przyjaciółka była nieco bardziej prozaiczna.

- W każdym razie kurzu jest tu pod dostatkiem.

Chodź, poszukajmy!

Czy na tych krzyżujących się belkach nie siedzą jakieś zaczarowane koty? A w tamtej starej szafie na ubranie, pod dłuższą ścianą, czy nie ukrywają się tam upiorne szkielety? Czy nocami meble nie skradają się w jakimś tajemniczym rytuale, nie zamieniają się miejscami, nie ukrywają okropnych straszydeł, które w dzień pojawiają się na opuszczonych miejscach?

- Irmelin, myślę, że nie powinniśmy...

- No, Villemo, nie sądziłam, że z ciebie taki tchórz!

To są przecież tylko stare rzeczy rodziny Meidenów, których używali i które kochali, a część z nich zrobili własnymi rękami.

17

- Dziwnie jakoś o tym mówisz. Robili, kochali, używali, czy tak mogło być? Ale jeśli spojrzeć na sprawę w ten sposób, wszystko wydaje się mniej groźne.

- Prawda? Jak myślisz, od czego zaczniemy poszukiwania? Może każda będzie szukać na swojej

połowie?

Villemo uważała jednak, że to nie jest najlepszy pomysł. Szukały więc razem.

- Jakiś stary gorset nie ukrywa pewnie tajemnic Ludzi Lodu! - zawołała Villemo. - Ani ten garnek, wypełniony woskiem. A co ty znalazłaś?

- Starą poduszkę. I jasełkową maskę. Nie, tu nic chyba nie ma. Chodźmy do drugiego kąta.

Już tam prawie doszły, gdy Villemo znowu chwyciła Irmelin za rękę.

- Wiesz, mam wrażenie, że nie jesteśmy tutaj same.

- Co za głupstwa! Chodź!

- Nie, nie możemy iść dalej. To coś, co tu jest, sprzeciwia się.

Irmelin patrzyła na nią badawczo. Twarz Villemo zrobiła się okropnie blada w przytłumionym świetle.

- Co z tobą, Villemo?

Ona wciąż trzymała kuzynkę za rękę i ciągnęła ją ostrożnie w tył, z powrotem na środek strychu.

- Teraz nic nie ma. Tu możemy poruszać się swobodnie.

Spłoszone patrzyły w stronę tamtego kąta. W półmroku dostrzegały stół i duży fotel przykryty jakąś narzutą.

- Uff, nie życzę sobie, żeby w Grastensholm straszycie - jęknęła Irmelin. - Co ty tam widziałaś?

- To nie duchy - rzekła Villemo niepewnie. - To jakaś siła. Jak wichura, ogień, burza i miłość, sama nie wiem co. To nie jest zła siła, Irmelin. To tylko ostrzeżenie.

Mówiły teraz szeptem.

- W takim razie jak Tarjei i Kolgrim mogli się tutaj swobodnie poruszać? I na dodatek odkryć, co to jest?

18

- Nie wiem. Może siła przygasła i to oni obudzili ją znowu do życia? Albo może my nie jesteśmy odpowiednimi osobami.

- W takim razie Tarjei i Kolgrim także nie byli, skoro obaj musieli umrzeć.

- Może ta siła nie chce, żebyśmy my umarły?

- Na pewno odnosi się to do ciebie, Villemo. Jesteś pewna, że to nie jest zła moc?

Villemo starała się znowu coś odczuć, ale znajdowały się teraz poza zasięgiem oddziaływania tej tajemniczej siły, a nie miała najmniejszej ochoty tam wracać.

- Nie wiem. Odniosłam jednak wrażenie... Jestem tego pewna, że kryje się za tym jakaś osoba.

- O Boże! Nie myślisz chyba, że...?

- Nie, to nie był ten, o którym myślisz, ten, którego imienia nie wolno nam wymawiać. Ale chodźmy stąd. Zimny dreszcz przebiega mi po plecach.

Zeszły na dół. Kiedy zamknęły już za sobą drzwi i powróciły do świata ludzi, Villemo szepnęła:

- Nie, istniała w rodzie tylko jedna istota, która może powracać. To nie było nic złego. To było stanowcze, ale przyjazne ostrzeżenie.

- Sol? - zapytała Irmelin cicho, gdy znowu znalazły się na korytarzu.

- Tak. A ona, jak wiesz, nigdy się nie ukazuje. Ona tylko pomaga.

- Owszem, wiem. Czy sądzisz, że powinnam porozmawiać o tym z mamą i ojcem?

- Tylko jeśli zajdzie taka potrzeba. Myślę, że można spokojnie wchodzić na strych i nic się nikomu nie stanie. My przecież szukaliśmy czegoś specjalnego.

- Tajemnicy związanej z przekleństwem Ludzi Lodu. Nie, jeśli Tarjei i Kolgrim nie mogli tego znaleźć, to nie znajdziemy i my.

Irmelin przyglądała się jednak przyjaciółce ukradkiem. Villemo przyniosła zapewne na świat więcej niezwykłych darów, niż rodzina dotychczas przypuszczała. Więcej niż sama się spodziewała.

Gdy znowu znalazły się w jej pokoju, zapytała:

- Villemo, czy myślisz, że to by było straszne, gdyby pozwolić?

19

- Co takiego? - zapytała, nie rozumiejąc przez chwilę, o co chodzi.

- No, wiesz. To, o czym rozmawialiśmy przedtem. O miłości.

Villemo stwierdziła nagle, że nie ma nic do powiedzenia. Nigdy nie doznała tak silnych uczuć jak te, którymi owładnięci byli Niklas i Irmelin. W każdym razie jeszcze nie. A ponieważ Eldar umarł, to jest mało prawdopodobne, że kiedyś staną się one i jej udziałem.

- Och, Irmelin - powiedziała ze współczuciem. - Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Wiem tylko, że

całym sercem jestem z wami!

Maska spokoju spadła z twarzy kuzynki. Irmelin oparła głowę na ramieniu przyjaciółki i długo, boleśnie płakała.

Nadszedł październik. Mijał właśnie rok od tamtej pory, gdy Villemo spotkała Eldara i zakochała się. Z niewiarygodnym uporem pielęgnowała pamięć o nim i była całkowicie przekonana, że będzie podtrzymywać płomień tej miłości, nawet jeśli on od czasu do czasu chwieje się niepewnie i przygasa.

Od Dominika wciąż nie było odpowiedzi. Czowała się zdradzona, zapomniana przez świat i żałowała, że wysłała ten list.

Niklas zrobił się szorstki i zamknięty w sobie, trudno było z nim rozmawiać. Irmelin została na pewien czas wysłana do Danii, do Gabrielshus. Żeby oboje z Niklasem mogli zapomnieć lub zacząć myśleć inaczej.

Pogrążona w ponurych myślach Villemo wyszła, żeby się przejść. Tej jesieni początek października nie był tak piękny jak przed rokiem. Szara mgła otulała szczyty wzgórz, a pola były rozmiękłe po deszczu.

Jak to czyniło wielu innych członków rodu Ludzi Lodu, kiedy czuli się niepewnie lub przeraźliwie samotni, Villemo poszła na cmentarz, by z bliskości swoich przodków zaczerpnąć trochę siły. Była to może pogańska skłonność, lecz pomagała odzyskać spokój.

Tak uważała nie tylko Villemo, inni w rodzinie też byli tego pewni.

Tym razem skierowała się do najstarszego grobu, do tych, których nigdy nie знаła.

- Tengel Dobry - odczytywała szeptem. - I Silje Arngrimsdatter...

Silje. Wszyscy wyrażają się o niej z największym szacunkiem. Praprababka Villemo. Wprost brak odpowiednio pięknych słów dla niej i dla Tengela.

- Jaka szkoda, że was nie znałam - szepnęła.

Ciekawe, kim będą moi potomkowie? Czy powiedzą: „Villemo, a kto to taki?” czy może:

„Och, ta gęś, która niczego w życiu nie potrafiła dokonać. Sprowadziła tylko mnóstwo 20

nieszczęść na innych. Zresztą umarła jako dziewica, wiedzieliście o tym? Straciła jedyne go mężczyznę, którego kochała. A poza tym w ogóle nie chciała wychodzić za mąż, żeby nie przekazywać dalej złego dziedzictwa.”

Znowu była na najlepszej drodze, by zacząć się użalać nad sobą. Pospiesznie przesunęła wzrok na imię Sol. Sol Angelica, legendarna czarownica, którą wszyscy kochali!

Nie... nie! Czarownicą też nie będę. Nie, absolutnie nie!

Przygnębiona, w pełnej niechęci zadumie nad własnym losem opuściła cmentarz. Seans był skończony; zaczerpnęła tu dość siły, by wlec się dalej przez życie.

Minęła Grastensholm, przeszła obok Lipowej Alei i poszła w stronę lasu. Villemo znajdowała się w stanie psychicznym trudnym do określenia - smutna, niezadowolona z siebie, nie była w stanie jasno myśleć, przepływała jakoś przez życie, jakby nic ją z otoczeniem nie łączyło, nawet rozmawiać z nikim nie chciała. W takim nastroju błędziła po okolicy, aż zatrzymała się nad rzeką.

Rzadko tu przychodziła. Rzeka płynęła w głębi lasu, spory kawałek od wsi.

Teraz, gdy się nad tym zastanowiła, stwierdziła, że szum rzeki zagłusza różne dźwięki, które, nie zdając sobie z tego sprawy, słyszała przez całą drogę. Coś jakby przytłumione strzały z bicia, szelesty w ociekających deszczem zaroślach, a poza tym wszystko, co zazwyczaj słyszy się w lesie, tylko tym razem dużo bardziej intensywne.

To deszcz, pomyślała, rzucając za siebie ukradkowe spojrzenie. Czy raczej deszczówka.

Gałęzie sosen są ciężkie od spływającej wody. Zwierzęta hałasują tu i tam, naprawiając szkody w swoich kryjówkach, uschłe gałązki trzaskają pod ciężarem deszczowych kropeł.

Znowu odwróciła się ku rzece. O Boże, znalazłam się w pobliżu Głębi Marty, pomyślała. Tak, to dokładnie tu.

Bezwiednie poszła ku brzegowi, jakby powodowana jakimś nakazem, by spojrzeć w dół.

Była tu już kiedyś, wiele lat temu, zanim jeszcze Marta rzuciła się w rzeczną toń. Potem trochę się bała tego miejsca.

Nurt wrzynał się głęboko w ląd. Ledwie dostrzegała to tu, to tam migotliwy połysk wody.

Wszystko przesłaniała wysoka, podmyta skarpa, gęsto porośnięta drzewami. A do samej krawędzi nie chciała się zbliżyć, mogło być stromo.

Tam... w spienionej wodzie, dudniącej niczym w kotle czarownicy... Tam była Głębia Marty.

Villemo stała teraz dokładnie nad nią. Nie dostrzegała wody, przesłoniętej wysoczyzną podmytego brzegu. Wyraźnie widoczna ścieżka wiodła z lasu właśnie do miejsca, gdzie teraz stała Villemo. I...

21

Skuliła się jak od uderzenia. Nad wodą wzniesiono niewielki drewniany krzyż, ktoś posadził przy nim kwiatki.

Villemo poczuła skurcz w gardle. Kto przychodzi tu z takim oddaniem odwiedzać miejsce śmierci biednej Marty?

Ona sama nie pamiętała tej dziewczyny, spokojnej i nieśmiałej, znacznie starszej od jedenastoletniej wówczas Villemo, prawie dorosłej. Przestraszone oczy, skromne ubranie, zawsze skrępowana. Urodzona ofiara uwodzicielskich sztuczek. Takie właśnie dziewczęta najczęściej wplątują się w nieszczęścia - spragnione ludzkiej przyjaźni i miłości. Nie umieją powiedzieć nie.

Atak spadł na Villemo tak niespodziewanie, że kiedy poczuła uderzenie w plecy, nie od razu zorientowała się, co się dzieje. Instynktownie zamachała rękami, lecz upadkowi zapobiec nie mogła. Usłyszała swój własny, przeciągły krzyk, czy raczej wycie, i widziała, jak w wielkim pędzie zbliża się ku niej wzburzona, hucząca toń.

Tak jak Marta, przemknęło jej przez głowę. Ona też musiała tak to odczuwać.

Otchłań.

22

### **ROZDZIAŁ III**

Od tamtego czasu, kiedy Marta została zepchnięta z wysokiego brzegu, w zagajniku nad wodą wyrosły drzewa. Nie było ich wiele, kilka brzóz i sosen, pochylonych nad urwiskiem, ale Villemo zaczepiła się o taką właśnie brzozkę nieco poniżej zarośniętego trawą uskoku.

Instynktownie ręce jej chwyciły drzewko i zacisnęły się rozpaczliwie.

Brzozka wygięła się pod nieoczekiwanym ciężarem, skrzywnęła przeciągle, lecz się nie złamała. Minęło nie więcej niż kilka sekund od momentu zadania ciosu, który zepchnął

Villemo w otchłań. Leżała teraz wzdłuż pnia na brzuchu i usiłowała zachować równowagę, za jedyną podporę mając brzozkę grubości własnej ręki. Głęboko, głęboko w dole dostrzegła kipiącą, spienioną niczym w kotle czarownicy wodę.

Świat przed oczami wirował, ramiona bolały okropnie. Starła się za wszelką ceną utrzymać równowagę. Była jak sparaliżowana ze strachu. Nogami oplotła wąty pień, a dużym palcem nogi wyczuwała ziemię, z której wyrastała brzoza. Odważyła się zerknąć tam kątem oka.

Zobaczyła pionową, wielowarstwową ścianę, lecz także coś więcej - wąską półkę, na której rosła ta właśnie brzozka, na którą spadła, i jakaś nieduża sosna.

Gdyby mogła wolno, wolniutko podpełznąć do tyłu i w górę...

Jak, na Boga, miałyby tego dokonać? Już i tak przecież zsuwa się powoli w dół po pniu brzozy, czy może raczej w górę, jeśli weźmie się pod uwagę naturalną pozycję drzewa.

O, dobry Boże, błagała w duszy. Daj mi siły! Uchroń mnie przed paniką!

Najpierw spróbowała zmienić położenie jednej ręki, uchwycić drzewo bliżej siebie, potem to samo z drugą ręką, ostrożnie, ostrożnie, tak by całe ciało przesunąć lekko w tył...

Brzoza drgnęła, Villemo zakołysała się i znowu mocno przytrzymała się drzewa rękami i nogami. Dobrze wiedziała, co jej grozi. Jeżeli straci równowagę, to może nawet nie spadnie od razu w kipieli, ale zawiśnie na rękach. A wtedy brzoza może się złamać. Jeśli nie, to jak długo zdoła wytrwać w tej pozycji? I jak długo to cienkie drzewko wytrzyma?

Najgorsze jednak było to, że przecież nikomu nie przyjdzie do głowy, by tu jej szukać. Nikt nie wie dokąd poszła.

Nieskończenie wolno, panując nad każdym drgnieniem, przesuwała się do tyłu, lekko pod górę, aż musiała ugiąć kolana. Wtedy jeszcze mocniej zacisnęła dłonie i zaczęła odsuwać nogi w tył.

Stopy dotknęły małego występu. Musiała znaleźć jakieś oparcie...

Nie, nie było tam niczego, o co mogłaby oprzeć nogi i tym sposobem dostać się „na ląd”.

Zauważyła jednak, że gdy przesuwała się w stronę zbocza, brzoźka uniosła się nieco w górę.

23

Jeszcze raz przybliżyła ręce do ciała. Wtedy jednak drzewo wydało z siebie ostrzegawcze skrzypnięcie i zakołysało się tak, że Villemo zamarła. Przez całą wieczność nie miała odwagi się ruszyć. Minuty zdawały się skapywać niczym gęsty sok, wypływający ze skaleczonej brzozy.

Kipieli huczała w dole, dudnienie rozsadzało jej uszy, łomotało w głowie, jakby nigdy nie słyszała nic prócz tego piekielnego huku. Rozpryskująca się piana przemoczyła jej ubranie do suchej nitki. A może to pot? Nie umiałaby powiedzieć. Wiedziała tylko, że serce wali jej tak mocno, iż chyba na zawsze pozostaną na nim ślady tych przeżyć.

Na zawsze? Naprawdę widziała świat w różowych barwach! Jak, na Boga, zamierza się stąd wydostać? Kiedykolwiek? Nawet jeśli wbrew wszystkiemu udałoby jej się znaleźć na tej wąskiej półce, to jak stamtąd wyjdzie na górę?

Nareszcie Villemo zdała sobie sprawę z rozpaczliwej powagi swego położenia. I wtedy wydała z siebie rozdzierający krzyk. Krzyczała i krzyczała, wzywała pomocy, choć wiedziała, że tak daleko od ludzi nikt jej nie usłyszy.

Nikt, z wyjątkiem może jednego człowieka. On jednak nie powinien był niczego słyszeć, bo wtedy mógł wrócić, by dopełnić swego dzieła. Byłaby to dla niego, czy dla niej, najprostsza rzecz pod słońcem: poruszyć brzozę jakimś kijem. Nie trzeba niczego więcej, by Villemo ostatecznie straciła równowagę.

Wiedziała o tym, lecz już co najmniej godzinę trwała tak, uczepiona brzozy. Czas przestał zresztą dla niej istnieć, mogły to być minuty lub setki lat, nie potrafiła ocenić.



Mięśnie bolały potwornie, nie odważyła się jednak choćby drgnąć. Mimo wszystko miała teraz lepsze oparcie. Obydwoma dużymi palcami nóg dotykała stałego gruntu, nie mogła tylko stwierdzić, jak dalece stałego. Wbijała powoli palce w ziemię i błagała Boga, by piasek nie zaczął się usuwać.

Jedynym ratunkiem było wołanie o pomoc, jakkolwiek beznadziejne mogło się to wydawać.

Sama nic więcej zrobić nie mogła. Kolejna, bardzo ostrożna próba przesunięcia się spowodowała nowe ostrzegawcze skrzypnięcie. Lepiej nie przeciążać za bardzo swojej jedynej podpory.

W lesie zaczynało zmierzchać, dzień miał się ku końcowi. Wtedy Villemo uświadomiła sobie, że leży tak już od wielu godzin. Co będzie, jeśli nie zdoła dłużej walczyć z sennością?

Ponownie wydała z siebie przeciągłe, umęczone wołanie.

W górze nad jej głową coś zaszeleściło. Widocznie zdążyła się już na tyle przyzwyczać do huku rzeki, że była w stanie rozróżniać także inne dźwięki.

O Boże, a jeśli to on, czy ona, sprawca jej nieszczęścia? Villemo zamilkła natychmiast.

24

Przez chwilę panowała cisza, ale potem dał się słyszeć głos:

- Marta?

Nie mogła rozpoznać głosu poprzez dudnienie rzeki, lecz ktoś tam na górze krzyczał głośno i był bardzo wzburzony.

- Nie, nie jestem Martą! - krzyknęła rozpaczliwie w odpowiedzi. - Ja jestem Villemo! Pomóż mi, proszę, już nie mogę dłużej!

Znowu krótka chwila ciszy.

- O, Panie Jezu! Niech panienka wytrzyma jeszcze trochę! Zaraz sprowadzę pomoc.

Nie widziała niczego. Niczego, oprócz budzących grozę skał i zmaconej wody pod sobą. Nie odważyła się podnieść głowy na tyle, by spojrzeć na stromy brzeg nad swoją głową.

Widziała tylko dolną część urwiska. A ta nie wyglądała szczególnie zachęcająco.

Płynęły minuty. Dla Villemo każda z nich była wiecznością. Mięśnie zaczynały jej drzeć od długotrwałego straszliwego wysiłku.

I nagle, gdy już myślała, że ta blada iskierka nadziei, jaką żywiła, jest tylko chimera, wyobrażeniem jej spragnionego pociechy mózgu, ponownie usłyszała głosy. Tym razem dwa. Męski i kobiecy.

- Panno Villemo! Czy panienka nas słyszy?

- Słyszę - jęknęła.

- Przynieśliśmy linę! - wołał głos męski. - Przywiążę ją do drzewa i zejdem do panienki tam na dół.

- Tylko ostrożnie - zdołała wykrztusić.

- Dobrze. Żona będzie pilnować liny na górze.

To był głos prostego człowieka, lecz Villemo pokochała go od pierwszej chwili. Nigdy nie słyszała słodszych brzmienia, miłszych słów!

Czas ciągnął się niczym gęsty klej. Słyszała, jak ludzie rozmawiają na górze, słyszała, że coś robią. Ramiona bolały ją tak, jakby je ktoś od wewnątrz przypalał żywym ogniem. Miała skurcze w nogach, zresztą już od dawna, dawniej niż była w stanie pamiętać. Czy naprawdę istniał jeszcze dla niej czas? Jakieś życie, zanim tu zawisła głową w dół nad tym wrzącym nurtem w otchłani?

Pień brzozy i małe gałązki wbijały jej się w skórę, miała wrażenie, że kaleczą ciało do kości.

25

Znad jej głowy zaczynały spadać grudki ziemi.

Mężczyzna schodził do niej.

Boże, modliła się Villemo. Uratuj go, nie pozwól mu spaść, bo to by była moja wina. Tego bym nie zniosła. Już raz przyczyniłam się do śmierci człowieka i nigdy tego nie zapomnę.

Dobry Boże, wiem, że nie za często zwracałam się do ciebie, wiem, że to tchórzostwo modlić się teraz, kiedy nie mogę sama sobie poradzić, ale przynajmniej tyle mogę zrobić, że przyznaję się do tego. Bądź tak dobry i policz mi to! Teraz błagam cię, byś pozwolił temu człowiekowi uratować życie. i, jeśli taka jest twoja wola, pozwól także mnie zobaczyć jeszcze ziemię, trawę, las, niebo i mój ukochany dom! Pozwól mi powiedzieć moim drogim, kochanym rodzicom, jak bardzo są mi bliscy! Pozwól mi okazać im dobroć, nie przysporzyć im jeszcze jednego zmartwienia! Pozwól mi zrobić jeszcze w życiu coś pożytecznego.

Niewiele tego było dotychczas. Niewiele też powiedziała moim bliskim dobrych słów. Och, tyle bym im chciała powiedzieć! Dobry Boże, pomóż mi ze względu na nich!

Coś przesunęło się w dole przed jej oczyma. Najpierw drgnęła, myśląc, że to wąż, ale potem spostrzegła koniec liny. Była jak sklecona lina, z kosmykami konopi sterczącymi na wszystkie strony, na końcu owiązana sznurkiem.

Mój Boże, to ma mnie utrzymać, pomyślała śmiertelnie przerażona.

Zanim zdążyła zapytać, czy ma złapać koniec liny, mężczyzna zawołał:

- Nie dotykaj tego! Leż spokojnie!

Wyczuwała, że udało mu się oprzeć stopę na wąskim występie. Potem do kobiety na górze krzyknął coś, czego nie rozumiała.

- Bądź ostrożny - upomniała znowu Villemo. - Nie spadnij! Ja sama ledwo się trzymam, więc...

- Widzę - odparł drżącym głosem.

Villemo była pełna podziwu dla jego odwagi.

- Teraz owiążę panienkę tą liną...

Jak, na Boga, on zamierza tego dokonać? pomyślała. Nie dosięgnie tak daleko, a ja w żaden sposób nie mogę mu pomóc.

Po kilku chwilach okropnie denerwującej szamotaniny także on uznał, że to niemożliwe.

- Owiąż liną moje kostki - powiedziała Villemo.

Zastanawiał się przez chwilę.

26

- I mam podciągnąć panienkę w górę za nogi?

- To nic nie szkodzi. Wiszę już od tak dawna, że całkiem zeszywniałam. Jeżeli tylko lina jest wystarczająco mocna. ...

- Tak, myślę, że powinno się nam udać. Ale jeśli lina zsunie się mimo wszystko?

Na myśl o tym ogarnęła ją fala mdłości. Nie wolno mi zemdleć, myślała zgnębiona.

- Mogę chyba poruszać stopami. I palcami.

Zdawało jej się, że mężczyzna roześmiał się. Jakimś spazmatycznym śmiechem. Wahał się długo.

- Panienko, myślę, że to jedyna możliwość. Ale czy mogę coś powiedzieć?

- Tak?

- Ta brzoza zniosła już dużo. Jeden mały ruch i...

- Wiem. Kocham to drzewko.

- Rozumiem.

W trakcie tej rozmowy, prowadzonej na tyle głośno, by przekrzyczeć huk wody, bardzo ostrożnie owinał sznurem jej kostki, a potem wiązał i wiązał na olbrzymi, sztywny i niezgrabny supeł.

- Mamy tylko jedną linę - powiedział.- A ja nie zdołam się utrzymać na tej półce bez pomocy.

Musimy podciągnąć się w górę jednocześnie.

Na tej linie?

- Czy lina wytrzyma?

- Musimy prosić Boga, panienko - odparł z powagą.

- Ale wasza żona... Ona nie ma dość siły, żeby wyciągnąć nas oboje.

- Prosiłem, żeby sprowadziła sąsiadów.

- Więc tam na górze nikogo nie ma?

- Teraz nie. Musimy poczekać.

Villemo jęknęła cicho. Ale sprawy nie wyglądały już tak ponuro. Została mocno przywiązana do zewnętrznego świata i miała towarzystwo.

27

- A jak wy sami się przywiązaliście? - zawołała. - Nic stąd nie widzę.

- Umocowałem linę pod pachami, tak że nic mi nie grozi. Przywiązałem się do drugiego końca, można powiedzieć, kawałek dalej niż panienska.

- Dziękuję, że zrobiliście dla mnie to wszystko! Myślę, że wiecie, ile dla mnie znaczy wasza obecność.

- Tak, chyba rozumiem - odpowiedział. Zapadła cisza. Czekali.

- Czy wy jesteście... ojcem Marty? - krzyknęła po chwili Villemo w stronę rzecznej głębiny.

- Tak.

Nie powiedział nic więcej. Mówić, że mogłaby znaleźć się na miejscu jego córki, byłoby przesadą. I zadawaniem niepotrzebnego bólu.

Meł długo jakieś słowa, a potem zapytał:

- Czy panienska... zrobiła to z własnej woli?

- Niech mnie Bóg broni! Nie!

- Ach, tak?

Najwyraźniej czekał na jakieś wyjaśnienie, lecz ona nie wiedziała, co powiedzieć. I wtedy usłyszeli głosy.

- Przyszli - oświadczył komomik z wyraźną ulgą.

Wiele głosów coś do nich krzyczało. A potem, dzięki Bogu, zakołysał się nad nimi koniec drugiej liny. Villemo odetchnęła.

Teraz jednak dawało o sobie znać długotrwałe napięcie mięśni i nerwów. Gdy ojciec Marty usiłował zamocować również tę drugą linę, całe ciało Villemo drżało z niecierpliwości. Pień i gałęzie brzozy wpijały się jej w skórę tak boleśnie, że bała się, iż nigdy w przyszłości nie pozbędzie się odcisków.

W przyszłości?

Jeszcze ciągle nie była na górze.

Znowu otworzyła oczy, Znowu przeniknął ją zimny dreszcz - od serca po koniuszki palców, od stóp do głów - na widok tej mamiącej, wciągającej głębi.

28

Opanowała gwałtowną chęć, by krzyczeć w panice, wymiotować, szarpnąć się w próbie ratunku... zaprzepaścić wszystko. Ponownie zamknęła oczy i to pomogło.

Po chwili rozległy się nawoływania i odpowiedzi.

Wszystko było gotowe, Zaczęło się mozolne wciąganie. W górę, i nieco w dół, i znowu w górę. Villemo możliwie najdłużej nie chciała puścić brzozy. W końcu jednak musiała.

Wyszeptała podziękowanie i po raz ostatni objęła mocno cienki pień, podciągnęła trochę za sobą, tak by mógł się wyprostować. Wisiała już wtedy wysoko nogami do góry.

Ojciec Marty trzymał ją mocno w pasie, chcąc zmniejszyć obciążenie kostek, ale i tak odczuwała w nich okropny ból. Starła się tak ustawić stopy, żeby lina się z nich nie zsunęła.

Oboje obracali się i huścili, podciągano ich powoli, zrywami. Uderzali o wystający brzeg i znowu przesuwali się wyżej, Villemo zdawała sobie sprawę, że spódnica nie okrywa jej nóg.

Czuła twarz mężczyzny przy swoich kolanach i widziała jego nogi dyndające na wysokości swoich oczu.

Cóż to jednak miało za znaczenie? Najważniejsze, że była w drodze na górę!

Jeśli tylko lina wytrzyma!

Znowu posyłała modły do Boga, w którego wierzyła najbardziej wtedy, gdy potrzebowała jego pomocy.

Pragnęła teraz ponad wszystko powiedzieć swoim bliskim, ile dla niej znaczą.

Nie przeżyła jeszcze zbyt wiele, chyba większą część życia wciąż miała jeszcze przed sobą.

Liny trzeszczały ostrzegawczo.

- Teraz ostrożnie! - zawołał ojciec Marty.

Villemo poczuła jakieś ręce na swoich biednych, umęczonych kostkach. Inne ręce pochwyciły jej wybawcę. Zostali przeciągnięci poza krawędź urwiska. Na ten okropnie stromy brzeg, na którym nikt nie mógł się utrzymać. Pochylali się nad nim nieznajomi ludzie, ryzykując życie - z jej powodu.

Była taka wzruszona. Czuła, że zaraz się rozplacze, po prostu z wdzięczności. Powoli, bardzo powoli, zdawało się, że przez całą wieczność, ciągnęli ją po wydeptanej trawie. I, oczywiście, choć nie wiadomo dlaczego, musiała leżeć twarzą do ziemi, ale nie była w stanie unieść głowy.

I wreszcie poczuła pod sobą płaską ziemię. Opiekuńcze kobiece dłonie wygładziły jej ubranie, a potem ostrożnie odwróciły na plecy.

29

Villemo patrzyła na czarne wierzchołki sosen na tle ciemniejącego nieba. Widziała nad sobą poważne twarze, spoglądające na nią z troską.

- Dziękuję - szepnęła. - Dziękuję wszystkim, dziękuję za uratowanie mi życia! Bardzo chcę żyć, naprawdę.

- Jak długo panienka tam wisiała? - zapytała matka Marty, rozcierając jej zdrętwiałe ciało.

Mężczyźni zdejmowali sznury z tej nóg i dopiero teraz Villemo poczuła, jak bardzo ubranie nasiąknęło wodą w tym wilgotnym powietrzu nad urwiskiem i jak bardzo jest zimno.

Przedtem w śmiertelnym przerażeniu nie odczuwała chłodu.

- Jak długo? - szepnęła. - Nie wiem. Od południa, zdaje mi się.

- Boże, zmiłuj się - rzekł jeden z mężczyzn, w którym rozpoznała dzierżawcę małego gospodarstwa z Grastensholm, sąsiada rodziców Marty. Dwaj pozostali byli jego synami.

- Czy panienka może stanąć na nogi?

- Tak, oczywiście - odparła i podniosła się niezdarnie, ale natychmiast kolana ugięły się pod nią. - Nie, chyba nie mogę - szepnęła zawiedziona.

- Przyrowadzę konia - oświadczył dzierżawca, po czym zwrócił się do swoich synów: - A wy biegnijcie do Elistrand, nie, do Lipowej Alei jest bliżej, i powiedzcie, co się stało.

- Nie trzeba... - próbowała oponować Villemo, ale chłopcy już zniknęli jej z oczu.

Znowu zostali tylko rodzice Marty i ona, bezradnie siedząca w trawie. Była tak okropnie zmęczona; całe ciało i mózg. Miała wrażenie, że coś się rozrasta w jej wnętrzu, ale na razie umiała jeszcze nad tym zapanować.

A u jej stóp leżał nieduży bukietek jesiennych kwiatów, przeznaczony dla Marty.

Matka spojrzała w ślad za jej wzrokiem.

- Tak, przychodzimy tu parę razy na tydzień, żeby uczcić pamięć Marty. Ona przecież nie ma grobu. Samobójczyni, powiedział pastor, i nie zezwolił, by miała grób na cmentarzu. A zresztą i tak nigdy jej nie odnaleźliśmy, to myślę, że tu ma swoje miejsce.

- Nigdy nie odnaleźliście?

- Nie, rzeka jej nie oddała. A kto by mógł zejść tam, na dół?

Marta? Wciąż leży tam, na dnie?

- To w takim razie skąd wiadomo, że ona...?

30

Ojciec dziewczyny westchnął ciężko.

- Dwóch ludzi łowiło ryby w rzece niedaleko stąd i widzieli, jak spadała, słyszeli, jak wzywała ratunku.

Villemo jęknęła głucho.

- A jak... to się z panienką stało? - zapytał znowu ojciec. - Potknęła się panienka i spadła?

- Nie, nie, ktoś mnie popchnął! - zawołała, nim zdążyła się zastanowić.

Tamci spojrzeli po sobie.

- Jak Martę? - zapytał ojciec z wolna. - Ale jego przecież już nie ma, nie żyje. Zginął w Romerike, tak gadają.

Twarz Villemo spłonęła rumieńcem.

- Eldar Svartskogen? Nie, on tego nie zrobił! To nie on popchnął Martę, to tylko złośliwe plotki.

Rodzice Marty posmutnieli. Ojciec mówił dalej:

- Ci dwaj rybacy... zresztą oni nie byli z naszej wsi... Widzieli, jak Marta spada, patrzyli w tę stronę, bo usłyszeli jej krzyk. I zaraz przybiegli tu co tchu. To oni widzieli, że jakiś mężczyzna ucieka przez

las od strony wodospadu. Widzieli go tylko pomiędzy drzewami, ale mówili, że miał takie lśniące włosy i drapieżne niczym u wilka oczy.

Eldar. Villemo poczuła, że coś się jej zaciska w piersi.

- A ona nosiła jego dziecko - dodała matka. - To wiemy.

Villemo oparła głowę o kolana i długo siedziała z ukrytą twarzą, próbując uporać się jakoś ze swoimi uczuciami. Jej wybawcy czekali, pogrążeni w zadumie.

W końcu podniosła się, stanęła chwiejnie na nogach. Głęboko wciągała powietrze, żeby stłumić mdłości. Wahała się przez chwilę, a potem poszła niepewnie w stronę sosen na skraju lasu, gdzie rosła jeszcze kępka na wpół uschłych jesiennych kwiatów. Villemo zrywała je powoli i ostrożnie, a potem ułożyła w piękny bukiet zostawiając jeden duży kwiat.

Położyła bukiet pod krzyżem upamiętniającym śmierć Marty, a potem uklękła i przez chwilę trwała w pełnym szacunku milczeniu. Gdy wstała, wzięła ten największy kwiat i rzuciła go przez krawędź urwiska w otchłań.

Rodzice dziewczyny milczeli wzruszeni, kiedy do nich wróciła.

31

- To ostatnie... to było... ja pogrzebałam w ten sposób niepotrzebną miłość. Trwające przez cały rok niepotrzebne, zaprzepaszczone uczucie.

- Miłość nigdy nie jest zaprzepaszczanym uczuciem, panno Villemo - powiedziała matka Marty. - Miłość czyni człowieka silnym i czystym. Nawet jeśli się kocha niegodziwca. My wiedzieliśmy o słabości panienki do Eldara Svanskogen i cierpieliśmy bardzo ze względu na panienkę, bo nasza Marta też żywiła do niego słabość. Ale nie wypadało nam rozmawiać o tym z panienką.

Villemo gwałtownie łąpała powietrze, z całych sił starała się nie rozplakać.

- Ale teraz to koniec - powiedziała ze złym triumfem. - Teraz to koniec, jestem wolna, moje oczy zostały otwarte i znowu widzę wyraźnie. Ja mu wierzyłam, ponieważ chciałam mu wierzyć. Z uporem odrzucałam wszelkie ostrzeżenia i szeptę za plecami, jak to nazywałam.

O, Boże!

Zakryła twarz dłońmi i padła na kolana przed krzyżem z uczuciem głębokiego, szczerego zrozumienia dla swojej nieszczęsnej siostry.

- O, Marto, Marto - szlochała. - Jak mogliśmy być takie ślepe? Ja i tak wykręciłam się z tego tanim kosztem, ale ty... Teraz jego też nie ma. Już żadnej dziewczynie nie wyrządzi krzywdy.

Płacz ją ogłuszył. Żal z powodu Marty mieszał się z żalem nad własną zawiedzioną miłością.



Razem ze łzami spływało z niej to straszliwe napięcie wielu długich godzin spędzonych nad przepastną głębiną.

Rodzice Marty byli prostymi ludźmi, lecz rozumieli, co się teraz dzieje z piękną panienką Villemo. Obejmowali ją nieśmiało, by okazać jej współczucie, lecz pozwalali się wypłakać.

W końcu opanowała się. Pociągając nosem, otarła ostatnie łzy, wstała i próbowała się do nich uśmiechnąć.

Na szczęście pojawił się dzierżawca z zaprzężonym do wozu koniem.

Pomogli jej wejść i usadowić się wygodnie, po czym ruszyli w przekonaniu, że po drodze spotkają ludzi z Lipowej Alei.

Ojciec Marty, który prowadził konia przez las, powiedział do Villemo:

- Wie panienka, jakoś mi dzisiaj lżej na duszy. Nigdy nie zapomnimy, że straciliśmy córkę w tak okrutny sposób. Ale darem niebios było dla nas uratować życie innej dziewczynie. To po prostu plaster na nasze rany, jeśli panienka rozumie, co mam na myśli.

- Oczywiście, że rozumiem - odparła Villemo ciepło. - Nie mogę tylko pojąć...

- Czego?

32

- Kto mnie popchnął. Ciężko będzie mi żyć z tą świadomością.

- I ja się nad tym zastanawiałam - wtrąciła matka Marty. - Ja nie wierzę w duchy, co to, to nie. Ale ludzie opowiadają, że po okolicy włóczy się kłępa łosia, która atakuje ludzi. Może to ona...

Villemo odniosła się do tego sceptycznie. Pamiętał? uderzenie w plecy, a chwilę przedtem słyszała szelest w lesie, jakby kroki. Łoś? Chyba nie.

- Możliwe - odparła zgodnie.

Niedługo spotkali obu synów dzierżawcy i kilkoro przestraszonych służących z Lipowej Alei.

- Nikogo z państwa nie ma w domu - tłumaczył jeden z chłopców. - Wszyscy pojechali z wizytą do proboszcza.

- A rzeczywiście - przypomniała sobie Villemo. - Ja też miałam tam być, ale całkiem zapomniałam. To znaczy, że ani w Grastensholm, ani w Elistrand też nikogo w domu nie ma.

Ale gdybym tylko mogła pożyczyć konia, to. . .

Dzierżawca ofiarował się, że ją odwiezie, co przyjęła z wdzięcznością. Po serdecznym,

przejmującym pożegnaniu ze swoimi wybawcami ruszyła konno ku domowi.

Tak naprawdę to wiadomość, że rodziców nie ma w domu, przyjęła z ulgą. Bo co miałyby im powiedzieć? Jeszcze nie była w stanie rozmawiać z nimi o tych nieustających prześladowaniach.

O śmiertelnie niebezpiecznych prześladowaniach.

Zła, nagła śmierć grasowała po lasach parafii Grastensholm. Za każdym razem, kiedy któryś z mężczyzn należących do rodziny Svartskogen wyjeżdżał z domu, wiedział, że naraża życie. Ludzie z Woller polowali na nich i tak to trwało już niemal pół wieku.

A ludzie z Woller? Żaden z nich nie odważyłby się opowiadać, że po okolicy włóczy się kłępa łosia, która atakuje ludzi. Może to ona...

Villemo odniosła się do tego sceptycznie. Pamiętała uderzenie w plecy, a chwilę przedtem słyszała szelest w lesie, jakby kroki. Łoś? Chyba nie.

- Możliwe - odparła zgodnie.

Niedługo spotkali obu synów dzierżawcy i kilkoro przestraszonych służących z Lipowej Alei.

- Nikogo z państwa nie ma w domu - tłumaczył jeden z chłopców. - Wszyscy pojechali z wizytą do proboszcza.

33

- A rzeczywiście - przypomniała sobie Villemo. - Ja też miałam tam być, ale całkiem zapomniałam. To znaczy, że ani w Grastensholm, ani w Elistrand też nikogo w domu nie ma.

Ale gdybym tylko mogła pożyczyć konia, to...

Dzierżawca ofiarował się, że ją odwiezie, co przyjęła z wdzięcznością. Po serdecznym, przejmującym pożegnaniu ze swoimi wybawcami ruszyła konno ku domowi.

Tak naprawdę to wiadomość, że rodziców nie ma w domu, przyjęła z ulgą. Bo co miałyby im powiedzieć? Jeszcze nie była w stanie rozmawiać z nimi o tych nieustających prześladowaniach.

O śmiertelnie niebezpiecznych prześladowaniach.

Zła, nagła śmierć grasowała po lasach parafii Grastensholm. Za każdym razem, kiedy któryś z mężczyzn należących do rodziny Svartskogen wyjeżdżał z domu, wiedział, że naraża życie. Ludzie z Woller polowali na nich i tak to trwało już niemal pół wieku.

A ludzie z Woller? Żaden z nich nie odważyłby się wyjść sam, a już nigdy bez brani. Oni także byli przygotowani, że albo zabiją, albo zostaną zabici.

Jak ten, który samotnie wybrał się do Akershus, ponieważ za bardzo ufał swoim bystrym oczom i

swemu szybkiemu koniowi.

Koń wrócił do domu sam, z pokrwawionym siodłem i w potarganej uprzęży.

Albo jak ten ze Svartskogen, który samotnie łowił ryby w leśnym jeziorze. Nie powinien był tego robić. Jego zwłoki wypłynęły po dziewięciu dniach. Zabito go ciosem noża w plecy. Nóż wprawdzie wypadł, lecz rana była wyraźna.

I właśnie w tę sieć krwawej zemsty wplątała się Villemo!

Z powodu fatalnego, bezsensownego dziewczęcego zadurzenia.

A Villemo nigdy nie zatrzymywała się w pół drogi. Jeśli się zakochiwała, to całą duszą, bez opamiętania. Nawet gdyby potem miała tego gorzko żałować. Tak jak teraz. Och, jak żałowała, że zakochała się w Eldarze Svartskogen! A jeszcze bardziej, że mu to okazywała!

Jak by to było wspaniale pokazać temu uwodzicielowi, że istnieją kobiety, które potrafią odrzucić jego zaloty.

Ale nie, ona musiała paść przed nim plackiem!

O, wstydzie!

Nie dostał jednak tego, czego się od niej domagał, i to stanowiło wielką pociechę.

34

Nienawidziła go za to, co zrobił Marcie, a prawdopodobnie także wielu innym. Nie zdawała sobie sprawy, że potrafi nienawidzić tak bardzo. Wciąż jeszcze z oczu spływały jej łzy z powodu Marty, która w nim spotkała jedyną miłość swego życia i która mu uwierzyła. Co czuła w tym ostatnim momencie tam nad kipiela?

Nie, Villemo nie była w stanie o tym myśleć. Sama też tego doświadczyła. A przecież to nie ukochany człowiek zepchnął ją z brzegu.

Boże, miej w opiece nas, biedne kobiety. Nas, które zakochujemy się w niewłaściwych mężczyznach i dajemy im wszystko, co posiadamy. A potem jesteśmy traktowane jak stare szmaty, niewarte nawet tego, by je przechować.

Współczucie dla kobiecego rodu nigdy nie było najmocniejszą stroną Villemo, ponieważ często zajmowała myśli innymi, nie tak przyziemnymi sprawami. Dopiero Kristina, nieszczęsna córka gospodarzy w Tobronn, otworzyła jej oczy, a już los Marty rozpałił ją do białości.

Ze złością wytarła z oczu ostatnie łzy i pociągając nosem wkroczyła na dziedziniec w Elistrand.

**ROZDZIAŁ IV**

Na stole w hallu czekała na nią wiadomość. Mama Gabriella z irytacją donosiła dużym, zamaszystym pismem:

Villemo!

Co Ty sobie wyobrażasz, znikając na cały dzień? Znowu musimy szukać jakiejś wymówki za Ciebie, a pastor i tak nam pewnie nie uwierzy. Kiedy nauczysz się szacunku dla innych?

Przyszedł list do Ciebie. Leży w Twoim pokoju.

Mama

List? Do niej?

Villemo natychmiast zapomniała o wielkim przeżyciu, zapomniała o wyrzutach sumienia wywołanych zachowaniem wobec matki i urazie z powodu jej upomnienia. Pędem wbiegła po schodach na górę do swojego pokoju.

Od progu zobaczyła zapieczętowany rulonik, wyraźnie sfatygowany, bo pewnie długo był w drodze. System pocztowy funkcjonował dość ułomnie, okresami wszystko działało jak trzeba, czasami jednak coś się psuło, wysyłkę organizowano naprędce, gdy nadarzyła się okazja. Zdarzały się też napady, kiepska pogoda i Bóg wie co jeszcze.

Ale oto list, na który czekała od tak dawna, przyszedł! Zerwała pieczęcie i rozpostarła papier z takim rozmachem, że natychmiast znowu się zwinął i musiała zaczynać od nowa. Z

uczuciem jakiejś oszałamiającej radości usiadła na pierwszym lepszym krześle i zaczęła czytać:

Najdroższa mała Villemo!

Gdybyś wiedziała, jak bardzo mnie ucieszył Twój list! Bardzo, bardzo Ci dziękuję, że zechciałaś zwierzyć mi się tak szczerze, choć tyle razy zachowywałem się wobec Ciebie paskudnie. Miałem jednak swoje powody, których Ty nie możesz rozumieć.

Villemo, bardzo się przestraszyłem tym, co Cię spotkało. Że ktoś chciał Cię stratować.

Musisz zaraz, natychmiast, nie zwlekając ani chwili, powiedzieć o tym rodzicom, jeśli jeszcze tego nie zrobiłaś. Milczenie byłoby szaleństwem, to się przecież może powtórzyć!

Nie mogę zasnąć spokoju, odkąd otrzymałem wiadomość od Ciebie. Skoro ktoś nastaje na Twoje życie, nie możesz nadal mieszkać w domu. Teraz znowu wyjeżdżam ze specjalnym poleceniem. Jestem, jak przecież wiesz, kurierem Jego wysokości. Nie było mnie także wtedy, kiedy przyszedł Twój list i to dlatego musiałaś tak niepotrzebnie długo czekać na odpowiedź. W grudniu jednak

wybieram się znowu do Akershus, do Gyldenlove. Przyjadę 36

wtedy do Was i zabiorę Cię ze sobą do Szwecji. Rozmawiałem już z mamą i ojcem, przyjmą Cię u nas z radością i możesz tu zostać, dopóki niebezpieczeństwo nie minie.

Ja sam wyjeżdżam bardzo często, więc nie będę Cię dręczył swoją obecnością. Proszę Cię jednak: porozmawiaj z wujem Kalebem i ciotką Gabriellą, czy pozwolą Ci jechać. Jestem pewien, że się zgodzą, zwłaszcza gdy się dowiedzą, co Ci grozi. Chciałbym, żebyś tu była, ze względu na Twoje bezpieczeństwo!

Jechać do Szwecji? Mieszkać u rodziców Dominika? O, tak! Chciałaby. Bardzo. Teraz wie przynajmniej, co powinna zrobić. Musi opowiedzieć rodzicom o obu napadach, nie ma wątpliwości, że to konieczne. Dominik wskazał jej drogę.

Z przykrością dowiedziałem się o Niklasie i Irmelin, że nie mogą się pobrać. W pełni podzielam Twoje współczucie z nimi. Bardziej niż przypuszczasz, Villemo. Zaboląła mnie ta wiadomość mocniej, niż mogę Ci powiedzieć.

Ach, tak? Zdumiona podniosła głowę i zastanawiała się, co Dominik ma na myśli, ale nie wszystko rozumiała.

Piszesz mi, że miałaś wizję, iż Niklas, Ty i ja zostaliśmy wybrani do czegoś strasznego.

Pytasz, czy ja także miałem kiedyś takie przeczucia. Tak, oczywiście, że miałem! Od dawna to wiem. I Niklas także. Ale nie rozumiemy, o co to dokładnie chodzi.

Zastanawiam się jednak, czy stary wuj Brand czegoś nie wie. Kiedyś, gdy byłem jeszcze dzieckiem, słyszałem, jak wuj Brand rozmawiał z moim ojcem o Ludziach Lodu. Powiedział

wtedy coś, czego dokładnie nie pamiętam, ale dotyczyło to Tengela. Nie tamtego Tengela Złego, lecz naszego praprzodka, Tengela Dobrego. Porozmawiaj o tym z wujem Brandem, póki nie jest jeszcze za późno! I napisz mi, co on powiedział!

Wątpię natomiast, czy, jak twierdzisz, Twój przyjaciel Eldar ma z tym coś wspólnego. Sądzę, że to dotyczy całkiem innych spraw.

Villemo, nie wolno Ci myśleć, że jesteś beznadziejna! Wiele przeszłaś i straciłaś człowieka, którego kochałaś; ja wiem, co się wtedy czuje, możesz mi wierzyć!

Villemo znowu podniosła głowę, marszcząc brwi, i mocno zagryzła wargę. Dominik? Utracił kogoś kochanego?

Ogarnęło ją głębokie przygnębienie, tak głębokie, że przez chwilę odechciało jej się żyć. Z trudem zmusiła się, by przeczytać list do końca.

Wprost przeciwnie, uważam, że jesteś młodą kobietą o gorącym sercu, poświęcającą wiele uwagi innym. Ja zawsze bardzo Cię ceniłem, choć nie zawsze chciałem Ci to okazywać, byś nie zaczęła być zarożumiała.

37

Teraz Dominik był znowu sobą, złośliwy i trochę szyderczy. Ale tym razem nie brała sobie tego do serca.

Prosisz, bym Ci opowiedział o moim życiu. Cóż Mama i ojciec mają się znakomicie. Ojciec pisze swoją czwartą książkę i zbiera za wszystkie wiele pochwał. Mama jest kurą domową, ale bardzo miłą kurą i bardzo ją kocham. Na swój sposób są oni ze sobą szczęśliwi, choć nie bardzo rozumiem, jak się to dzieje. Nie bardzo do siebie pasują. Ja natomiast, ku zmartwieniu mojej mamy, jestem starym kawalerem, a o pracy, którą wykonuję, nie mogę pisać, więc, jak widzisz, nie bardzo mam Ci o czym opowiadać. Poza tym, że bardzo się cieszę na tę kolejną wizytę w Grastensholm i na spotkanie z Wami wszystkimi. Wyjadę nie wcześniej niż w pierwszym tygodniu grudnia, jeśli więc dostaniesz ten mój list, to odpisz mi!

Będę u Was przed Bożym Narodzeniem, przygotuj się zatem, by pojechać ze mną do Szwecji.

Twój wierny przyjaciel Dominik

Villemo odłożyła list.

Trzeba zaraz odpisać. Natychmiast!

Tym razem wypadło to krótko:

Drogi Dominiku?

Dziękuję za list! Tak, z całego serca chciałabym pojechać z Tobą do Szwecji i zostać tam przez jakiś czas. Wiesz, dzisiaj ledwo uszłam z życiem z kolejnego „nieszczęśliwego wypadku”, naprawdę śmiertelnie niebezpiecznego. To, że żyję, jest wyłącznie zasługą dzielnych ludzi. Opowiem Ci o tym, gdy się zobaczymy, teraz wciąż jeszcze drzę ze strachu.

Mamy i ojca nie ma w domu, ale jak tylko wrócą, opowiem im o wszystkim i poproszę o pozwolenie na wyjazd. Zgodzą się na pewno.

Pójdę też do wuja Branda, jak najszybciej.

Najważniejsze jednak, co chciałam Ci powiedzieć, to to, że dzisiaj umarła moja miłość do Eldara. Właściwie była martwa już od dawna, ale ja starałam się ją podtrzymywać, bo chciałam wierzyć, że ktoś mnie kochał. Moje uczucie umarło w dość brutalnych okolicznościach, ale o tym też Ci opowiem, jak się spotkamy.

Przyjedź jak najszybciej, najdroższy Dominiku. Tak się cieszę, że znowu Cię zobaczę!

Zapytała służących i dowiedziała się, że pocztylion przybędzie za kilka dni. Wzięli od niej list, przysięgając na honor i spokój sumienia, że go wyślą.

38

Kaleb i Gabriella dowiedzieli się strasznym wypadku Villemo, jeszcze zanim wrócili do domu. Sprawa już się rozniosła po okolicy. Wszelkie słowa wymówki zostały więc zapomniane, obejmowali córkę, obiecywali posłać rodzicom Marty i innym, którzy ratowali ich dziecko, podarunki w podzięce. Wtedy Villemo opowiedziała o obu strasznych napadach na jej osobę i o propozycji Dominika.

Kaleb zastanawiał się długo. Gabriella spoglądała na męża, jemu pozostawiając decyzję.

- Villemo, naprawdę jesteś tego pewna? Że ktoś nastawał na twoje życie?

- Tak, ojcze. Jestem pewna, niestety.

- Ale jeśli, w tym ostatnim przypadku, była to złośliwa kłępa losia... I jeśli za pierwszym razem ten jeździec to był jakiś szaleniec, który stratowałby każdego, kto wszedł mu w drogę, niezależnie od tego, kto to?

- To nie był łoś, ojcze. To ludzkie ręce pchnęły mnie w przepaść. I pamiętaj o tych, którzy. tak dociekliwie rozpytywali o mnie i dowiadywali się, dlaczego nigdy nie wychodzę z domu!

Kaleb oblizał wargi i spojrzał pytająco na żonę.

- Chciałabyś jechać, Villemo? - spytała Gabriella.

- Tak, chcę, ja się naprawdę przestraszyłam.

- Rozumiem. Tak, do Danii teraz nie możemy cię wysyłać. Na razie jest tam Irmelin, a nie powinniśmy chyba obciążać mamy opieką nad dwiema chorymi z miłości pannami.

- Ja już nie jestem chora z miłości, mamó. Skończyłam z Eldarem Svanskogen ostatecznie.

Definitywnie i z uczuciem obrzydzenia, że kiedykolwiek mu uległam.

- Uległaś? - wykrztusiła Gabriella z niepokojem w oczach.

- Mówiąc w przenośni, wiecie przecież. O niczym innym z mojej strony nigdy nie było mowy.

Lecz matka Marty się myli - mówiła dalej poważnie. - Ona twierdzi, że miłość czyni człowieka silnym i czystym bez względu na to, jaka jest. A to nieprawda. Już w to nie wierzę.

- Oczywiście, że nie - zgodził się Kaleb. - Miłość ma też wiele złych stron. Jak zazdrość, chęć

posiadania drugiego człowieka na własność, brak szacunku... A czasami miłość jest niebezpiecznie bliska nienawiści. Może ujawniać wiele brzydkich cech w człowieku, naprawdę. Ale matka Marty ma też dużo racji. Miłość może wzbogacać człowieka.

Niewiarygodnie! - Na koniec westchnął: - Bogu niech będą dzięki, że epokę Eldara mamy za sobą! Trudno wprost wyrazić, jaka to dla nas ulga! Jak myślisz, Gabriello, czy powinniśmy pozwolić, by nasza roztrzepana córka pojechała z Dominikiem do Szwecji?

39

- Tak, myślę, że tak. To wspaniali ludzie, wszyscy troje: Mikael, Anette i Dominik. I dobrze jej zrobi, jeśli przez jakiś czas pobędzie przy szwedzkim dworze. Może to doda jej trochę ogłady, utemperuje jej charakter.

Mówiła to jednak z uśmiechem.

Villemo wydała okrzyk radości i rzuciła się rodzicom na szyję.

- Ale nie chciałabym zbyt długo pozostawać poza domem - dodała zdyszana. - Bo tak strasznie tęskniłam za wami i za Elistrand, kiedy musiałam się ukrywać w Tobrom.

- Wiemy - rzekł Kaleb. - My też będziemy za tobą tęsknić. A ja w czasie twojej nieobecności spróbuję się dowiedzieć, kto i dlaczego cię prześladowa. Tak, byś mogła bezpiecznie wrócić do domu.

- Ojciec - poprosiła Villemo, która właśnie sobie coś przypominała. - Ja sama boję się wychodzić z domu, ale czy mógłbyś jutro zaprowadzić mnie do Lipowej Alei? Muszę porozmawiać z wujem Brandem, to ważna sprawa.

- Oczywiście, chętnie z tobą pójdę.

Stary Brand przyglądał się Villemo uważnie. Nigdy się nie zaliczał do najbardziej błyskotliwych członków rodziny. Stąpił mocno po ziemi i kierował się zdrowym rozsądkiem.

- Poczekaj, niech no się zastanowię - powiedział.

- Dominik musiał słyszeć, jak mówiłem jego ojcu, że dziadek Tengel wspominał kiedyś o czymś... Nie, to zanadto skomplikowane.

- Tak, ale zostawmy Mikaela i Dominika, niech wuj spróbuje sobie przypomnieć, co mówił

Tengel!

Brand skierował rozmarzony wzrok ku sufitowi.

- Dziadek tyle mówił...



- Ale Dominik uważa, że to miało jakiś związek z naszymi żółtymi oczyma.

- Dziadek Tengel nie mógł nic wiedzieć o twoich oczach ani o oczach Dominika czy Niklasa.

Nawet o waszych rodzicach nikomu się jeszcze nie śniło, kiedy on umarł...

Brand długo milczał. Powoli w jego ciemnych oczach zapalało się jaśniejsze światełko.

- Ach, tak - powiedział w końcu.

Villemo czekała.

40

- Przypominam sobie. Tak, teraz wiem.

Villemo czekała jeszcze przez chwilę.

- Pozwól mi pomyśleć.

Pozwoliła.

- To było pewnego razu... - zaczął Brand niepewnie. - Dziadek Tengel rozmawiał z nami.

Przede wszystkim zwracał się, naturalnie, do Tarjeia, bo Trond i ja byliśmy za mali, czy raczej za dziecinni. Tarjei był co prawda tylko o rok starszy od Tronda, ale jeśli chodzi o dojrzałość, to dzieliły nas lata. Dziadek mówił o dziedzictwie zła. I o przekleństwie Tengela Złego. Że ma przechodzić z pokolenia na pokolenie. I wtedy powiedział... O tym właśnie wspomniałem Mikaelowi i to musiało się tak wryć Dominikowi W pamięć. „Dzieci, powiedział

do nas dziadek. Dzieci, ja próbowałem! Nie tylko starałem się całym swoim życiem odwrócić zło i przemienić je w dobro, ale także chciałem przysze pokolenia uchronić od przekleństwa.

Próbowałem czarów. Tak, bo ja znam się na czarach. I ostatnio zrobiłem to jeszcze raz.

Spędziłem w lesie całą noc. To była, dzieci, moja najcięższa walka. Odczuwałem taki potworny strach, czułem taki gwałtowny opór tej złej siły...”

Brand przerwał wspomnienia.

- Sama rozumiesz, Villemo, że nie mogę ci powtórzyć słowo w słowo tego, co dziadek powiedział. Byłem wtedy małym, niezbyt uważnie słuchającym chłopcem o nie najlepszej pamięci.

- Rozumiem, oczywiście. Ale Tengel mówił właśnie coś takiego?

- Tak, bez wątpienia.

- A dalej?

- Tak, na czym to ja skończyłem? Aha, opór złej siły. „Wiem, że nie udało mi się oddalić przekleństwa, mówił dalej mój dziadek Tengel. Ale zostawiam moim potomkom pewną ochronę, pomocną siłę. Tak, by mogli podjąć walkę...”

- Tego nie rozumiem.

- Ani ja. I nijak nie mogę sobie przypomnieć reszty.

- No, ale to i tak dużo - rzekła Villemo poważnie. - Chciałam wujowi powiedzieć, że my wszyscy, ja i Niklas, i Dominik, mieliśmy przecucie, że zostaliśmy wybrani do czegoś ważnego. Do... tak, właśnie do walki, trudnej i okrutnej walki.

Brand przyglądał się jej badawczo.

41

- Tak mówisz? No cóż, teraz mogę ci powiedzieć, że mój ojciec Are i jego siostra Liv nadziwić się nie mogli tym waszym oczom, kiedy byliście mali. Wiesz, to było coś całkiem nieoczekiwanego. Bo w waszym pokoleniu już się urodziło jedno dziecko obciążone dziedzictwem. A tu nagle jeszcze trójka o kocich oczach! Mimo to nigdy się tym nie martwiliśmy. Ani ojciec, ani Liv też się nie martwili. A przecież powinniśmy. Potem wiedzieliśmy już, co jest z Niklasem i Dominikiem. Muszę jednak przyznać, że nigdy nie byliśmy pewni, co będzie z tobą, Villemo. Byłaś taka... nieutemperowana, taka niezrównoważona.

Oczy Villemo napęłniły się łzami.

- Mam nadzieję, że nie ma we mnie zła, wuju Brandzie. Jestem może głupia i roztrzepana, ale chyba nie zła!

Uśmiechnął się przyjaźnie i położył jej rękę na ramieniu.

- Oczywiście, że nie ma w tobie zła, moje dziecko. Choć trzeba powiedzieć, że w moim drogim bracie, Trondzie, też nie było. Ale dręczyła go ta sama niecierpliwość, on także nie wiedział, co ze sobą w życiu zrobić, podobnie jak ty i jak wiedźma Sol. Nie, później doszliśmy do tego samego wniosku, co wy: że te wasze oczy mają jakiś związek z zaklęciami Tengela Dobrego. Że to jest jakaś ochrona! Jakaś broń! Ale po raz pierwszy słyszę o waszych przecuciach czy wizjach. Poczekaj no, porozmawiamy z Niklasem!

Brand przywołał wnuka, który przyszedł do nich w roboczym ubraniu, posępny i milczący, z pełnym bólu spojrzeniem. Dziadek wyjaśnił mu pokrótce, o czym rozmawiali z Villemo.

Niklas skinął głową.

- Tak, to prawda. Ja często odczuwam jakiś lęk, jakby przed zbliżającym się niebezpieczeństwem. I Dominik też. Ale nie wiedziałem, Villemo, że ty także.

- Przytrafiło mi się to tylko raz, ale za to z wielką siłą. To była bardzo wyraźna wizja. Poza tym kilka

razy zostałam w niemal cudowny sposób uratowana od śmierci, więc zaczynam podejrzewać, że może będę jeszcze do czegoś potrzebna w przyszłości. Że dlatego żyję.

Gdybym tylko mogła wiedzieć, jakie zadanie mam do spełnienia! Nic mi nie przychodzi do głowy.

Niklas, wciąż pogrążony w smutku nad swoim i Irmelin losem, uśmiechnął się mimo woli.

- Myślę - powiedział - że może chodzi o to, byś oślepiła wrogów swoją urodą. Albo żebyś oszołomiła szalonymi pomysłami.

- To niezbyt ładnie powiedziane - zachnęła się. - A poza tym urodą? Ja?

- Możesz sobie darować takie domaganie się komplementów, bo i tak się nie doczekasz.

42

- Wiem, w każdym razie nie od ciebie. Ale teraz wyjeżdżam, więc będziecie mieli okazję zatęsknić za mną.

Zaczęli rozmawiać o jej podróży i Villemo z zadowoleniem stwierdziła, że naprawdę będą za nią tęsknić. Z żalem przyjęli wiadomość, że nie będzie jej w domu. Do tego stopnia, że prawie nabrała ochoty, by zostać...

Potem przez chwilę rozważali jej nieszczęśliwe wypadki i nagle Brand powiedział:

- Poczekajcie, muszę wam pokazać, co znalazłem, kiedy dziś rano przeglądałem rzeczy mojego ojca! To dla niego typowe, nigdy nie miał wyczucia, co jest wartościowe a co nie!

Brand wyszedł z pokoju, a po chwili wrócił, niosąc kawałek drewna, jakąś niezbyt grubą deskę.

- Popatrzcie, to musiała namalować babcia Silje na kiepskim podkładzie.

Niklas i Villemo drgnęli na widok tego malowidła. Przedstawiało ono twarz mężczyzny, tak wyrazistą i przerażającą, tak groźną, ponurą i tak szatańsko fascynującą, że cofnęli się z lękiem.

- Zgadnijcie, kto to? - powiedział Brand drżącym ze wzruszenia głosem.

- Nie wiem - rzekł Niklas z wahaniem. - Czyżby to był wizerunek samego Szatana?

- Nie - odparł Brand, wyraźnie urażony. - To portret najwspanialszego człowieka, jakiego kiedykolwiek spotkałem. To mój dziadek, Tengel!

Villemo przesłoniła usta dłonią i stłumiła okrzyk O Boże! Nie chciała sprawiać wujowi Brandowi przykrości.

Nigdy tak sobie nie wyobrażała Tengela Dobrego. Wiedziała, że był obciążony dziedzictwem, zresztą ten portret o tym świadczył! Myślała jednak o nim jako o wspaniałym, uderzająco pięknym

mężczyźnie.

Najdziwniejsze było jednak to, że im dłużej przyglądali się malowidłu, tym twarz praprzodka wydawała im się ładniejsza. Gdy po chwili Brand odłożył portret na bok, musiała pójść za nim, żeby jeszcze raz popatrzeć. Niklas zrobił to samo. I właśnie on wyraził to, co oboje czuli:

- Bardzo bym chciał go znać!

Gospodarz Woller pienił się z wściekłości. Chodził tam i z powrotem po izbie. Naradzał się ze swoim przyjacielem, wójtem.

43

- Ona ma nie tylko kocie oczy, ta smarkata. Jest w ogóle jak kot, którego trzeba uśmiercać dziewięć razy. Ale to mi dopiekło! Już się dłużej nie będę z nią cackał. Chcę, żeby cierpiała.

Tak jak ja cierpiałem, kiedy ona i ten jej podły kochanek zamordowali mego jedyne go syna!

Szybka śmierć to dla niej za mało. Ona powinna cierpieć!

Wójt przyglądał mu się spod na wpół przymkniętych powiek. Na jego wargach igrał pełen oczekiwań uśmiezek.

- Mamy najlepszą na świecie „kryjówkę”.

- Kryjówkę? - powtórzył Woller, który go nie słuchał. Wciąż biegał wzburzony po izbie. - Sam dosiadłem konia, by ją zmiążyć, ale uciekła mi do lasu. Olav Haraskanke śledził ją parę dni temu i udało mu się zepchnąć ją z urwiska, gdzie nie ma żadnego ratunku. Ale i tym razem uszła z życiem. Z czego ona jest zrobiona?

Nagle przystanął.

- Kryjówka, powiadasz? Ale to miejsce jest przecież zajęte.

- No, jest. Jest, oczywiście.

- To na nic się nie zda... - Właściciel Woller umilkł, ale już za chwilę zły uśmiech rozjaśnił mu twarz:

- A dlaczego nie? Dlaczego nie?

Szyderczy grymas na twarzy wójta wskazywał, że podoba mu się ten pomysł.

Woller mówił dalej:

- Cały rok bez kobiet... I nagle mieć przy sobie taką młodą dziewczynę...

- Młoda panna z bogatego dworu może odtańczyć wesoły taniec.

- Tę zabawę chcę zobaczyć - oświadczył Woller

W tym momencie wbiegł jeden z jego ludzi. Był zdyszany.

- No, co się stało?

Przybyły skłonił się głęboko.

- Ivar Svartskogen kłusuje tu niedaleko, na skraju lasu - wychrypiał.

Gospodarz zerwał się na równe nogi.

- Naprawdę, znowu? Czy oni się nigdy nie nauczyli do kogo należy ta ziemia?

44

- Ivar? - zapytał wójt. - Czy to nie on zabił jednego z twoich parobków?

- Tak, to rzeczywiście on. To jeden z tych, wiesz. Spłodzony w grzechu i ohydzie. Ale teraz pomszczę tamtego parobka. Stuknęliśmy już dwóch braci Ivara. Szatański pomiot, wszyscy razem! - zakończył tonem wielkiego pana i władcy.

- Czy mamy... wysłać za nim paru ludzi? - zapytał ostrożnie jego podwładny.

- Nie, tej kukulce sam ukręcę łebek. Daj mi strzelbę na łosie, on powinien dostać porządną salwę w zadek! Idziesz ze mną? - zapytał wójta.

Tamten oblizywał wargi. Urzędowy człowiek nie powinien się mieszać w takie przedsięwzięcia.

- Nnie, muszę jechać do Christianii, za interesem... Dzisiaj nie mogę...

- To nic. Zresztą najchętniej pójdę sam. Gdzieście go widzieli, powiadasz?

- Koło wielkiego głazu prowadzi w górę ścieżka. Tamtędy szedł ze strzelbą na ramieniu.

Przemykał się w głąb lasu.

- Bardzo dobrze. Pójdę tą drogą.

Stary Woller zaczął się w lesie i czekał. Zamierzał dopaść Ivara Svastskogen, kiedy ten będzie wracał do domu. Będzie musiał iść tędy, to najprostsza droga. Nagle drgnął. Usłyszał

strzał daleko w lesie. W jego lesie! Kłusownicy! Będą potem twierdzić, że przysługuje im tu stare prawo łowieckie. Mój las, mój dwór, wszystko tutaj jest moje. Jakim prawem wazą się wdzierać na mój teren?

Trwało to długo. Nie ma już pewnie więcej nabożów, ten przeklęty Svartskogen. Żyją w takiej nędzy, że stać ich tylko na jedną kulę.

Stary Woller zarechotał ze swojego dowcipu.

Czuł się senny po obfitym jedzeniu. Wypił też pewnie jeden czy drugi kufel piwa za dużo. Co chwila musiał odchodzić na stronę, żeby opróżnić pęcherz. Wydawało mu się wtedy, że las kołysze się niepokojąco. Znowu usadowił się na posterunku, skłonił głowę na piersi.

Przyjemnie byłoby teraz się zdrzemnąć. Ale, oczywiście, tego właśnie robić nie powinien.

Po piwie człowiek naprawdę staje się senny. Trzeba było nie pić tyle...

Wielki chłop siedział pod drzewem, kiwał się, kiwał, aż zasnął.

Obudził się nagle, zdrętwiały. Język mu się kleił i w ogóle czuł się nie najlepiej. Zwłaszcza pod prawym żebrem coś go bolało. Ćmiący ból, który pojawiał się, gdy tylko stary wychylił

45

kufelek. Siedzi tam pewnie jakiś zły duch, przypuszczał, który się upija. Upił się i tym razem i chce mu naprawdę dokuczyć. Ale nikt tak łatwo nie dostanie gospodarza z Woller, o, nie!

A już w żadnym razie ludzie ze Svartskogen.

Trudno powiedzieć, co sprawiło, że ten człowiek stał się taki. Złe dziedzictwo? Wpływ, w czasach dzieciństwa, bogactwa rodu Wollerów i nędza wszystkich innych? Przekonanie całego rodu, że to Wollerowie zawsze mają rację, a inni nie? Z latami gospodarz z Woller uczynił z tego naczelną zasadę odnoszącą się do wszystkich. Ci z Grastensholm nie mieli racji. Właściciele Elistrand i Lipowej Alei podobnie, ba, gdyby nawet namiestnik państwa z Akershus mu się przeciwstawił, to i ten wielki pan też by racji nie miał.

Bo głównym powołaniem Wollera na tym świecie było dowodzić swojej racji.

Może właśnie dlatego, że wiedział, iż w posiadanie majątku Woller jego rodzina weszła podstępem i oszustwem.

A poza tym chciał mieć wszystko. Jego zachłanność była potworna. Drażniło go strasznie, że Grastensholm jest takie duże i bogate, i dobrze utrzymane. Czy jego majątek nie był

równie wielki? No, w każdym razie prawie, ale powinien być jeszcze większy.

Systematycznie pracował nad tym, by podporządkować sobie jak najwięcej ziemi w parafii Eng. Jeśli tylko usłyszał, że ktoś będzie musiał się pozbyć swojej zagrody i pól, natychmiast się tam zjawiał. A ponieważ był najbogatszym człowiekiem w okolicy, inni raczej nie mieli szans.

Jego majątek stale się powiększał, lecz on nie był zadowolony. Jedną z głównych jego cech

stanowiła mściwość. Nikomu, nikomu nie wolno zwrócić się przeciwko niemu ani przeciwko jego ludziom! A ci przebrzydli ze Svanskogen, którzy wciąż nie dawali się do końca wyplenić, mają czelność chodzić tu i kłusować w jego lesie!

Teraz zrozumiał, dlaczego się ocknął. Na ścieżce, niedaleko od niego, rozległy się ciężkie kroki. Jeśli ten nędzny oszust coś upolował, zapłaci za to życiem. Stary rozkoszował się tą myślą. Podświadomie pragnął mieć powód do posłania kłusownikowi kuli.

Trzymał broń gotową do strzału.

Tamten był coraz bliżej. Tak, to Ivar Svanskogen, tę długą lisią gębę rozpoznawał bez trudu!

- Zatrzymaj się, ty łobuzie! Co robisz w moim lesie?

Ivar Svartskogen rzucił się w zarośla. Woller słyszał, jak się szamocze z karabinem, ze swoim żołnierskim karabinem, którego oczywiście nie wolno było używać do polowania.

Żadnej zdobyczy jednak gospodarz Woller nie widział. A to nieprzyjemność! No, niech tam! I tak ma wystarczające powody, by strzelać, patrzcie no teraz, czyż ta kanalia nie ładuje 46

karabinu, by do niego wypalić? Istnieje przecież coś, co nazywa się obroną własną. I do niej teraz stary Woller musi się uciekać. Oczywiście, że musi to zrobić!

- Jakim prawem polujesz w moim lesie? - wrzeszczał, szukając schronienia za dużym głazem.

- To nie jest twój las, stary diable. To mój las i mam nadzieję, że spać ci to po nocach nie daje, ty piekielny oszuście!

Piękny język, nie ma co, myślał stary Woller, jakby to miało usprawiedliwić zastrzelenie przeciwnika.

Obaj wiedzieli, że teraz gra toczy się o życie. Właściwie Woller się nad tym nie zastanawiał, trwał po prostu uparcie przy swoim, pewien, że zmiążdży intruza, jak się rozgniata pchłę. Ale i on bezpieczny nie był.

- Ten las nigdy do was nie należał, hołoto jedna!

- Owszem, i ty wiesz o tym cholernie dobrze. Będziemy tu polować, ile nam się spodoba, i ty nie możesz nam przeszkodzić!

To sprowokowało Wollera.

- Ja nie mogę? - ryknął i jednocześnie rozległ się ogłuszający huk.

Strzał był jednak nie przygotowany, pospieszny i najwyraźniej nie trafił Ivara, ponieważ ten roześmiał się ochryple.

Teraz trzeba było załadować ponownie. Woller przeklinał własne nieopanowanie. Nagle zapragnął tu mieć swoich ludzi. To głupie wyprawiać się w pojedynkę przeciwko takiemu szaleńcowi.

Ładował w największym pośpiechu, ale mimo to słyszał, że tamten podpełza coraz bliżej.

Szybko, bardzo szybko Ivar przedzierał się przez zarośla między drzewami.

Stary pocił się. No! Nareszcie gotowe. Ułożył się twarzą w kierunku, z którego dochodziło szuranie.

- Mam cię na muszce! - zawołał. - Jeszcze krok, i...

Tuż obok rozległ się strzał i kula świsnęła mu nad uchem. Obrzydliwie blisko. Niecelnie.

Stary oblał się zimnym potem, tym razem ze strachu o swoje cenne życie.

Gdzie się podział tamten? Nagle w lesie zapadła cisza, niczym nie zakłócona, groźna...

Strzelanina wystraszyła zwierzęta, które uciekły bądź przyczyły się pod osłoną drzew.

47

Ivar Svartskogen musiał ponownie załadować broń stary o tym wiedział. To była jego jedyna szansa. Ale gdzie...? Gdzie się ten nędznik podział?

Czekał zbyt długo. Ivarowi udało się bezszelestnie załadować karabin, co w tym pograżonym w ciszy lesie było prawdziwym osiągnięciem. Woller odważył się wyjrzeć zza głązu i wtedy padł strzał. Poczł rwący ból w głowie, znad ucha buchnęła krew. Rzucił się na ziemię z wyciem.

Ale wkrótce się opanował.

Powiniennem milczeć. Muszę leżeć całkiem nieruchomo. On słyszał, że zostałem trafiony. O, niech to diabli, ale piecze! Chyba nie wytrzymam. Ale gdybym teraz, po tym jak krzyczałem, leżał jak martwy, to on by myślał...

Że jestem martwy.

Strzelba na łosie... Wycelować znowu. Tak, tak, dokładnie tak, ostrożnie!

Mam ją w pozycji gotowej do strzału. Trzeba tylko czekać.

Trzeba było czekać długo. Woller zaczynał się denerwować. Czy kłusownik już sobie poszedł? Nie, żadnych kroków nie słyszał.

Minuty wlokły się niemiłosiernie. Leż spokojnie, nie ruszaj się, leż spokojnie!

W końcu zaszeleściło coś delikatnie tuż, tuż. Ostrożne kroki skradały się w stronę kamienia.

Wytrzymaj, nie ruszaj się!



Zza kamienia wolno, bardzo wolno wychyliła się głowa. Oczy Ivara dostrzegły Wollera. Gdy napotkał złe spojrzenie przeciwnika, poderwał karabin do góry. Miał przed sobą człowieka, który dał się opętać żądzy zemsty i maniackiej chęci posiadania. W tym ułamku sekundy, w którym spojrział w oczy Wollera, Ivar zrozumiał, że leżący za głazem jest szaleńcem.

Chorym z potrzeby udowodnienia, że racja jest po jego stronie Człowiekiem, który chciał zagarnąć wszystko. Bez żadnego opamiętania!

Więcej Ivar Svartskogen pomyśleć nie zdążył. Kula z wielkiej strzelby na łosie trafiła go prosto między oczy. Zgasł natychmiast.

Stary Woller leżał jeszcze przez chwilę, ciężko dysząc. W końcu wstał z uczuciem triumfu, niepokonany jak zawsze, i kopniakiem odrzucił ciało zabitego na bok.

- Jeszcze jeden - mruknął pod nosem.

Zostawił trupa na ziemi. Jego żołnierski karabin także. To będzie dowód, że musiał się bronić, gdy napotkał we własnym lesie niebezpiecznego kłusownika.

48

Nie żeby potrzebował jakichś specjalnych dowodów. Wójt i tak jest po jego stronie. Ale asesor to kłopotliwy pan i zawsze trzyma z tymi nędznikami, Ludźmi Lodu, do których należy Svartskogen.

Na wspomnienie Ludzi Lodu znowu poczuł ssanie w żołądku. Zrobił się niemal chory ze złości. Żeby on ich mógł dostać...! A przede wszystkim Villemo córkę Kaleba z Elistrand!

Czuł dotkliwy ból z tyłu, pod żebrami. Powlókł się do domu, trzymając strzelbę w jednej ręce.

Drugą przyciskał do ciała, chcąc ulżyć sobie w cierpieniu. W okaleczonej strzałem głowie dudniło, ale gdy bojaźliwie i ostrożnie pomacał ranę, uznał, że nie ma się czego obawiać.

Kula drasnęła go tylko, oderwała płat skóry pod siwą czupryną. To nie szkodzi, że cała ta strona głowy była krwawiącą raną. Stary Woller miał dużo krwi, od czasu do czasu musiano mu jej upuszczać, żeby mu żył nie rozerwało.

Przestraszona służba spotkała go w hallu. Minął ich bez słowa, zawołał tylko do siebie najbliższego pomocnika.

- Koniec z tropieniem Villemo córki Kaleba - oświadczył krótko. - Wydaj polecenia! Mamy co do niej inne plany. Dużo lepsze plany...

Uśmiechał się do siebie z lubością.

49

## ROZDZIAŁ V

Nadeszły niezwykle piękne i ciepłe dni wczesnej jesieni. Dopóki nie wyszło się na dwór i nie zobaczyło tych wszystkich wspaniałych jesiennych barw, miało się wrażenie, iż lato nadal trwa.

Służba w Elistrand zbierała się wieczorami pod oknami kuchni na wspólne śpiewanie, żarty i fliny.

Wieczory były cudownie ciepłe, wprawiały wszystkich w świetny nastrój, zmartwienia gdzieś się ulatniały, a życie zdawało się być jedynie przyjemnością. Śmiech i śpiewy niosły się daleko do późna w noc.

Kaleb i Gabriella nie mieli nic przeciwko temu. Dlaczego nie pozwolić ludziom na trochę radości? Praca była ich codziennym towarzyszem, więc jeśli tylko wypełniają swoje obowiązki, to przecież mogą mieć trochę rozrywki wieczorem.

Któregoś wieczora Villemo siedziała w swoim pokoju na piętrze i słuchała, jak śpiewają ludowe pieśni, bardzo stare, z czasów kiedy jeszcze pastory nie powyrzucali z nich zbyt dosadnych słów. Oficjalnie śpiewano ładne, ugodzone teksty o pięknych dziewczicach i szlachetnych rycerzach i o królu gór, wabiącym nieszczęsne kobiety do swoich skalnych włości, a po latach okazywało się, że dziewczica jest matką licznej gromadki dzieci.

Stare pieśni jednak trwały, przekazywane z ust do ust w kuchniach i czeladnych izbach w wersji, którą właśnie strażnicy moralności starali się wymazać z ludzkiej pamięci. Ale takie rzeczy unicestwić się nie dają. Ten i ów stary tekst ginął co prawda gdzieś w zapomnieniu, ale na jego miejsce znajdowano inny, zazwyczaj wcale nie piękniejszy niż dawny.

Villemo często słyszała pieśń o królu gór, którą służące śpiewały przy sprzątanii czy podczas dojenia, nie bardzo nawet zdając sobie z tego sprawę, pogrążone we własnych myślach. Uważała, że opowieść o królu gór brzmi niezmiernie romantycznie, nie miałyby nic przeciwko spotkaniu z nim. Tego wieczora, gdy na dziedzińcu pod kuchennym oknem rozlegała się pieśń, wyobraziła sobie, że go widzi. Był wysoki i postawny, miał płonące jasne oczy i uśmiechał się wesoło. Czarne, miękkie, lekko kręcone włosy spływały mu na ramiona.

Och, przecież tak wygląda Dominik!

Nie było to jednak nieprzyjemne odkrycie, przeciwnie - bardzo pociągające. Dominik jako król gór albo król gór przypominający Dominika...

Słowa pieśni docierały do niej wyraźne i klarowne;

„Anusia dygnęła przed dostojnym panem Lindo lindo le Nie mogę iść z tobą w te dalekie kraje  
Wicher wieje, gdy księżyc maleje.”

Jakie to piękne, pomyślała Villemo.

„Król gór pokazał jej swoją laseczkę Lindo lindo le Podejdz i pogłaszcz tę miękką skóreczkę Wicher wieje, gdy księżyc maleje.”

Dziewczęta pod oknem chichotały nerwowo.

Villemo zmarszczyła czoło. Słyszała tę piosenkę już tyle razy, a one zawsze śmiały się w tym samym miejscu.

Chłopcy śpiewali dalej:

„Podejdz, Anusiu, podnieś sukieneczkę

Lindo lindo le

Będiesz ze mną w rajcu za małą chwileczkę

Wicher wieje, gdy księżyc maleje.”

Co to jest? O czym oni śpiewają?

Powoli sens piosenki zaczął docierać do Villemo. Poczwała, że się rumieni.

Czyż sama nie nuciła tych śpiewek, nie zastanawiając się nad ich znaczeniem? Czyż nie podśpiewywała tak jak służące, myśląc o czym innym? Gdyby tak ojciec lub mama słyszeli...

Następna strofka opowiadała o tym, że Anusia się wzdraga, choć bez większego przekonania - dodawano.

Po czym król gór namawiał dalej:

„Anusiu moja, siądź mi na kolanach Lindo lindo le Zawierz mej laseczce, nie spadniesz, kochana Wicher wieje, gdy księżyc maleje.”

Nad tą strofką Villemo nigdy przedtem się nie zastanawiała, a gdy teraz dotarł do niej ukryty sens, zakręciło jej się w głowie. Nagle poczuła, że cała krew spływa w dół brzucha, poczuła wilgoć, zrobiła się dziwnie ociężała, poruszała się niespokojnie. Przed nią w mroku jarzyły się żółte oczy Dominika. Wzrok jej zmętniał, oddech stał się przyspieszony.

Och, drogi przyjacielu, co to było?

Zgromadzeni na dziedzińcu chichotali, a dziewczęta wydawały piskliwe okrzyki, gdy chłopcy zbliżali się za blisko. Nie wiedzieli, że Villemo siedzi na okiennym parapecie i wszystko słyszy.

Dominik... Król gór...

Villemo, przestraszona reakcją własnego ciała, zacisnęła uda, ale to nie pomogło, wręcz przeciwnie. Zerwała się z miejsca, przeniosła w głąb pokoju, usiadła na łóżku, jakby chcąc ukryć wstyd, a po chwili ciężko opadła na posłanie.

Och, mój drogi, mój drogi, powtarzała w myślach. Co to było? Nigdy czegoś takiego nie odczuwałam. Nigdy kiedy byłam z Eldarem, nie ogarnął mnie taki trawiący wszystko żar.

Jedynie delikatny dreszcz, gdy siedziałam obok niego wtedy, pod ścianą pralni w Tobromn. I nigdy nic więcej.

A teraz... Dominik?

Którego znała od dzieciństwa? Z którym się przekomarzała i który złościł ją nie raz do łez!

Kiedy go jednak zobaczyła ostatnio, stwierdziła, że wyrósł na silnego, niezwykle pociągającego mężczyznę. Z jaką czułością się do niej odnosił! I jakie miał smutne oczy, kiedy się żegnali...

A jego list... trafiał wprost do serca.

Śpiewy zaczęły się od nowa i Villemo, ociągając się nieco, podeszła do okna. Policzki ją paliły, nie chciała słuchać, lecz zarazem niczego w świecie nie pragnęła bardziej.

Nie dosłyszała pierwszej części strofki, lecz druga dotarła już do niej wyraźnie:

„Anusia zdrzemnęła się w jego ramionach Wicher wieje, gdy księżyc maleje.”

Villemo jęknęła cicho. Z uczuciem bólu oparła głowę o ramę okienną i, niewidoczna dla śpiewającej na dole młodzieży, kołysała się powoli. Jej ręce były świadome, czego pragną, lecz nieśmiałość powstrzymywała. Spoczone dłonie przesuwały się po udach, próbowała skierować je w inną stronę.

Dominik.

Wargi stawały się ciężkie. Jakby wypełniała je krew. Przesunęła po nich językiem, pospiesznie, jak to czyni wąż.

Dominik... Gdyby on był królem gór i gdyby spotkała go w lesie, a on by wzywał? Gdyby poprowadził ją za sobą w gęstwinę, gdzie nikt by ich nie widział... I tam rozpiął płaszcz...

zdział pas...

Nie zdając sobie z tego sprawy, podnosiła spódnice, powoli, powoli. Przestraszona stwierdziła teraz, że miała ją już powyżej kolan. Z na wpół zdławionym okrzykiem obciągnęła ubranie, dopadła umywalki i oblała twarz zimną wodą. Stała tak długo, polewając się wodą, po czym zamknęła okno, żeby już nie słyszeć śpiewu, który się właśnie zmienił - śpiewano teraz piosenki parobków - i wyczerpana położyła się na łóżku.

Ten nocy Villemo miała dręczące sny. Dziwne, lecz nie były to sny erotyczne, których mogłaby się spodziewać po doznaniach wieczoru.

Sny były jednak przerażające, straszne. Jakieś ogromne zwierzę o płonących oczach goniło ją po rozległej równinie, słyszała, jak ziemia za nią dudni, i śmiertelnie przerażona starała się uciec, lecz nie mogła ruszyć się z miejsca. Jakoś jednak w końcu dostała się do domu, lecz gdy już sądziła, że jest bezpieczna w swoim pokoju, nagle coś oderwało się od ściany. Coś wielkiego i potwornego - niby człowiek, ale z końską głową, dyszący, o rozdętych chrapach.

Człowiek falował jakby na wietrze, choć nie było wiatru, a jego oczy pały okrucieństwem.

Villemo krzyknęła głośno i obudziła się.

Biedna mała Villemo! Jej się zdawało, że to koszmarny sen. A to przecież nieprawda.

Goniący koń - najwyrazistszy symbol tłumionych emocji seksualnych... Ach, ach!

Rankiem była kompletnie wyczerpana. Pragnęła z kimś porozmawiać. Z kimś takim, jak Dominik...

Nie, nie Dominik! Nie teraz!

Przed południem wyszła z domu. Ruszyła w górę, przez jałowcowe zarośla, i dalej do lasu.

Chciała trochę побыć sama; nieoczekiwanie życie stało się takie skomplikowane.

Była niespokojna i miejsca sobie znaleźć nic mogła, niepokój rozrastał się w całym ciele.

Villemo nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo akurat teraz, w tej pogoni za czymś, czego istoty nie znała, przypomina Sol.

Słońce tego dnia grzało niczym w lecie. Podczas wspinaczki na wzniesienia ponad osadą Villemo zrobiło się gorąco. Padła na ziemię, by odpocząć.

W ciepłych promieniach słońca zasnęła. Ostatniej nocy nie zaznała przecież ani długiego, ani spokojnego wypoczynku. Choć nie wiedziała nic o tym, że stary Woller zakazał ją śledzić, czuła, że może bezpiecznie wędrować, gdzie się jej podoba. Jeśli jednak chodzi o ścisłość, to ostatniej doby nie poświęciła swoim nieznanym prześladowcom ani jednej myśli, całkowicie pochłonięta nowym wewnętrznym niepokojem.

Spała długo. Gdy się ocknęła, najpierw nie mogła pojąć, gdzie jest. Po chwili przypomniała sobie i uniosła głowę.

Ogarnęło ją niezwykle uczucie.

Słońce stało wprost nad nią i przyglądało się jej z wysoka. Przesunęło się po niebie, gdy spała, lecz nie zanadto. Powietrze nad polanką, gdzie znalazła schronienie, była ciężkie i lepkie. Leżała na gęstym, suchym mchu. Wszystko trwało w jakiejś niemal groźnej ciszy -

żaden ptak nie zaśpiewa, nigdzie nie trzaśnie gałązka. Polankę otaczały mroczne sosny, 53

przetykane płomiennie żółtymi bukietami brzoź. Drzewa rosły gęsto, tak gęsto, że czuła się jakby w maleńkim domku.

Villemo jednak doznawała wciąż narastającego wrażenia że jest obserwowana przez czyjeś oczy. Groźne, takie oczy, na widok których wszystkie leśne stworzenia milkną ze strachu.

Mimo to nie bała się.

Las zdawał się jak zaczarowany. Jakby oczy, które się jej przyglądają, należały do... króla gór?

Nie, to okropna myśl. W jakiś sposób jednak podniecająca. W głębi duszy Villemo wiedziała, że to cicha godzina lasu, gdy wszystko co żyje szuka schronienia przed słońcem, lecz miała ochotę pofantazjować. Była sama, sama jak we śnie, gdy nie ciąży na człowieku żadna odpowiedzialność, gdy nie trzeba się zastanawiać, co ludzie powiedzą lub pomyślą.

Oszołomiona podniosła się z wolna. Stała pośrodku polanki. Rozbudzona wyobraźnia dawała jej niezłomną pewność: król gór stoi w pobliżu i patrzy na nią.

To była cudowna zabawa, wymyślony świat stawał się rzeczywistością. Czuła bicie serca i pulsowanie krwi na szyi. Dobrze wiedziała, gdzie stoi król - w samym środku splątanych zarośli. Czyż nie widziała poprzez gęstwiny błysku jego oczu?

Wiedziała też dokładnie, jak on wygląda. Jak Dominik. Być może bardziej prymitywny.

Wilczooki i niesamowity. Nie tak pięknie zbudowany jak Dominik. Ale podobny do niego! Taki Dominik, którego dom znajduje się we wnętrzu góry, którego ukształtowały dzikie pustkowia, naznaczając swoją grozą.

Potargany, zarośnięty i, pierwotnie zmysłowy.

„Anusia dygnęła przed dostojnym panem..”

Serce Villemo łomotało tak, że o mało nie rozsadziło piersi.

On się zbliżał. Wolno wychodził na skraj lasu, lecz wciąż jeszcze pozostawał w ukryciu.

Czuła to, wiedziała.

Niespiesznie, z wyraźną przyjemnością, a zarazem z przerażeniem, robiąc długie pauzy, rozpiniała bluzkę.

Nagle przerwała. Do czego zmierza? Długo stała bez ruchu.

Słońce grzało jednak bezlitośnie. Duszny upał w małym leśnym zakątku oszałamiał.

„Anusiu moja siądź mi na kolanach...”

54

Dominik... Piękne, ciepłe, skóre do śmiechu oczy. Zawsze pełne zrozumienia.

Bluzka została rozpięta. Zsunęła ją z ramion i opuściła, ale spódnica wciąż jeszcze była mocno ściągnięta w pasie.

Król gór patrzy na mnie.

Ta myśl wywołała delikatny dreszcz w całym ciele.

Rozwiązała koszulę pod szyją i zdjęła ją przez głowę. Teraz od pasa w górę była naga.

On na mnie patrzy.

Villemo odchyliła w tył głowę tak, że włosy łaskotały ją po plecach, i koniuszkami palców gładziła szyję.

Jaka miękka skóra! Jaka ciepła, pulsująca...

Palce przesuwaly się w dół, do piersi, pieściły je przez chwilę, wyczuwały ich ociężałość i napięcie. Opuściła ręce.

Villemo po raz pierwszy odkrywała swoje ciało, świadomie i z chęcią.

Może on uzna, że się nadaję? Czy jestem normalnie zbudowana? Mam kilka znamion na biodrze, dosyć widocznych. Chyba nic strasznego, ale naprawdę nie musiało ich tam być.

Ostrożnie podciągnęła spódnice tak, że widziała nogi nieco ponad kostkami. Zrzuciła buty.

W ciepłe dni Villemo starała się unikać zbędnego ubrania. Sukienka koszula i buty, to wszystko.

Podnosząc suknię wyżej, aż do kolan, śmiała się piskliwie, zawstydzona. Nogi miała bardzo ładne, tak powiedziała Irmelin. Nikt inny ich nie widział, oprócz ojca i mamy, naturalnie, lecz oni nie mówili nigdy niczego, co mogłoby czynić ją zarozumiałą.

Wyżej nie powinna spódnicy podnosić. To się nie zgadzało z jej poczuciem przyzwoitości.

Mimo to chciała wiedzieć. Jak wygląda? Nigdy przedtem się na to nie odważyła, bo jednak zawsze kierowała nią pewna nieśmiałość.

Skrupuły zaczynały powoli ustępować. Villemo pamiętała maleńkie źródło połyskujące niedaleko stąd, w niewielkim, porośłym mchem zagłębieniu na skraju lasu. Nie tam, gdzie stał on. Mimo to mógł ją widzieć.

Ale to nic.

Przysunął się teraz jeszcze bliżej. Gdyby odwróciła głowę, mogłaby go zobaczyć. Lecz nie odwracała. Po prostu wiedziała...

55

Villemo podeszła z wahaniem do wgłębienia, gdzie migotało źródółko. Może zresztą nie źródółko, może to tylko deszczowa woda, ale to bez znaczenia.

Małe, lśniące oko w mchu.

Pochyliła się nad zwierciadłem. I zobaczyła siebie, swoją własną twarz, włosy opadające na nagie ramiona.

Cisza drgała nad lasem.

Nieskończenie powoli unosiła spódnicę. Aż po kolana, nie widziała jednak nic poza spódnicą właśnie.

Dlatego wysunęła jedną nogę naprzód, zatrzymując się ponad wodą ostrożnie, by nie burzyć powierzchni, i spojrzała w połyskującą toń.

O, jakże łomotało jej serce!

Na razie wszystko kryło się w cieniu spódnic, gdyby jednak uniosła je jeszcze trochę, zobaczyłaby więcej. Cień zaledwie, wyraźniejszy zarys na jasnej skórze.

Czuła mrowiący dreszcz w całym ciele, rozgrzewający, palący. Krew pulsowała ciężko i rytmicznie wokół jednego jedyne miejsca.

Och, szeptała cicho, wstrząśnięta, lecz mimo to niezwykle szczęśliwa.

Ogarnęła ją fala gwałtownego uniesienia, rozlewająca się wokół tego pulsującego punktu.

Tylko dlatego, że on na nią patrzył. Podobała mu się, była tego pewna.

Powolnym krokiem Villemo wróciła do swojego miejsca na mchu, gdzie przedtem leżała. Nie miała odwagi spojrzeć na skraj lasu, nie chciała rozwiać iluzji, że on tam stoi. Teraz wyszedł

już na polankę, czujny i gotowy niczym dziki samiec...

Podniecona ułożyła się na miękkim, nagrzanym mchu. Podścieliła sobie koszulę pod plecy, by leżeć wygodniej, zamknęła oczy i zwróciła twarz ku piekącemu słońcu. On stał całkiem blisko, spoglądał na nią. Podświadomie poruszyła się. W całym ciele czuła pulsowanie, piersi się napinały.

Pełna oczekiwania z drzeniem wciągała powietrze. Ukląkł przy niej...



„Król gór pokazał jej swoją laseczkę...”

Za żadną cenę nie odważyłaby się otworzyć oczu. Wiedziała jednak, że on jest. Czyż nie wyczuwała jego ostrego zapachu? Mieszaniny woni mężczyzny i dzikiego zwierza? Tak właśnie musi pachnieć król gór.

56

Nie miało żadnego znaczenia, że to ostry aromat mchu zwodził jej zmysły. Villemo pogрузыła się tak bardzo w świecie fantazji, że nic nie było w stanie jej stamtąd wyrwać, w każdym razie dopóki las trwał w tej rozdygotanej ciszy, w tym obezwładniającym, dławiącym upale.

Zdawało się, że cała natura dyszy wraz z nią. Jej oddech był oddechem króla gór.

Teraz pochylił się na nią. Dotknął lekko, niczym tchnienie wiatru, jej piersi. Zareagowały natychmiast jeszcze większym napięciem.

Krew Villemo pulsowała coraz szybciej. Ogień w dole brzucha żarzył się boleśnie.

Tak bardzo zbliżył do niej swą twarz, że czuła policzku jego ciepło. Nie miała odwagi się poruszyć, próbowała wstrzymać oddech, lecz bez skutku. Złożył na jej czole pocałunek delikatny jak muśnięcie skrzydeł motyla.

Tak musiałby ją całować Dominik, gdyby kiedykolwiek się na to zdobył. To, co leciutkie, drażniące leciutkie, to był Dominik, silne zaś i dzikie, to król gór. Dwie istoty w jednej osobie.

Chciał oglądać jej uda. Podnosił spódnice, wolno, wyczuwała jednak, że z ciekawością.

Znacznie wyżej niż kiedykolwiek przedtem ona odważyła się to zrobić.

Położył się u jej boku, czuła jego bliskość. Nie był ani specjalnie gorący, ani zimny, był jak powietrze.

Delikatnie pieścił jej piersi, a każdy dotyk odbijał się dudniącym echem w całym ciele.

Całował tę pierś, która znajdowała się dalej od niego, a potarganymi włosami łaskotał

brzuch. Jakby wietrzyk igrał z niewidocznym puchem na jej ciele.

Potem podniósł głowę i przyglądał się jej z zadowolonym, pożądlivym uśmiechem, odsłaniając zęby. Podobało mu się to, co widział.

Villemo z podniecenia była niczym rozpalony piec. Jedną jego ręką pieściła wewnętrzną stronę jej uda - spódnice podniosła powyżej pasa, leżała więc po prostu naga - czubki jego palców przesuwały się lekko, leciutko po udzie, tam gdzie skóra najbardziej wrażliwa.

- Och, nie - wzdychała. - Ach, proszę cię!

Nieświadomie podciągnęła, a potem rozsunęła kolana. Była tak podniecona i zamroczona, że nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi.

Pojękiwała cicho.

W końcu położył dłoń na jej łonie, a ona drgnęła gwałtownie. Wreszcie Villemo musiała przyzwolić na to, do czego zmierzały jej ręce.

57

Syknęła pod jego dotykiem, nie wiedziała, że wyimaginowanym. Teraz, teraz do niej przyjdzie...

Ale nie mogła już na niego czekać. Z krzykiem odwróciła się na bok, niemal na brzuch, z ręką pomiędzy zaciśniętymi udami. Całym ciałem wstrząsały spazmy. Najpierw twarz z zamkniętymi oczami wyrażała ból, potem rysy złagodniały w ekstatycznym uśmiechu, a usta raz po raz powtarzały imię Dominika... W końcu odetchnęła, głęboko, powoli, z jękiem.

Leżała długo, senna i zmęczona. Rozkoszna błogość ogarnęła ciało.

Gdy otworzyła oczy, nie zobaczyła króla gór. Polanka była pusta. Villemo już go nie potrzebowała. Podniosła się chwiejnie, stając na drżących nogach. Zdjęła spódnicę, bo teraz nie bała się już obnażyć swojego ciała, zanurzyła się w źródelku, a rozkosznie chłodna woda okryła jej nagość.

Później, kiedy już się ubierała, myślała ze zdziwieniem, że nie odczuwa wstydu. Przeciwnie, czuła ogromną i czystą lekkość, coś w niej zostało wyzwolone, wybuchnęła głośnym perlistym śmiechem. Wyciągała ramiona ku niebu i czuła się wolna, wolna!

Villemo bowiem była taka sama jak Sol. Dobrze wychowana, ale gdy się poskrobało w zewnętrzną powłokę, nietrudno było dostrzec cechy Ludzi Lodu, ową obojętną pogardę dla tego, co wypada, a co, nie, która dawała im tyle szalonego szczęścia i tyle rozpaczy, gdy ich samowola starła się z obowiązującymi prawami.

Wielokrotnie przeczesywała palcami włosy, by usunąć wszystkie liście i źdźbła mchu.

Lekkim krokiem poszła potem przez las i przez jałowcowe zarośla do domu, do Elistrand.

W listopadzie we dworze Elistrand zjawił się wójt. W jego małych oczkach pojawiały się nie wróżące nic dobrego błyski.

Nigdy nie lubili tego wójta, uważali, że jest przekupny, stronnicy i że nie można mieć do niego zaufania.

Kaleb i Gabriella dość chłodno przyjęli go w hallu.

- Czy córka państwa jest w domu? - zapytał bez wstępów.

- Villemo? Tak, jest w domu - odparła Gabriella.

- Czy mógłbym z nią porozmawiać?

- Oczywiście. Villemo! - zawołała.

Na górze otworzyły się jakieś drzwi, potem zamknęły i na schodach stanęła Villemo.

- Wójt chce z tobą porozmawiać - wyjaśnił Kaleb. - Czy mamy wyjść?

58

- Och, nie. Dlaczego? - zaprotestował przybyły z nieszczerym uśmiechem. - Doszło do mnie, że panna Villemo ma na ręce pewien znak.

Rodzice spoglądali na siebie nic nie rozumiejąc.

- A to co znowu? - spytał Kaleb.

- Ja wiem, co wójt ma na myśli - rzekła Villemo. - Owszem, mam taki znak.

- Czy mogę zobaczyć?

Posłusznie podwinęła rękaw i pokazała wójtowi bliznę w kształcie krzyża.

- Aha! - wykrzyknął triumfująco. - W takim razie muszę prosić, panno Villemo, by udała się pani ze mną.

Kaleb zaprotestował gwałtownie.

- O co tu, na Boga, chodzi?

Wójt zwrócił się do niego. Teraz mówił ostro:

- Córka państwa była członkiem powstańczego sprzysiężenia. Spiskowała przeciwko królowi. A wydano właśnie rozkaz, aby członków sprzysiężenia pojmać i poddać przesłuchaniom.

- Ale przecież Villemo nie konspirowała przeciw Jego Wysokości - zaprotestowała Gabriella. - To nonsens! Zwykle młodzieńcze sprawy. Nie możecie jej za to stawiać przed sądem!

- To nie ja stawiam przed sądem, wasza wielmożność. To czyni komisja Jego Majestatu króla Christiana Piątego. Ja zaś mam rozkaz doprowadzić wszystkich podejrzanych przed oblicze komisji.

- Gdzie to jest?

- Komisja pracuje w parafii Eng.

Villemo westchnęła głęboko, zrezygnowana.

- Mam, ojcze, jestem gotowa tam pojechać.

- Nie, nic z tego nie rozumiemy! - wykrzyknął Kaleb. - Jadę z córką.

Wójt powstrzymał go ruchem ręki.

59

- To zabronione. Pańska córka będzie traktowana z całym szacunkiem, a jeśli jest niewinna, wróci do państwa jeszcze dziś wieczorem.

Wbrew gwałtownym protestom rodziców stało się tak, jak powiedział wójt.

Villemo wyruszyła z nim do parafii Eng. Ale gdy tylko jeźdźcy zniknęli za lasem, Kaleb powiedział:

- Czy mi się zdaje, czy Mattias naprawdę wspominał, że asesor ma w tych dniach odwiedzić Grastensholm?

- Tak, chyba tak - potwierdziła Gabriella. - Jedźmy tam natychmiast.

I rzeczywiście asesor bawił u Mattiasa i Hildy. Wszyscy troje udali się właśnie na przejażdżkę, gość zwiedzał posiadłość. Kaleb i Gabriella pojechali więc dalej i spotkali dostojnego gościa nad rzeką, gdzie wraz z całym towarzystwem oglądał młyn i tartak.

Kaleb odwołał wszystkich na stronę, dalej od wzburzonej rzeki, która tutaj z hukiem spadała z zalesionego wzgórza i spływała w dolinę. Pospiesznie rozgorączkowany wyłożył swoją sprawę.

Asesor, dość jeszcze młody Duńczyk, zmarszczył czoło.

- To prawda, że w tych dniach królewska komisja przybyła do Eng, lecz ma ona za zadanie wyjaśnić sprawę podatkową. Od dawna nie napływają stamtąd wpłaty. A ów bunt...?

Przecież nie miało być żadnych kar w związku z tym. Nie rozumiem, o co wójtowi chodziło, on chyba wszystko źle rozumiał. Jestem pewien, że córka wróci do domu, jak tylko nieporozumienie się wyjaśni.

- Czy to prawda, że mogłaby zostać ukarana za ten śmieszny znak na ramieniu? - zapytała Gabriella.

- Nie, sam słyszałem, jak Gyldenlove powiedział: „Puśćcie w niepamięć całe to przekłete powstanie! Nie mogę przecież skazywać ludzi, którzy chcieli wynieść mnie na norweski tron, i nie mogę poinformować o tym mego brata, króla Christiana. Nie, o tym wszystkim trzeba zapomnieć. Na zawsze!” Tak mówił.

- To dlaczego wójt...? Natychmiast jadę za nimi i przywiozę ją do domu - oświadczył Kaleb.

- Proszę tak zrobić - poparł go asesor i zawołał jednego ze swoich ludzi: - Laursen, pojedziesz z panem. I daj wójtowi reprimendę za to, co zrobił!

Gabriella upierała się, że też pojedzie. Dogonili wójta po drugiej stronie wzgórz oddzielających

parafie Eng i Grastensholm. Wraz ze swoim pomocnikiem o niewiarygodnie długich nogach siedział na skraju drogi i pił piwo. Villemo nie było.

60

- Gdzie jest moja córka? - zawołał Kaleb ze złością; twarz miał wykrzywioną od hamowanego wzburzenia.

- Pańska córka? - zdziwił się wójt. - Nie spotkaliście jej państwo?

- Nie spotkaliśmy nikogo. Co to wszystko ma znaczyć?

Wójt rzucił niespokojne spojrzenie w stronę pomocnika asesora. Nie ulegało wątpliwości, że wie, kto to.

- Po prostu Olav Haraskanke dogonił mnie po drodze z wiadomością, że wydano mi omyłkowy rozkaz. Przesłuchania nie dotyczą powstania, lecz zaległych podatków.

Natychmiast puściłem córkę państwa wolno, a ponieważ byliśmy na szczycie wzniesienia i mieliśmy przed sobą całą parafię Grastensholm jak na dłoni, nie widziałem potrzeby towarzyszenia jej do domu.

Kaleb nie ustępował.

- Moja córka jechała konno, musielibyśmy ją spotkać.

- Może wybrała inną drogę? Wygląda na to, że pańska córka jest trochę... skomplikowana.

- Skomplikowana? - Twarz Kaleba pociemniała, a Gabriella aż jęknęła z oburzenia.

- No, dziecinna... Trochę nieopanowana - starał się załagodzić wójt.

Kaleb poczuł skurcz bólu w żołądku. Nie chciał poważnie potraktować jej wcześniejszych

„nieszczęśliwych wypadków”, uważał, że to pech, który każdego może spotkać. Jeśli jednak Villemo mówiła prawdę. Jeśli naprawdę ktoś ją tropił?

Wtrącił się Laursen, człowiek asesora:

- Nie pojmuję, jak można było do tego stopnia nie zrozumieć rozkazu. A poza tym nie odprowadzić dziewczyny do domu...!

- Upierała się, że chce jechać sama.

Tak, to Kaleb i Gabriella byli w stanie zrozumieć. Villemo zawsze chciała działać na własną rękę.

Zawrócili konie.

Bez słowa pożegnania wszyscy troje ruszyli z miejsca.

Gdy znaleźli się ponownie na szczycie wzniesienia, z widokiem na całą okolicę, zatrzymali się. Panował jesienny chłód, powietrze było wilgotne. Zbliżała się zima.

61

- Nie rozumiem, którędy ona mogłaby pojechać - zastanawiał się Kaleb. - Chyba przez las.

- Są tam chyba jakieś przejezdne ścieżki - poparł go Laursen.

- Tak, ale...

Kaleb pocierał dłonią czoło.

- Svanskogen? Tam chyba nie pojechała?

- Nawet o tym nie wspominaj! - zachnęła się Gabriella. - Ileż to razy powtarzała, że tę sprawę uważa za zakończoną.

- Myślę, że ona jest już po prostu w domu - uspokajał Laursen.

Kaleb rozpogodził się.

- Tak, to nie jest wykluczone. Mogliśmy się rozminąć, kiedy my, Gabriella i ja, rozmawialiśmy z panami nad rzeką.

- Bardzo prawdopodobne.

- Owszem, to rozsądne wytłumaczenie - zgodziła się Gabriella.

W dużo lepszych humorach ruszyli ku domowi.

Villemo jednak tam nie zastali.

Był natomiast jej koń ze splątana uprzężą.

Kaleb wpadł w rozpacz.

- To prawda, że nasza córka bywa lekkomyślna, tym razem jednak wyszła z domu nie z własnej woli. Wójt mi za to zapłaci! To drań! I to niebezpieczeństwo, które ją prześladowało...

- Kaleb, musimy ją odnaleźć - szepnęła Gabriella ze strachem w oczach. - Nawet gdybyśmy mieli przetrząsnąć całą Norwegię. Musisz wyruszyć natychmiast i ja jadę z tobą.

Domyślił się, że małżonka nie byłaby w stanie czekać tu z założonymi rękami, skinął więc głową na zgodę.

Po raz drugi Villemo przepadła bez śladu. Wszyscy wiedzieli, że tym razem to poważna sprawa.

Nigdy nie była im droższa niż teraz. Villemo, ściągająca na nich nieustanne zmartwienia swoimi lekkomyślnymi, a jakże groźnymi przygodami, znowu znalazła się w niebezpieczeństwie. Nie wiedzieli tylko, co się stało.

62

To jeszcze bardziej utrudniało poszukiwania.

63

## ROZDZIAŁ VI

Wzięli z sobą Mattiasa i Niklasa oraz wielu ludzi z obu dworów i rozpoczęli przeczesywanie lasu od domu w stronę wzgórz.

Kaleb i Gabriella udali się do Svartskogen w towarzystwie Mattiasa, właściciela tych ziem.

Nie, Villemo tu nie było, tylko raz, dawno temu, przyszła z nieoczekiwaną wizytą. Przed wieloma tygodniami.

Stary gospodarz, ojciec Eldara, sprawiał jednak wrażenie, że coś go gryzie. Siedział zacięty i ponury i kopał nogę od stołu.

- Ty coś wiesz? - zapytał Mattias swoim łagodnym głosem. Powinien mu odpowiedzieć, poza wszystkim był przecież dla rodziny Svartskogen gospodarzem.

- Widzi mi się, że nietrudno zrozumieć, dlaczego wasza córka została napadnięta, panie -

burknął stary. - Spotyka ją ten sam los, co wszystkich naszych zmarłych ze Svartskogen.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - szepnął Kaleb pobladłymi wargami.

- Panna Villemo przypieczętowała swój los tego dnia, kiedy poszła za Eldarem na Bagna Wisielca. To łatwo pojąć!

- Chodzi ci o to, że została wciągnięta do buntowniczego sprzysiężenia? Przecież to już dawno przebrzmiała sprawa.

- Nie chodzi o bunt...

- To o co w takim razie? - zawołała Gabriella niecierpliwie.

- Państwo dobrze wiedzą, kto wtedy został zamordowany.

- Jacyś ludzie z Woller? Ale przecież i Villemo, i wasz syn zostali oczyszczeni z zarzutów!

- Nie przez wszystkich.

- Nie przez... Masz na myśli Wollerów?

Komornik ze Svartskogen uniósł głowę.

- Od dawna próbuję to powiedzieć. Czterej ludzie z Woller wyruszyli do Tobronn równocześnie z powstańcami. Czterema kulami został trafiony mój syn, Eldar to panna Villemo sama mówiła, no nie?

64

- Tak, rzeczywiście, tak mówiła po powrocie do domu. Lecz Eldar padł w walce przeciwko ludziom wójta - powiedział Kaleb.

Stary prychnął.

- Ach, tak? To dlaczego leżał sam na równinie? Żadnej bitwy w tamtym miejscu nie było. O, nie, Woller jest mściwy, mogę państwa zapewnić teraz, kiedy nareszcie zadaliście sobie tyle trudu, żeby przyjść i posłuchać, co stary biedak ma do powiedzenia. Tyle razy próbowałem wyjaśnić, dlaczego nasi ludzie wciąż giną. Nieszczęśliwe wypadki, mówili państwo. A ja mówiłem: Woller. Tylko że nikt nie chciał mnie słuchać.

- Zaczekaj no - rzekł Mattias, podchodząc bliżej. - Dlaczego. gospodarz z Woller miałby chcieć was wymordować? Tak, przyznaję, że w ostatnim czasie ród wasz stracił wielu dorosłych mężczyzn, ale...

Svartskogen popatrzył na niego spod krzaczastych brwi.

- To zemsta. Krwawa zemsta. I bardzo dobrze wiecie, panie, że to ciągnie się blisko pięćdziesiąt lat.

- Tak, ale dlaczego? Woller kupił wasz rodowy majątek, to wiem, lecz przecież żaden z was nie mógł go utrzymać. Był tak zadłużony, że musiał iść pod młotek.

- On długo na to czekał. Był w zмовie z wójtem. Moja rodzina zawsze wiedziała, że zdobył

nasz majątek podstępem. Tak, że mamy... - Stary odwrócił się niechętnie. - No tak, dawaliśmy im niekiedy bobu, drażniliśmy ich od czasu do czasu nożem. Ale to tylko obrona, bo oni wciąż deptali nam po piętach. Chcieli nas stąd całkiem wypędzić. Nie mieli czystych sumień, co pewnie ich jeszcze bardziej zaślepiło.

- Tak - zgodził się Mattias. - To prawda. Ale dlaczego nigdy przedtem o tym nie wspomniałeś?

- Tysiące razy!

- Być może mówiłeś coś do sąsiadów i przyjaciół. Nigdy jednak nie przyszedłeś do Grastensholm i nie powiedziałaś wprost. Natomiast dokuczaliście nam, o tym wiesz. Wasze dzieci wyśmiewały się z naszych, bo, jak mówi Villemo, byliśmy dla was za dobrzy, a wy nie chcecie przyjmować darowizn z łaski. Ale dość o tym! Czy możemy nareszcie zawrzeć pokój? I razem próbować wyjaśnić przyczyny



tego zła.

- To Woller, ja o tym wiem.

- Pojedziemy tam natychmiast i porozmawiamy z nim. Czy dasz nam swoje błogosławieństwo?

65

Svartskogen wstał z uroczystą miną i wyciągnął kościstą, spracowaną rękę. Mattias ujął ją i uśmiechnął się tak, jak tylko on to potrafił. Staremu zaszklily się oczy.

Woller było dużym majątkiem w parafii sąsiadującej z Grastensholm; w czasach Svartskogenów nie było to zapewne nic szczególnego, lecz obecny gospodarz rozbudował

Woller, zagarniając kawałek po kawałku ziemię sąsiadów. Kochany przez ludzi nie był, lecz nikt nie odważyłby się z nim zdrzeć, należał bowiem do osobników niebezpiecznych.

Bardzo niebezpiecznych.

Przyjął ich w solidnie, bez gustu urządzonym hallu. Młodzi, którzy nie znali go wcześniej, cofnęli się na jego widok. Był to chłop wielki i ciężki, o grubych rysach i zimnych, bezlitosnych oczach.

- Córka państwa? Ja miałbym wiedzieć, gdzie się podziewa państwa córka? Powinni państwo chyba bardziej ważyć słowa!

Także i tym razem mieli ze sobą Laursena, pomocnika asesora. Przedstawił się Wollerowi i zażądał, by mu umożliwiono przeszukanie dworu.

Oblicze Wollera pociemniało, wyglądał teraz niczym byk gotujący się do ataku.

- Pożalujecie tego! Ale proszę bardzo, szukajcie gdzie tylko chcecie. Nic tu nie ma. Jestem już za stary na uprowadzanie dziewczyc, moi panowie! A poza tym nie interesują mnie panny tego rodzaju.

Gabriella zapamiętała te słowa. Świadczyły bowiem, że Woller zna Villemo.

Podczas gdy inni szukali, Mattias odbył z właścicielem dworu poważną rozmowę. Ale to tak jakby mówić do ściany.

Ludzie ze Svartskogen? To hołota! Najlepiej byłoby ich wytępić. Ale on sam nie ma, oczywiście, czasu zajmować się takim łajnem jak oni. Nie, Woller jest niewinny jak baranek.

Mattias rozglądał się po hallu ozdobionym głowami zwierząt i innymi trofeami myśliwskimi i myślał swoje.

Spokojnie powiedział:

- Przrzekłem mojemu komornikowi ze Svartskogen, że gruntownie zbadam sprawę następnym razem, gdy kogoś z jego bliskich znowu spotka nieszczęście. Asesor obiecał

nam pomoc.

Głos Mattiasa brzmiał jak zwykle łagodnie, oczy wyrażały ubolewanie, lecz groźby kryjącej się w jego słowach nie można było nie zrozumieć.

Wielki gospodarz Woller nie powiedział nic więcej.

66

Przeszukujący majątek wrócili z niczym, mimo że zaglądali do wszystkich zabudowań.

Woller nie ukrywał triumfu. Wszyscy to widzieli, cóż jednak mogli zrobić?

W trzy dni później Kaleb i Gabriella musieli uznać smutny fakt: ich córka, Villemo, po raz drugi zniknęła bez śladu.

Z opaską na oczach prowadzono Villemo przez las. Napadu dokonano nagle. Jeśli to był napad...

Na wzgórzach spotkali jakiegoś człowieka o tak długich nogach, że gdy siedział na koniu, stopami niemal dotykał ziemi. Powiedział on wójtowi głośno i wyraźnie, że wszystko jest nieporozumieniem i Villemo powinna zostać zwolniona. Była zdenerwowana tym, co się stało, powstrzymała się jednak od ostrych słów. Rozpoczęła przecież, dzięki Bogu, nowe, lepsze życie.

Ale nie ujechała zbyt daleko w drodze do domu, gdy jacyś ludzie w czarnych kapeluszach rzucili się na jej konia, zatrzymali go, a ją ściągnęli na ziemię. Zawiazali jej oczy, ręce skrępowali na plecach. Protestowała gwałtownie, szarpała się i krzyczała, więc wcisnęli jej do ust jakąś szmatę z szorstkiej wełny, która tak ją drapała w gardle, że Villemo omal się nie udusiła.

Jeden z napastników potwornie śmierdział. Wydzielał z siebie odór brudnych ubrań i nie mytego ciała. Villemo postanowiła zapamiętać ten zapach. Na szczęście to ten drugi - Bogu niech będą za to dzięki - trzymał ją przed sobą na koniu, przerzuciwszy niczym zrolowany dywan przez grzbiet zwierzęcia, a przywiązana była tak mocno, że nie mogła się ruszyć.

Jechali przez gęsty las, ostre gałęzie drapały ją i kłuły.

Po jakimś czasie, wciąż zjeżdżając w dół, opuścili nareszcie ten przekłety las i wjechali na równinę. Ale gdzie byli, nie potrafiła odgadnąć. Wkrótce znowu zaczęli wspinać się pod górę.

Długo. I ponownie równina...

Konie zatrzymały się. Villemo zdjęto z końskiego grzbietu i ów cuchnący porywacz przerzucił

ją sobie przez ramię. Gdyby zachowała zdolność mowy, poprosiłaby go, żeby się częściej mył.

Weszli do jakiegoś pomieszczenia, świadczyło o tym echo kroków i wyraźna zmiana temperatury. Szli przez długie korytarze lub przestronne pokoje, potem schodami w dół.

Otwarto jakieś drzwi...

Villemo z rozmachem rzucono na ubitą ziemię, sznury na rękach rozwiązano i zaraz potem drzwi znowu się zatrzasnęły.

Poruszała zdrętwiałymi palcami, masowała je delikatnie i gdy tylko odzyskała w nich władzę, zerwała przepaskę z oczu i wyciągnęła knebel z ust. Zanim rozejrzała się po pomieszczeniu, długo pluła i parskiała.

67

Wokół panowała ciemność, pod sufitem dostrzegła jednak otwory, przez które sączyło się światło, kilka wyrw w ścianie, zaopatrzonych w solidne kraty i coś w rodzaju okiennic.

Tylko tyle była w stanie odróżnić.

Myślała wyłącznie o jednym: znowu ściągnęłam zmartwienie na rodziców! Choć tym razem to naprawdę nie moja wina. Jakaż to jednak nędzna pociecha!

Czy naprawdę jestem tak zupełnie bez... Cierń poczucia winy boleśnie ranił jej duszę. Że kiedy popełniła głupstwo, za które teraz przyjdzie jej zapłacić. Wszystko, co przeżyła ostatnimi czasy, te napady i nie wyjaśnione nieszczęśliwe wypadki, czy to nie miało związku z dawniejszymi sprawami?

Nagle zamarła.

Nie była tu sama. Ktoś ciężko oddychał w ciemnościach, w głębi, pod osłoną ściany.

Przerażenie ustąpiło miejsca uspokajającej myśli, że skoro ktoś tu jest, to znaczy, iż nie ona jedna znalazła się w tym położeniu.

Potrzebowała trochę czasu, by przyzwycząić oczy do mroku.

- Czy ktoś tu jest? - spytała drżącym głosem.

- Dobry Boże, kobieta - usłyszała odpowiedź, a zaraz potem zbliżające się kroki. Biedactwo, co pani tu robi? - zapytał głos. - I taka młoda! Jeszcze dziecko!

- Pan mnie widzi? - zapytała zdumiona. Nie bała się. Był to przyjazny głos kulturalnego człowieka.

- Wyraźnie, jak w świetle dnia. Pani też dojdzie do tego stadium. Jak się pani tu znalazła?

- Właściwie to nie wiem. Od dawna prześladował mnie ktoś, kto mi najwyraźniej źle życzy.

No i teraz mnie dostali.

- Pani ubranie, sposób mówienia, wskazują na pochodzenie z dobrej rodziny. Ale to mnie nie dziwi. Skoro mamy takich potężnych przeciwników.

Villemo wciąż mówiła drżącym, niepewnym głosem:

- Nie wiem, czy powinniśmy się sobie przedstawić... Sytuacja jest dość niezwykła.

W jego głosie wyczuła rozbawienie:

- Ma pani rację, możemy chyba trochę z tym poczekać.

68

- Pan mówi tak cicho i tajemniczo...

- Tak trzeba. Te ściany mają uszy. A nawet więcej.

- Tak - Przyznała szeptem. - Zdaje mi się, że jestem obserwowana.

- Bo tak jest w istocie. Jesteśmy obserwowani przez ludzi, którzy chcą się napawać cierpieniem innych.

- Będę o tym pamiętać.

Przeniknął ją dreszcz grozy, mimo że starała się zachować spokój i odwagę. Ten człowiek sprawiał, że chciała się pokazać z jak najlepszej strony.

- Czy pan... jest tu od dawna? - zapytała lękając się, co usłyszy w odpowiedzi.

- Któż jest w stanie mierzyć czas - odparł z goryczą. - Ale zauważyłem, że była zima i wiosna... tak, wkrótce pewnie zacznie się drugi rok.

- Całkiem sam?

- Nie, teraz jest nas tutaj troje. Ten trzeci śpi. ?

Zabrzmiało to tak, jakby dziękował za to losowi.

- Ktoś z pańskich przyjaciół?

- To akurat nie. Psychicznie chory, którego ulokowano tutaj, żeby mnie dręczył. Szaleniec z rodzaju tych, którym nie pozwala się swobodnie chodzić po świecie.

- Nie brzmi to zabawnie - wykrztusiła Villemo.

- Nie. I nie bardzo wiem, jak się teraz sprawy ułożą. Milczała przez chwilę, przestraszona, głośno

przełykając ślinę. Próbowwała zebrać myśli.

- Sądząc z pańskiego głosu, jest pan człowiekiem w średnim wieku.

Uśmiechnął się.

- Można tak powiedzieć. Mam czterdzieści dwa lata, ale nie wiem, jak pani określi mój wiek.

Villemo roześmiała się skrzepowana, ale nie odpowiedziała wprost.

- Tak się cieszę, że pan tu jest. Już się tak nie boję.

- Wygląda pani na osobę, która boi się rzadko. Proszę mi wybaczyć, ale czy myśmy się już nie spotkali?

69

Ujął ją za brodę i odwrócił twarz ku światłu.

- No tak, oczywiście, już się poznaliśmy - powiedział. - Tylko nie wiem gdzie.

Villemo próbowała dojrzeć w mroku jego rysy, ale oczy jeszcze nie przywykły do nowych warunków.

- Proszę mi powiedzieć, jak się pani nazywa - szepnął.

- Villemo córka Kaleba Elistrand.

- Znam to nazwisko! Ale w jakich okolicznościach...

- A pańskie nazwisko?

- Einar Skaktavl.

- To mi nic nie mówi. W każdym razie nic ponadto, że to szlacheckie nazwisko. Prawdziwe norweskie nazwisko szlacheckie. Najprzedniejsze.

- Teraz bez znaczenia. Ale mieliśmy czasy świetności, owszem. - Powtarzał, jakby głośno myśląc: - „Villemo...” Wtedy stwierdziłem: „Zdawało mi się, że to męskie imię.” Ciemność.

Deszcz i śnieg. W takich okolicznościach panią spotkałem. Villemo? Pani była chora. I zmęczona. Ale równie pociągająca jak teraz. Miała pani bra... - Gwałtownie podniósł głowę. -

Oczywiście! Tobronn! Pani była Merete! A ja byłem ostrzycielem noży.

Villemo jęknęła:

- To pan? W takim razie jesteśmy przyjaciółmi!

- Oczywiście - potwierdził wzruszony. - Najdroższa Merete, albo raczej Villemo, jak dobrze znowu panią spotkać!

Villemo miała łzy w oczach. Milczeli, przeżywając chwilę smutnego szczęścia z powodu tego spotkania. W końcu ona zapytała:

- Proszę mi powiedzieć, kim są nasi wrogowie?

- Ja znam moich. To tutejszy wójt z Eng oraz jego najbliższy przyjaciel i obrońca. Wspierają się zresztą nawzajem. Mieszkają w tej samej parafii i widują się codziennie. Wielu zwolenników zapewne nie mają, więc też są sobie nawzajem potrzebni.

Villemo szepnęła:

- Czy to nie pan był przywódcą powstania?

70

- Owszem, to prawda. W każdym razie moi rodacy wybrali mnie na króla Norwegii, gdyby Gyldenlove odmówił. Nasz ród ma w sobie królewską krew, pochodzimy z dawnej norweskiej dynastii. Po nieudanym powstaniu miałem zamiar uchodzić do Szwecji, ale oni mnie uprzedzili. Znalazłem się we władzy tych fanatyków, którzy znajdują przyjemność w dręczeniu mnie. Ale i to im się pewnie kiedyś sprzykry, a wtedy dni moje będą policzone.

Villemo współczuła mu głęboko.

- Bardzo pana dręczą?

- Zdarza się, owszem. Ale fizyczne cierpienia jakoś znoszę. Gorsza jest duchowa tortura, jaką jest przebywanie pod jednym dachem z kimś takim, jak ten śpiący tam w kącie. To szarpie nerwy bardziej, niż ktokolwiek może przypuszczać.

- Mogę to zrozumieć.

Skaktavl obiecał:

- Zrobię wszystko, by pani uniknęła bliższych kontaktów z tym gburem. On widzi w ciemnościach równie dobrze jak ja, więc natychmiast panią zauważy. Ale spróbujemy trzymać go jak najdalej od siebie.

Villemo pochyliła głowę.

- Jak pan myśli, czy oni będą mnie tu długo trzymać?

- To zależy od tego, w czym pani im zawiniła.

- Mam na sumieniu mnóstwo lekkomyślnych głupstw, ale nie rozumiem, dlaczego wójt nastaje na

moje życie. Domyślam się, że napad na mnie w lesie nie był przypadkowy. Wójt zostawił mnie przecież samą w miejscu, do którego właśnie on mnie zwabił. I pewnie wie, dlaczego tak postąpił.

- Może zrobiła pani coś, co nie podoba się jego przyjacielowi?

- A kim jest ten przyjaciel?

Skaktavl zwlekał z odpowiedzią. Potem szepnął:

- Ja sam nigdy go nie widziałem. Tylko słyszałem, jak wójt mawiał: mój przyjaciel lubi to lub tamto. Z tego, co wiem, musi to być jakiś ważny gospodarz w okolicy.

Rozbiegane myśli Villemo skupiły się teraz wokół jedyne go możliwego wniosku. Zaciśniętą pięścią stuknęła się raz po raz w czoło.

71

- Ja jestem po prostu idiotką! Kompletną idiotką! Zdarzyło się kiedyś, że zabiłam człowieka, proszę pana. Nie miałam innego wyjścia, to było w obronie własnej i dawno temu. Z całych sił starałam się o tym zapomnieć. Wspomnienie tego czynu sprawiało mi nieznośny ból, mimo że popełniłam go z konieczności. Ale ten człowiek, o którym pan mówi, to musi być gospodarz albo ziemianin, czy jak go tam nazwać, w każdym razie właściciel Woller. W

parafii Eng. Jest on znany z tego, że prowadzi krwawą wojnę według zasady oko za oko z rodziną naszych komorników ze Svartskogen. Jest to człowiek do szpiku kości przeżarty żądzą zemsty. I właśnie Eldar Svartskogen i ja zabiliśmy syna tego Vilollera i jednego z jego ludzi. To było przeszło rok temu. Potem uciekliśmy do Tobronn, wie pan. Ale zostaliśmy uwolnieni od oskarżeń o zabójstwo!

- Wątpię, by ten człowiek coś sobie z tego robił. Najwyraźniej należy on do tych, którzy sami wymierzają sprawiedliwość. Tak, to by się zgadzało. Słyszałem o śmierci Eldara Svanskogen. Nie mogliśmy zrozumieć, kto za nią odpowiada. Tak, panno Villemo, teraz mają także panią.

Głośno przełykała ślinę. Czy miała podzielić los Eldara? Na to wyglądało. Podjęto już wiele ataków na jej życie.

- Ale co Woller ma do pana? - zapytała nieszczęśliwa.

- Ja jestem więźniem wójta. Oni obaj bardzo popierają Duńczyków, a ja byłem przywódcą powstania. W najwyższym stopniu oburza ich to, że Gyldenleve nie chce ścigać powstańców. Wzięli więc sprawy w swoje ręce. A nikt nie wie, że ja tu jestem.

- Co to znaczy, tu? Jesteśmy w Woller?

- Nie sędzę - odparł Skaktavl wolno. - Mam wrażenie, że to raczej nie zamieszkane miejsce.

- Szliśmy przez jakieś duże sale czy korytarze.

Skaktavl uśmiechnął się:

- Nie czuła pani zapachu stajni?
- Zapachu stajni? Jak mogłam coś czuć, skoro niósł mnie Smród?
- Aha, to on panią przyniósł? Dobra nazwa, Smród, od razu się domyśliłem, kogo ma pani na myśli. Nie, to jest skrzydło opuszczonego dworu. Wygląda na to, że dość dużego.
- W takim razie nie możemy być nad stajnią - zaprotestowała.
- Toteż nie jesteśmy. Raczej w jakiejś oborze czy spichlerzu nieco poniżej stajni, przez którą pani przechodziła, lecz w tym samym skrzydle. Wyobrażam sobie, że dwór należy do pewnego mężczyzny o nieprawdopodobnie długich nogach, który się tu od czasu do czasu pokazuje.

72

- Do Olava Haraskanke?
- Może się i tak nazywać. Nie wiem.
- A dlaczego trzymają tego trzeciego, pańskiego współwięźnia?
- Został skazany na ścięcie, lecz wójt pozwolił mu zniknąć przed egzekucją, chciał go bowiem wykorzystać. Do dręczenia mnie. Przychodzą tutaj od czasu do czasu, by się napawać moją męką. Sami niewidoczni, ale ja wiem, że tam są. Widzę przez szpary przesuwające się cienie.
- Przecież w tych ciemnościach niczego zobaczyć nie można!

Skaktavl uśmiechnął się smutno.

- Teraz mamy „nocny nastrój”, panno Villemo. Oni zasłaniają otwory świetlne. Za dnia widać więcej.
- To znaczy, że teraz jest wieczór?
- W tym pomieszczeniu wieczór zapada wcześniej.

Oczy Villemo zaczynały się powoli przyzwyczajać do mroku. Dostrzegала już wiele szczegółów. Widziała, że pomieszczenie jest długie, choć niezbyt szerokie.

- Jak dostarczają jedzenie?
- Przynoszą raz dziennie. Musi pani zadbać, by dostać swoją część. Nasz śpiący przyjaciel ma zwyczaj pochłaniać większość. I proszę uważać na wodę, która zawsze stoi w beczce.

Ktoś nieprzyzwyczajony może się poważnie rozchorować na żołądek.



- A... inne życiowe konieczności... Proszę mi wybaczyć to pytanie, ale gdzie to się załatwia?

- W kącie, jak najdalej stąd. Nie jest to specjalnie zabawne, ale co począć?

- Rozumiem.

Stawała się coraz bardziej przygnębiona. Wyraźnie pojmowała swoją sytuację, ale starała się mimo wszystko nie tracić odwagi.

- Rodzina będzie mnie szukać - powiedziała trochę niepewnie.

Nie robiła sobie wielkich nadziei. Jakim sposobem mogliby ją odnaleźć, skoro sama nie miała pojęcia gdzie się znajduje?

73

- Najlepsze, co panienka może zrobić akurat teraz, to spróbować zasnąć - powiedział

Skaktavl przyjaźnie. - Już i tak jest ciemno, a rano będzie pani potrzebować sił na spotkanie z naszym współwięźniem. Proszę zająć moje legowisko, tutaj, a ja zrobię sobie nowe. Bo widzę lepiej niż pani.

Nie pomogły jej szeptem wyrażane protesty, musiała zająć jego poślanie, czyli mocno już ubitą kupkę siana w kącie. Jak on sam przygotował sobie nowe legowisko, nie miała pojęcia, wiedziała tylko, że ułożył się tak, by chronić ją przed ewentualnym atakiem tego trzeciego.

Suchymi oczyma wpatrywała się Villemo w szpary w ścianach i dachu. Zimowe niebo lśniło matową poświatą, ledwo już dostrzegalną. Nie mogła skupić myśli, krążyły po głowie niczym zabłąkane ptaki. W głębi duszy utrzymywał się przeświadczenie, że to jej bezrozumne zadurzenie w Eldarze Svartskogen wepchnęło ją w tę sytuację. Oraz ów szalony pomysł, by iść za nim na Bagna Wisielca.

Próbowała mimo wszystko w tej beznadziei dostrzegać jakiś jaśniejszy punkt. Gdyby się tu nie znalazła, Skaktavl szczelby w ciemnicy i nikt by się o tym nigdy nie dowiedział. Teraz szczerze pragnęła coś dla niego zrobić. W jakiś sposób pomóc mu się stąd wydostać.

Ale jak miałyby się to dokonać? Na razie nie widziała żadnego wyjścia. Nie tylko nie mogła pomóc jemu, lecz także sama została omotana jakąś paskudną pajęczyną i mogła tu siedzieć z nim dopóty, dopóki nie zostanie z nich obojga wyssana ostatnia kropla krwi.

- Tak się cieszę, że pan ze mną jest - szepnęła. - To dla mnie nieocenione wsparcie.

Myślała, że już zasnął i nie słyszy jej słów, tak długo trwało, nim odpowiedział. W końcu usłyszała szept:

- Pani także wniosła promień światła do mojego mroku. Choć serce mi się kraje na myśl, że znalazła się pani w takich warunkach.

Obudziło ją przytłumione światło. Promienie porannego słońca sączyły się przez szpary oraz przez kilka odsłoniętych teraz otworów pod dachem. Znajdowała się w pomieszczeniu przypominającym oborę, o ścianach podtrzymywanych dużymi belkami. Nic więcej zobaczyć nie zdążyła, bowiem potężne chrapnięcie zakończyło sen trzeciego więźnia. Mlaskał i oblizywał lepkie wargi, charczał, w końcu usiadł na legowisku.

W oborze zaległa kompletna cisza.

- Proszę zachować spokój, panno Villemo - szepnął Skaktavl. - Zrobię, co w mojej mocy, by panią ochraniać. Ale teraz będziemy obserwowani z zewnątrz. Na pewno będą chcieli zobaczyć, jak wypadnie spotkanie pani z tą brutalną świnią.

Brutalna świnia? Nie zapowiadało to nic dobrego.

- Co jest, do diabła? - ryknął tamten. - Goście przyszli?

74

Villemo przysunęła się Skaktavla, szukając jego ręki.

- To panienka z dworu - rzekł jej opiekun. - Wpadła w łapy naszych przeklętych strażników.

Musimy ją przed nimi bronić.

Człowiek wstał i podszedł do nich. Było na tyle widno, że Villemo widziała jego sylwetkę -

wielką, niezdarną, pochyloną do przodu, o ogromnej głowie i rękach jak grabie, sięgających aż do kolan.

Zbliżył się do Villemo, patrząc jej w twarz.

- O, cholera! Ale laleczka, niech mnie diabli! A widzisz jej oczy?

Skazany na ścięcie? Prawdopodobnie morderca. Cofnęła się instynktownie.

Tego właśnie nie powinna była robić. Potężna łapa chwyciła ją za ramię.

- Za ładna jesteś, co? Zaraz zobaczymy, ty...

- Zostaw ją - powiedział Skaktavl. - Ona jedzie na tym samym wozie co my. Musimy trzymać się razem.

Olbrzym zamierzył się długą jak u małpy ręką i z rozmachem zdzielił szlachcica prosto w twarz. Tamten upadł na plecy ze zdławionym okrzykiem.

Villemo rzuciła się na pomoc.

- Nic się panu nie stało?

- Nic, nic - odparł Skaktavl. - Jestem do tego przyzwyczajony.

Przestępcy nie spodobało się, że rozmawiają. Chwycił mocno Villemo i przyciągnął ją do siebie.

- Pluń na tę pokrakę - syczał. - I na to całe gadanie, że jedziemy na jednym wozie. Ja nie trzymam z wami. Dla mnie to wybawienie, na wolności już bym był martwy. Teraz pójdiesz ze mną, cukiereczku, tam do mojego kąta.

Wtedy zza drewnianej ściany doszło do uszu Villemo sapanie. Tego było jej za wiele.

Wśród Ludzi Lodu żywe były niezliczone opowieści o Sol, o tym, co potrafiła zrobić w złości.

Niektóre zostały pewnie dla lepszego efektu lekko ubarwione, wiele też Sol sama zmyśliła, lecz Villemo znała i pamiętała wszystko. Także opowiadanie o tym, jak Sol znalazła w Skanii i uratowała z rąk knechtów małą Metę. Jak sobie z nimi wówczas poradziła.

75

Nieokrzesany osiłek uderzył Skaktavla po raz drugi i wyciągał łapy po Villemo. Wtedy poczuła, że pochodzi z Ludzi Lodu. Zalała ją fala gwałtownej wściekłości, oczy jej płonęły, gotowa była się zmierzyć z całym światem.

- Stój, ty nędzny potworze! - ryknęła podobnie jak rozwścieczona Sol. - Tylko mnie dotknij tymi swoimi brudnymi łapami, to cię przemienię w pełzającą ropuchę.

Osiłek zamarł i gapił się na nią przerażony.

- Nie wiesz, kim jestem? - krzyczała. - Nie widzisz moich oczu? Ja jestem z Ludzi Lodu, w moich żyłach płynie krew czarownic i znachorów. Umieję zatrzymać bicie serca, umieję rzucić na kolana, kogo zechcę, przemieniam w potwory wszystkich, którzy mi wchodzą w drogę.

Niczego takiego nie potrafiłaby, oczywiście, zrobić, ale jakie to miało znaczenie, skoro on wierzył, że potrafi, jeśli zechce? Zresztą Villemo nie zdawała sobie sprawy, że jej kocie oczy jarzyły się niesamowitym żarem, pały w półmroku dziko. Na ich widok obłąkaniec z wyciem rzucił się do swego kąta, a Skaktavl szeptał poblady:

- Dobry Boże, co to znaczy?

Napięcie opadło. Villemo ogarnęła bolesna świadomość, że nie posiada żadnej nadprzyrodzonej mocy.

Wrażenie było jednak duże.

Także dla tych, którzy obserwowali zajście przez szpary między deskami. Odeszli zaraz w milczeniu, nie wiedząc, co o tym sądzić.

- Ja bym ją za to powiesił - burknął po chwili wójt niepewnie.

- Nie wolno nam się na to ważyć - zawołał pospiesznie Woller, a jego toporna twarz spływała zimnym potem. - Ale z tego mordercy pożytku już mieć nie będziemy.

- Masz rację. On się już do niej nie zbliży, za silna jest dla niego. Ale co się tyczy Skaktavla, to swoje zrobił. Teraz to się już staje nudne, nic nowego nie wymyśli.

- Tak. Przyjemniej będzie popatrzeć, jak zbliżają się do siebie piękna dziewczyna i pan szlachcic - powiedział bogacz.

- Ale on mógłby być jej ojcem. I na razie zachowuje się jak ojciec.

- To jeszcze lepiej. Stosunki ojca z córką mogą być bardzo pikantne, jeżeli trwają dostatecznie długo.

Wójt uśmiechnął się:

76

- Tutaj sprawa długo nie potrwa. On szybko znajdzie się w jej objęciach. Rok postu to więcej, niż jakikolwiek mężczyzna może wytrzymać.

Dosiedli koni i ruszyli do Woller, by pojeść tam smacznie i popić.

W oborze panowała cisza. Po pewnym czasie otworzyły się z trzaskiem drzwi i do środka wsunięto misę z jedzeniem.

Ale na tym się nie skończyło. Gdy obłąkany rzucił się na jadło, do pomieszczenia wpadło kilku mężczyzn. W powietrzu świsnęła siekiera i trafiła go w obuchem w głowę. Z jękiem zwałił się ciężko na ziemię. Tamci wywlekli go na zewnątrz i zamknęli drzwi.

Wszystko odbyło się tak szybko, że Villemo ledwo pojęła, co się stało. Ze szlochom rzuciła się do Skaktavla. Próbował pocieszać ją jak mógł, lecz sam był wstrząśnięty.

- On był taki... bezbronny - szlochała Villemo. - Człowiek, który zamierza jeść, a tu...

Oczywiście, był bestią, ale oni wcale się są lepsi!

Skaktavl potrafił jedynie wymamrotać niezrozumiale, że myśli podobnie.

- Dlaczego oni to zrobili? Właśnie teraz? Czy chcieli oszczędzić mi jego zalotów?

- Nie sądzę - uśmiechnął się smutno. - Nie, po prostu przestał być im potrzebny. Znalazł się ktoś, kto go pokonał.

- Kto?

- A jak pani myśli? - uśmiechnął się znowu.

Musiała się długo zastanawiać.

- Przestraszyłam go? Naprawdę?

- Nie tylko jego, panno Villemo. Pani oczy lśniły w mroku. To był... okropny widok.

Słuchała porażona.

- To narasta - szepnęła sama do siebie. - Nadchodzi.

- Co takiego?

- Dar, wiem, że go mam. Zdolności, jakich inni nie posiadają. Boję się tego, panie Skaktavl.

- To mnie nie dziwi. Sam też bym się bał. Ale jeśli chodzi o tamtego, to chyba dla niego lepiej. Oczywiście, to tragiczne, i boleję nad jego losem, ale dobrze będzie mieć trochę spokoju.

77

Villemo przyjrzała mu się po raz pierwszy tak uważnie. Z trudem rozpoznawała człowieka, który do górskiego szałas w pobliżu Tobrenn przywiózł dwóch rannych. Był teraz zarośnięty, długie, potargane włosy opadały na ramiona, a twarz i całe ciało niby skorupą pokryte było ranami i zakrzepłą krwią.

- Mówił pan, że on pana dręczył, i to widać - stwierdziła Villemo z tą typową dla niej powściągliwą życzliwością. - Czy mogę obejrzeć rany? Może będę w stanie pomóc.

Miał co do tego wątpliwości, lecz podszedł do beczki z wodą i umył się najlepiej jak umiał, bo - jak sam powiedział - dopiero gdy ona się tu zjawiała, uświadomił sobie, jak strasznie musi wyglądać. Nabrał chęci, żeby się trochę ogarnąć.

Zauważyła, że Skaktavl kuleje i że lewą rękę ma niewładną w łokciu. A nie były to jedyne obrażenia.

Delikatne, choć też trochę niecierpliwe ręce Villemo dokonywały cudów. Codziennie opatrywała jego rany, czyściła ropiejące wrzody i ofiarowała część swoich ubrań na bandaże. Wspierali się nawzajem jak dwoje ostatnich przyjaciół na ginącym świecie. Oboje bardzo delikatni, okazywali sobie jak najwięcej szacunku i bali się, czasami nawet przesadnie, by nie ranić jedno drugiego.

Pozostawiono ich w spokoju. Codziennie dostawali jedzenie, strażnicy wrzucili też trochę świeżej słomy na posłania, lecz nikt do nich nie przychodził. Wartownikami byli ci sami ludzie, którzy napadli na Villemo w lesie, Smród i jego kompan.

- Co oni zamierzają? - zastanawiała się Villemo.

- Nie wiem - odpowiadał Skaktavl niezmiennie. - Nie wiem.

Czuł się teraz znacznie lepiej, stare rany się goiły i nie przybywało nowych. Był jednak skrajnie wyczerpany, być może nigdy nie wróci już do zdrowia po roku spędzonym w tej oborze w towarzystwie obłąkańca, który nienawidził całego świata i na nim wyładowywał swoją złość.

- Jak pan tu przeżył zimę? Ja już teraz potwornie marznę - skarżyła się Villemo.

- Przynosili mi żelazny saganek z żarzącymi się węglami.

- To chyba niebezpieczne?

- Tak, ale zrobili otwór do odprowadzania dymu. Mimo wszystko zimno tu było nieustannie.

Wieje przez te dziurawe ściany. Nabawiłem się paskudnego reumatyzmu.

Tak, Villemo bała się, że to prawda. A co będzie z nią?

78

Bardzo szybko ona także zaczęła dostrzegać, kiedy są obserwowani. W zupełnej ciszy nietrudno było zauważyć, że dwóch mężczyzn przygląda im się przez otwór w ścianie.

Zarysy postaci były wyraźnie widoczne. Villemo proponowała, by zalepić szczeliny ziemią, lecz Skaktavl odradzał. Lepiej nie drażnić tamtych bez potrzeby.

Spokój, ta zupełnie niezrozumiała cisza, trwała przez tydzień. W końcu Woller stracił cierpliwość.

- Nic się nie dzieje - narzekał do wójta. - Oni się zachowują jak na dworskim balu. „Proszę bardzo, może jeszcze kawaleczek?“, „Czy pan siedzi wygodnie, wasza wielmożność?“ Nie tego się spodziewałem.

- Może powinniśmy wsadzić ich razem do ciasniejszej klatki?

Woller skrzywił się.

- Nie zdaje mi się, żeby to pomogło. Stary musiał utracić męskie siły. Nie, myślę, że powinienem mocno uderzyć w dziewczynę. I wiem, co zaboli najbardziej.

Dwa dni później do więźniów przyszedł Olav Haraskanke. Stał w drzwiach.

- Czy panienka wie, gdzie jest matka?

Villemo nie odpowiedziała. Przyglądała mu się z chłodnym spokojem.

- Nie wie panienka? To ja powiem. Margrabina wyruszyła na poszukiwanie panienki. I to nie nasza

wina, że koń wpadł we wnyki, które zastawiliśmy na zające. No i szlachetny karczek został skręcony. Ale nie był to koński kark.

Tego dnia Villemo załamała się po raz pierwszy. Wszelka odwaga, którą miała, cały spokój, opuściły ją na wieść, że za jej lekkomyślność ukochana matka zapłacić musiała życiem.

Tak dotkliwą karę musiała więc ponieść za to, że ponad rok temu uległa impulsowi i poszła za Eldarem Svartskogen?

To było więcej, niż mogła znieść. Nie przynosiły ulgi ani łzy, ani krzyki rozpacz.

Teraz pan na Woller uśmiechał się triumfalnie przy swojej dziurze w ścianie.

79

## ROZDZIAŁ VII

Dominik Lind z Ludzi Lodu pędził co koń wyskoczy ku granicom Norwegii. Noc miała się ku końcowi, za plecami jeźdźca rozjaśniała się coraz wyraźniej poranna zorza. A on, w rozwianej pelerynie, gnał niczym wielki czarny cień na zachód. Ręce, w których trzymał

lejce, ochraniały przed wilgotnym grudniowym chłodem długie rękawice, pod aksamitną kurtką spoczywał królewski list.

Nie poświęcał jednak zbyt wiele uwagi swemu kurierskiemu zadaniu. Natomiast często przesuwiał ręką po kieszeni, gdzie schował inny list: ostatnią krótką wiadomość od Villemo.

Czytał go tyle razy, że pamiętał każde słowo.

Dzisiaj umarła moja miłość do Eldara. Właściwie była martwa już od dawna, ale ja starałam się ją podtrzymać, bo chciałam wierzyć, że ktoś mnie kochał.

Uwolniła się od myśli o Eldarze Svartskogen. Nareszcie! Dużo czasu to zabrało.

Przyjedź jak najszybciej, najdroższy Dominiku. Tak się cieszę, że znowu Cię zobaczę!

Zabierze ją do Szwecji. Radowało go to niezmiernie, choć list Villemo budził niepokój.

Jeszcze jeden atak na jej życie. Nieudany, także i tym razem, ale nie można dopuścić, by takie wypadki miały się powtarzać!

Niepewność, co się teraz dzieje w Grastensholm, gnała go naprzód. To było zresztą coś więcej niż niepewność. Dominika dręczył jakiś trudny do określenia wewnętrzny niepokój.

Kiedys już się tak zdarzyło, że błagał ojca, by jak najprędzej jechać do Lipowej Alei, doznawał bowiem uczucia, że czas rozpaczliwie nagli. I wtedy przybyli na miejsce dosłownie w ostatniej chwili, by stary Are mógł zobaczyć swego zaginionego wnuka, Mikaela, i jego syna Dominika.

Tym razem także czas nagił. Nie byłby w stanie powiedzieć, czy już nie jest za późno.

Tak się cieszył z listu Villemo! Napisała do niego, ona, która zawsze krzywiła się i parskała na jego widok, gdy byli dziećmi. Zarazem jednak istniała między nimi jakaś niewidzialna więź. Wiedział, że zwróciła się do niego, bo podświadomie wyczuwała, że za jego złośliwościami kryje się potrzeba opiekania się nią. Villemo zawsze potrzebowała jego opieki, szukała u niego poczucia bezpieczeństwa. Nigdy jednak tej potrzeby nie ujawniała aż do tej chwili, do tego pierwszego, długiego listu.

Ich przyjaźń opierała się jednak nie tylko na tym, że jedno było opiekuńcze, a drugie bezbronne.

Dominik uśmiechnął się pod nosem. Villemo bezbronna? Owszem, choć ona sama nigdy by się do tego nie przyznała, było coś niezwykle delikatnego w jej drobnej postaci.

80

A poza tym on i Villemo mieli podobne zainteresowania. Mogli rozmawiać ze sobą godzinami, rozumieli się znakomicie. Nie pojmował więc, skąd się brały te jego wieczne złośliwości i jej agresja. No, może swoje zachowanie jednak rozumiał, ale jej...?

Nigdy już nie będzie się z nią drażnił. Żeby tylko udało mu się wyrwać ją z kręgu czającego się zagrożenia i zawieźć do bezpiecznej Szwecji!

Dominik zaciskał zęby. Był niezwykle przystojnym młodzieńcem o czarnych lśniących włosach; nosił fryzurę pazia. Cerę miał złotobrązową, nos prosty, usta mocno zarysowane, pociągające, i żółte oczy, jak u perskiego kota. A ponieważ otaczały je czarne i gęste rzęsy, efekt był fascynujący.

Jego matka, Anette, podejmowała desperackie próby ożenienia jedynaka z którąś z dam dworu. Miała co do niego ogromne ambicje, a młode panny, jedna znamienitsza od drugiej, też nie miały nic przeciwko temu. Wprost przeciwnie, i to mimo że Dominik nie pochodził z prawdziwie szlacheckiego rodu. Wszystkie wysiłki natrafiały jednak na jego zdecydowane:

„Mamo, ja sam powiem, kiedy będę gotów do małżeństwa”.

Matka załamywała ręce, wzdychała i narzekała. Zmartwiona szukała rady u męża: „A może nasz syn jest taki jak Alexander Paladin? Może ma... nienaturalne skłonności?” Mikael długo nie mógł się oderwać od powieści, którą właśnie obmyślał, w końcu odpowiedział: „Dominik?”

Nonsens! Chłopak nie ma jeszcze dwudziestu trzech lat, daj mu czas!”

Słońce wzeszło. Mozolnie wydostało się ponad horyzont i na razie na tym poprzestało.

Dominik poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Potrzebował odpoczynku i koń także...

To ze względu na konia zatrzymał się na parę godzin w przydrożnej gospodzie.

Potem znowu popędził przed siebie. Nie miał ani chwili do stracenia.



Olav Haraskanke znowu przyszedł do obory. Villemo nauczyła się nienawidzić tych jego odwiedzin.

Spoglądała na niego żałośnie zapłakanymi oczyma i mocno trzymała rękę Skaktavla.

Z czym teraz przychodzi? Kilka dni temu wkradł do obory z tym swoim triumfującym uśmieszkiem i oznajmił, że w Elistrand był pożar. „Kilku tych waszych idiotów spaliło się żywcem w zamkniętym pomieszczeniu. Ich krzyki niesły się po całej okolicy. Co za okropne życie!”

I poprzedniego dnia pojawił się także. Z najwyższą przyjemnością poinformował: „Stary z Lipowej Alei się przekręcił. Zjadł zatrute mięso. To przykre, ale mięso było podarunkiem od nas!”

Wuj Brand? Ten kochany, życzliwy stary Brand! Jak oni mogli? Jak mogli? On przecież w niczym nie zawinił!

81

A teraz znowu Haraskanke stał w drzwiach.

Uśmieszek na jego wargach był szerszy niż zazwyczaj.

- Wydaje mi się, że twój ojciec szukał zbyt uporczywie - powiedział, a jego rzadkie zęby błysnęły w mroku obory. - Szkoda takiego silnego mężczyzny. W najlepszych latach.

Olav Haraskanke odwrócił się i wyszedł. Villemo rzuciła się za nim, waliła pięściami w drzwi, ale odpowiadało jej tylko echo własnych uderzeń.

- Coście zrobili z moim ojcem? - wrzeszczała rozdzierająco. - Co zrobiliście z moim ojcem, potwory?

Skaktavl próbował ją pocieszać, lecz niewiele mógł poradzić. W końcu upadła na ziemię i szlochając rozpaczliwie przywarła do niego, szukając ratunku.

- Czy nie możemy się stąd wydostać? - łkała. - Czy nie ma żadnej, ale to żadnej możliwości ucieczki, zanim oni wszystkich uśmiercą?

On spoglądał na to biedne, drobne stworzenie w podartej odzieży. Była przeziębiona, miała katar i kaszlała.

- Żadnej. Chyba że przegryziemy te belki. Kopałem w różnych miejscach, szukając jakiegoś przejścia, ale wszystko na próżno. Umocnili każdą najmniejszą szczelinę w ścianach, powbijali pale głęboko w ziemię. Chyba nie my pierwsi zostaliśmy tu zamknięci.

Villemo przyciskała dłonie do ust, by powstrzymać płacz.

- Moi kochani! Wszyscy, których kocham, umierają. Z mojej winy. Nie wytrzymam tego!

Po drugiej stronie ściany właściciel Woller przeżywał chwile radości.

Znalazł odpowiednią metodę na tę upartą dziewczynę. Jej załamanie było bliskie. Tuż, tuż...

Wstawał szary grudniowy dzień. Dominik znajdował się już na terenie parafii Grastensholm.

Przyjechał dużo wcześniej, niż planował. Tuż przed świętami, obiecał Villemo. Tymczasem do świąt było jeszcze daleko.

Powiniennem najpierw pojechać do Lipowej Alei, do najbliższej rodziny, ale nikt mnie tam jeszcze nie oczekuje, więc nie wezmą mi chyba za złe, jeśli zacznę od Elistrand.

Zeskoczył z konia na dziedzińcu pogrążonym w ciszy.

Dopiero po dłuższej chwili pojawiła się jakaś służąca.

- Pan Dominik! Och, kochany panie Dominiku, teraz pan przyjechał?

82

- Tak. Państwo w domu?

Kobieta wybuchnęła płaczem.

- Ach, panie Dominiku, to takie okropne! straszne!

Przerażony złapał ją za rękę.

- Villemo? Coś się stało pannie Villemo?

Służąca nie była w stanie mówić od płaczu. Kiwała tylko głową.

- Nie żyje? - krzyknął Dominik.

- Nie wiemy - szlochała. - Zniknęła. A jej wysokość...

- Ciotka Gabriella? Co się stało?

- Pani spadła z konia i... I paliło się we dworze.

- Rzeczywiście, widzę osmalone ściany. A gdzie wuj Kaleb?

W tej chwili drzwi domu otworzyły się i wyszedł Kaleb. Był blady i zmieniony, wyglądał na dwadzieścia lat więcej niż te pięćdziesiąt sześć, które miał.

- Dominik, najdroższy przyjacielu, jak dobrze cię widzieć! Wpadliśmy w jakiś wir tragicznych wydarzeń, pojęcia nie mamy, co robić. Wejdz, proszę, do środka, pospiesz się.

Dominik podziękował służącej i dwoma susami pokonał schody.

- Proszę opowiedzieć - zawołał, nawet się nie rozbierając. - Słyszę, że Villemo znowu zaginęła. I że ciocia Gabriella spadła z konia. Jak ona się czuje?

- Leży na górze. Chodź, pójdziemy do niej, na pewno chciałyby się z tobą przywitać.

Gabriella złamała obojczyk, ale Niklas złożył kości. Musi teraz tylko leżeć, dopóki się nie zrosną.

- O, Bogu dzięki - szepnął Dominik idąc za wujem po schodach. Przypomniawszy sobie, jak szedł tu kiedyś z Villemo, która chciała mu pokazać swój pokój. - Słyszałem też o pożarze...

- No właśnie, nie ma wątpliwości, że ogień podłożył ktoś obcy. Zaczęło się palić w domu, w którym mieszkają upośledzeni. Udało nam się ugasić w porę.

- Nikt nie ucierpiał?

- Na szczęście, nie. To tacy mili, ufni ludzie. Byłaby straszna tragedia. I dla nich, i dla nas.

83

- A wuj sam? Wujowi nic się nie stało?

- A jakże, mnie też nie ominęło. Poszukiwałem Villemo w parafii Eng, bo podejrzewamy, że tam właśnie się znajduje, i ktoś do mnie strzelał, ale nie trafił. Zdążyłem uciec, gdy ładował

broń. Tu w domu wciąż dzieją się jakieś przerażające rzeczy. Brat twojego dziadka, wuj Brand, dostał piękny kawał mięsa w prezencie od kogoś nieznajomego. Na szczęście Eli ma dobry nos. Mięso było zatrute, Dominiku, zatrute!

Zapukali do pokoju Gabrielli i weszli. Dominik witał się z matką Villemo, która bardzo mu przypominała jego własną. Ta sama delikatna uroda, ta sama ciemna karnacja. Ale rysy twarzy miały, oczywiście różne. Charaktery także. Gabriella należała do osób wrażliwych, podatnych na wpływy innych, które łatwo zranić. Anette była neurotyczką, przewrażliwioną, wciąż pełną lęku, czy zachowuje się tak jak należy. Anette była męcząca, Gabriella spokojna. A mimo to Dominik znajdował w nich zdumiewające podobieństwo.

Wyraził ubolewanie z powodu wypadku.

Gabriella trzymała jego rękę w swoich wąskich dłoniach i spoglądała na niego ciepło.

- Och, mną się nie przejmuj. Nic mi nic będzie. tak się boimy o Villemo. Kiedy poprzednim razem zniknęła, przysłała Kalebowi wiadomość, żeby się o nią nie martwić. Tym razem jednak ani widu, ani słyhu... Tak się boimy, że ona...

- Villemo żyje - powiedział Dominik spokojnie.

- Co? - zawołali oboje. - Ty coś wiesz? Masz jakieś wiadomości?

- Nie.

- To ta... zdolność Ludzi Lodu ci podpowiada? - zgadywał Kaleb niepewnie.

Dominik uśmiechnął się, lecz natychmiast znowu spoważniał.

- W pewnym sensie tak, ponieważ znowu doznawałem dziwnego uczucia, że muszę się spieszyć. Gnałem tu niczym wiatr. Powinienem przyjechać dopiero za kilka tygodni i Gyldenlove był bardzo zaskoczony, że tak szybko otrzymał odpowiedź od Karola XI. Wprost niewybaczalnie szybko wyrwałem się też z Akershus. Ale głównym powodem, dla którego myślę, że Villemo żyje, są te nieszczęśliwe wypadki, które was spotykają. Proszę mi jednak opowiedzieć o wszystkim po kolei! O wszystkim, także o tym, co się zdarzyło przed zaginięciem Villemo. Nie wiem przecież nic ponadto, co sama mi napisała o tych zamachach na nią.

- Tak, oczywiście, ale usiądź, kochany Dominiku! I zdejmij chociaż pelerynę! Kaleb, powiedz, żeby nam tu podano coś do jedzenia.

84

Gdy jedli, rodzice Villemo opowiedzieli, co im było wiadomo - od tych pierwszych przepytywań służby, dlaczego Villemo nie wychodzi z domu, aż do ostatniej napaści na Kaleba.

- Czy staraliście się wycisnąć coś z tego wójta? - pytał Dominik.

- Oczywiście, nasz przyjaciel asesor przesłuchiwał go, ale on wciąż powtarza tylko, że uwolnił Villemo na wzgórzach. Sprawdzaliśmy też Woller, ale Villemo tam chyba nie ma.

Przy okazji te poszukiwania przyniosły coś ważnego. Pogodziliśmy się mianowicie z ludźmi ze Svartskogen, bardzo nam pomagają. Oni są przekonani, że stoi za tym stary Woller, my zresztą też jesteśmy tego zdania. Asesor jeździł jeszcze później do Woller, ale więcej niż my nie wskórał. Tyle tylko że Svastskogenowie otrzymali prawną ochronę w osobie asesora i przynajmniej mogą poruszać się bezpiecznie po okolicy.

Gabriella zapytała:

- Dlaczego sądzisz, że te późniejsze nieszczęścia świadczą, iż Villemo żyje?

- Ktoś ją więzi i mści się na niej, atakując was, jej najbliższych. Możecie być pewni, że ona o tym wie. Zresztą prawdopodobnie opowiadają jej znacznie więcej, niż w istocie ma miejsce.

- Ależ to nieludzkie? Dlaczego ktoś miałby się na niej mścić?

- To chyba jasne - westchnął Kaleb. - Ponieważ ona i Eldar Svanskagen zabili Monsa Wollera.

- Wciąż ten Woller - zasepił się Dominik. - Czy otrzymam pozwolenie wujostwa, bym pojechał tam jej szukać?

Ręka Gabrielli zacisnęła się z lękiem na jego dłoni, a Kaleb wzdychał i długo nic nie mówił.

- Choć bardzo byśmy chcieli, musimy odmówić - powiedział w końcu. - Dostępu do dworu Woller strzegą ukryci strzelcy.

Dominik uśmiechnął się.

- Nie zapominajcie, że ja mam zdolność wyczuwania, co ludzie myślą. Zwłaszcza dobrze wyczuwam obecność ludzi, którzy mi źle życzą, i umiem się przed nimi bronić.

Kaleb i Gabriella spoglądali po sobie. Długo, ze zwątpieniem, ale i z nadzieją, a także z wyrzutami sumienia, że odważyli się mieć nadzieję.

- Nie chcielibyśmy o niczym decydować - rzekł wreszcie Kaleb. - Dziękujemy ci za dobre chęci, ale powinniśmy chyba zapytać twoją najbliższą rodzinę z Lipowej Alei. Niech oni rozstrzygną! Tacy jesteśmy tchórzliwi, że powierzamy twój los innym.

85

- Rozumiem to bardzo dobrze - uśmiechnął się Dominik. - Ale skoro tak, to powinienem jak najszybciej pojechać do Lipowej Alei.

Brand i Andreas wahali się długo, w końcu jednak wyrazili zgodę. Niklas chciał także jechać, lecz Dominik pragnął być sam. Postanowił wdrzeć się na terytorium wroga i starał się nie wciągać innych w niebezpieczeństwo.

Koń byłby zbyt widoczny, zostawił go więc w Lipowej Alei. I wyruszył nie zwlekając. Wszyscy inni szukali już Villemo, teraz nadeszła jego kolej.

Także jego celem była parafia Eng i dwór Woller. najpierw jednak rozejrzał się dokładnie ze szczytu wzniesienia.

Eng było mniejsze niż Grastensholm, ciasno otoczone porośniętymi lasem wzgórzami. A niedaleko stąd leżała parafia Moberg, to wiedział.

Dwór Woller widziało się z daleka, był największy w tej okolicy. Dominik przyjrzał się najbliższym zabudowaniom, wiedział jednak, że jego rodzina, Svartskogenowie oraz ludzie asesora przeszukali wszystkie domy w pobliżu Woller, wszystkie zagrody komornicze należące do dworu.

Villemo tam nie było.

Przemykał się po bezdrożach, przepatrywał lasy i pola, wreszcie dotarł do Woller. Obcy nie miał żadnej szansy dostać się na dziedziniec, a zwłaszcza szukać tam czegoś na własną rękę. Nie było też mowy, by dowiedzieć się czegoś o Villemo od służących. Gospodarz bardzo starannie dobierał swoją służbę. Byli to ludzie tego samego pokroju co on, wszyscy co do jednego.

Miało się ku wieczorowi. W ciemnościach Dominik i tak nic by nie zdziałał, postanowił więc pójść

prosto do jaskini Iwa.

Gospodarz przyjął go osobiście. Dominik Lind z Ludzi Lodu? Jeszcze jeden z tych pyszałków.

Na widok gościa cofnął się mimo woli. Żółtooki, ten także? I co to za oczy! Błyszczały pod czarnymi łukami brwi niczym wypucowana miedź.

Należał do znamienitej rodziny, samo ubranie o tym świadczy. To jeden z Paladinów? Nie, raczej Szwed.

Młodzieniec przedstawił się jako kurier Jego Wysokości króla Karola.

I to był ze strony Dominika błąd. Liczył na swego rodzaju nietykalność, lecz stary Woller za nic miał króla Szwecji Karola XI. Przeciwnie, zirytowało go to jeszcze bardziej. Jako 86

zdeklarowany zwolennik Duńczyków zawsze żywił do Szwedów nienawiść. Tego dudka tutaj powinien stuknąć.

Wszystkie zmysły Dominika, pięć normalnych i jeden nadzwyczajny, były napięte do granic wytrzymałości. Znakomicie wyczuwał nastrój swego przeciwnika.

To przestępca, myślał, przyglądając się topornej twarzy tamtego, jego byczemu karkowi tak potwornemu, że uszy sterczały jakoś dziwnie, fioletowoczerwonej barwie szyi, znamionującej choleryczny temperament. To zwaliste, despotyczne indywiduum miało Villemo w swoich łapach. Na ugodę z nim trudno liczyć.

To przebiegły typ, świadczą o tym choćby te na wpół przymknięte oczka. Muszę być ostrożny. Nie powinienem był tu przychodzić, popełniłem błąd.

No, ale przyszedłem. Wszyscy, którzy tu byli przede mną, grozili, wściekali się, błagali i prosili... Bez skutku. Więc co ja mam zrobić?

Plan, z którym szedł, by spokojnie, rzeczowo porozmawiać i może w ten sposób dojść do jakichś rozstrzygnięć, rozwiązał się natychmiast, gdy zobaczył Wollera. Ten człowiek się nie cofa. On robi, co chce.

Dominik zaczął wprost:

- Wiem, że pan przetrzymuje moją kuzynkę, Villemo córkę Kaleba. Wiem, że znęca się pan nad nią dla zemsty, bo była przy śmierci pańskiego syna. Ale to nie ona go zabiła, a poza tym działała w obronie własnej. To on na nią napadł i pan o tym wie.

Woller gapił się na swego z otwartą gębą. Ten młodzik wie trochę za dużo. Historia śmierci Monsa jest znana, ale skąd wie, że Villemo trzymana jest w ukryciu i dręczona? To mu się nie podobało.

- To kłamstwo i pomówienie z jej strony - oświadczył krótko. - Mons miał zawsze każdą dziewczynę, którą zechciał, i nie musiał gwałcić tej mioty!

Wzrok Dominika pociemniał.

- Ta, jak pan mówi, miotła, jest mi droższa niż wszystko na świecie. Pisała do mnie z prośbą o ratunek w związku z tymi wszystkimi atakami na jej życie. Przyjechałem natychmiast.

Proszę pana... Ona już dość wycierpiała.

Oczy Wollera zrobiły się teraz wąskie jak szparki:

- Jest panu, znaczy się, droga? I pan jej pewno też?

- Mam taką nadzieję.

87

Chłop stał i długo coś rozważał. Dominik wyczuwał jego nastrój i bardzo mu się to nie podobało.

- Dobrze! Będzie ją pan mógł zobaczyć.

Dominik odetchnął. Więc Villemo żyje i być może ją zobaczy? O, to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

I akurat w tym przypadku miał rację. Dominik był zbyt łatwowierny, by mierzyć się z takim lisem jak właściciel Woller. Gospodarz zadzwonił i do izby weszło trzech mężczyzn: jeden miał nieprawdopodobnie długie nogi, drugi niczym szczególnym się nie odznaczał, ale za to trzeci cuchnął z daleka.

- Ten młody człowiek chciałby dotrzymać towarzystwa pannie Villemo. Brać go!

Dominik był silny. Czterem uzbrojonym ludziom jednak nie mógł dać rady.

Woller odwiedził swego przyjaciela wójta.

- Trafił mi się niezły łup - oświadczył. - Zrobimy teraz zamianę. Skaktavl nie ma już żadnej wartości, a poza tym ledwie dyszy. Ty się nim zajmij, a my na jego miejsce pošlemy tam tego nowego. Teraz pyskata panna Villemo nareszcie zobaczy, jak pan na Woller obchodzi się ze swoimi wrogami!

Drzwi obory otworzyły się nagle, do środka wpadli trzej mężczyźni, pochwycili Skaktavla i wywlekli, zanim więźniowie zdążyli pojąć, co się stało.

- Nie! - wrzeszczała Villemo. - Nie, nie zabierajcie go! Nie odbierajcie mi jedyne go przyjaciela!

Tamtych już jednak nie było. Zdążyła mimo wszystko w ich twarzach wyczytać, że Skaktavl wyruszył w swą ostatnią drogę.

Upadła na ziemię tuż przy drzwiach.

- Nie róbcie mu krzywdy - łkała cicho. - To wspaniały człowiek. I tyle przecierpiał. Nie zostawiajcie mnie tu samej!

Ale obora była pusta. Wielka, zimna, ciemna i beznadziejnie pusta.

Wieczorem usłyszała, że ktoś się zbliża.

Kroki dwóch ludzi.

Drzwi zostały otwarte.

88

W progu stał rostry i zwalisty mężczyzna, dobrze ubrany. Twarz miał ponurą, niby wyciosaną w kamieniu.

- Villemo córko Kaleba z Elistrand, teraz już wiesz, jak się człowiek czuje, kiedy traci najbliższych?

Podświadomie wyprostowała się. Wyglądała żałośnie, z włosami w strąkach i w postrzępionym ubraniu. Sina z zimna, zakatarzona, zanosząca się kaszlem w tej przewianej lodowatym wiatrem oborze. Swoją godność mimo to zachowała.

- Ja nie zabiłam waszego syna. On chciał mnie zgwałcić i Eldar Svartskogen mnie bronił.

- Myślisz, że twoja nędzna cnota warta jest więcej niż życie mojego syna?

Uznała, że na to odpowiadać nie musi.

- Kiedy stąd wyjdę?

- Kiedy wypijesz swój kielich do dna.

- Już to zrobiłam.

- O, nie! Dużo jeszcze przejdiesz, zanim przybijemy wieko twojej trumny.

Przełknęła ślinę i powiedziała niepokornie:

- Wszy mnie oblażyły w tej waszej brudnej oborze.

- Niedługo znajdziemy na to radę. Odwrócił się i zatrzasnął drzwi. Znowu została sama.

Tak strasznie tęskniła za Skaktavlem i rozpaczała nad jego losem. Przeklinała siebie, że nie zdążyła przeszkodzić oprawcom, gdy go wyciągali. Cóż jednak mogła była zrobić?

Po chwili znowu dwaj ludzie weszli do obory, w rękach idącego przodem zobaczyła ogromne nożyce. Schwytali Villemo, jeden ją trzymał, a drugi ścinał włosy niemal przy samej skórze.



Villemo wrzeszczała dziko i szarpała głową.

- Chcesz, żebym ci nożyce wbił w skórę?

- Nie.

- To siedź spokojnie, przeklęta dziewucho. Czy to nie ty chciałaś się pozbyć wszy?

Skończyli i wyszli. Jej piękne złotorude loki walały się po ziemi.

Zrozpaczona drżącą ręką dotknęła głowy. Ostrożnie, ze strachem, co tam zastanie.

89

Nie wszędzie wycięli włosy aż do skóry, miejscami pozostały dłuższe kosmyki. Mimo wszystko została ostrzyżona do tego stopnia, że chyba nigdy nie będzie się mogła pokazać ludziom na oczy.

Nie było chyba na świecie nikogo bardziej opuszczonego niż Villemo tamtego wieczora.

Następnego ranka obudziła się drżąca na swoim posłaniu ze słomy. Jej gwałtowny kaszel odbijał się echem od ścian.

Znowu pojawili się tamci mężczyźni.

Już nic więcej, prosiła w duchu. Więcej już nie zniosę!

Oni jednak nie zwracali na nią uwagi. Odepchnęli ją tylko do kąta i zaczęli pracować.

Wnosili do środka długie, cienkie paliki, dużo, coraz więcej. Zostały ścięte dopiero co i po oborze rozchodził się ostry zapach świeżego drewna.

Ludzi było teraz więcej, nigdy aż tylu tutaj nie widziała. Naliczyła pięciu; trzech, których zna, i dwóch nowych, równie niesympatycznych jak tamci.

Villemo siedziała skulona w kącie i objąwszy ramionami swoje przemarznięte ciało przyglądała się pracującym.

Wbijali paliki głęboko w ziemię i wkrótce zrozumiała, o co chodzi. Obora miała zostać podzielona na dwa pomieszczenia. I Wbijali te paliki niezbyt ciasno, tak że można było przez szpary patrzeć na drugą stronę, a nawet precyzyjnie rękę. Przegroda była jednak podwójna, oba szeregi palików oddzielał szeroki na jakieś dwa łokcie korytarzyk.

Przez cały dzień pracowali nad tą dubeltową, najeżoną zaostrozonymi końcami palików ścianą. Villemo nie odzywała się, oni też jakby jej nie widzieli. Czowała się porzucona, nieszczęśliwa, przygnębiona. Nie zostało w niej już nic.

Robotnicy wyszli, drzwi zostały zamknięte. Główne drzwi wyjściowe znajdowały się teraz na wprost

przejścia pomiędzy dwoma rzędami palików. Z powstałego w ten sposób korytarza do każdego z pomieszczeń prowadziły jeszcze jedne, solidne, opatrzone żelaznymi skoblami drzwi.

Zapadał zmierzch. Otwory w dachu, które w dzień zastępowały jej okna, zostały zasłonięte.

W oborze było ciemno, lecz nie na tyle, by nie mogła nawykłymi już do zmroku oczyma dostrzegać otoczenia.

Skuliła się na posłaniu i próbowała zasnąć.

Nagle drzwi otwały się z hukiem. Przekleństwa mieszały się z jękami skatowanego człowieka, słyszała głośnie hałasy z pomieszczenia obok. Usiadła.

90

Wtedy rozległ się głos starego Wollera:

- Masz tu towarzystwo, ty ladacznico! Proszę bardzo!

I drzwi zatrzasnęły się ponownie.

Villemo rzuciła się do przegrody. Jej oczy, które znały każdy zakątek obory, dostrzegały po tamtej stronie jaśniejszą plamę na tle ciemnej ściany. Ktoś tam stał, a raczej wisiał za rękę na ścianie. Domyślała się raczej, niż widziała, że ręce miał skrępowane sznurem. I że był

prawie nagi; zostawiono mu tylko spodnie. W ciszy słyszała jego pełen udręki oddech.

- O, Boże, co te potwory zrobiły? - lamentowała. - Panie Skaktavl, czy to pan?

Przez chwilę docierał do niej tylko ten świszczący, chrapliwy oddech. Potem odezwał się zboląły głos:

- Villemo!

Stała jak sparaliżowana, wbijając paznokcie w drzewo.

- Kto...?

- Nie poznajesz mnie, Villemo?

Szwedzki język!

Zdołała tylko jęknąć boleśnie w najgłębszej rozpacz:

- Dominik!

91

## ROZDZIAŁ VIII

Skaktavl nie interesował Wollera. Skaktavl był specjalnym więźniem wójta, toteż właśnie ludzie wójta wywlekli go z obory, skępowali mu ręce na plecach i zakneblowali usta.

Powstaniec nie miał złudzeń. Nawet nie zawiązali mu oczu. Domyślał się, że długi czas więzienia dobiegł końca. Nie był już dłużej potrzebny wójtowi, a to oznaczało kres wszystkiego.

W ciągu roku spędzonego w zamknięciu doznał tyle udręki, przeżył tyle strachu, że spełnienia swego losu oczekiwał z obojętnością. Ale ta panienka...

Taka ładna, taka dzielna i życzliwa ludziom! Załamała się dopiero na wiadomość, że z jej powodu cierpią najbliżsi. Skaktavl bardzo dobrze wiedział, jaki los ją czeka. Długie, długie miesiące udręki, a potem okrutny koniec!

To nie może być! Nie ona, nie Villemo, jego mała przyjaciółka, która dała mu tyle uciechy.

Cóż jednak mógłby zrobić? Nic! Teraz już nic.

Zdawał sobie sprawę, czemu go wyprowadzili. Początkowo zupełnie się nie orientował w okolicy, lecz eskortujący go czterej mężczyźni zmierzali pewnie do celu i popychali go przed sobą. i Wspięli się na szczyt wzgórza, a potem w dół, ku wsi. Nie do samych ludzkich siedzib, nie, ta sprawa musiała się dokonać w najgłębszej tajemnicy, ale rozpoznawał, gdzie są. Niedaleko stąd znajduje się posiadłość wójta, lecz po drodze... Po drodze rośnie wielki dąb, na którym niekiedy wieszano przestępców.

Śmierć przez powieszenie nie była powszechną metodą karni. Najczęściej przestępców ścinano. Wójtowie jednak oraz inna lokalna zwierzchność chętnie brała wymierzanie sprawiedliwości w swoje ręce, a wtedy dobrze było mieć gdzieś blisko rosły dąb. Stojący na uboczu.

Schodzili ze wzgórza po stromym nagim skłonie, wzdłuż przepastnych rozpadlin i uskoków porośniętych lasem.

Co mam do stracenia? myślał Skaktavl spoglądając ukradkiem w przepaść. Droga, którą teraz idę, i tak wiedzie ku śmierci. Ku śmierci w upokorzeniu i wstydzie, pod ciekawskimi spojrzeniami gawiedzi. Ja ich znam, są jak sępy gromadzące się wokół wisielca. Niektórzy po to, by zdobyć jakieś cząstki jego ciała, palce lub inne członki, zęby lub włosy, do czarowania albo dla ochrony przed złymi duchami. Inni piją krew skazańca, choć to częściej zdarza się przy ścięciu. Jeszcze inni przychodzą spragnieni sensacji, chcą po prostu widowiska.

I ja miałbym im tego dostarczyć! W imię czego?

Lepiej skorzystać z tej jedynej szansy, jaką mi los podsuwa. To także będzie bolesne, lecz wolne od upokorzeń. I daję mi przynajmniej jakąś, choć niewiarygodnie nikłą, szansę na przeżycie.

Choćby jako inwalida.

Gdy jednak spojrział w otchłań, nad którą właśnie przechodzili, pojął, że nie wyjdzie stamtąd nawet jako inwalida. Stamtąd nikt nie może wyjść żywy.

Z drugiej strony do takiej przepaści jego strażnicy na pewno za nic nie zechcą po niego zejść.

Ręce związane z tyłu?

To nie szkodzi. Zimny pot zalewał Skaktavlowi oczy. Przymknął je na sekundę, a potem wciągnął powietrze i skoczył. Skulił się instynktownie, słyszał krzyki strażników na górze i spadał w dół, odbijając się od skał i koziółkując w powietrzu. Uderzał o twarde występy; czuł

dotkliwy ból w całym ciele. Pociemniało mu w oczach, świat kręcił się w szalonym wirze, a on toczył się i zsuwał w dół. Nagle boleśnie uderzył się w głowę, przed oczami rozprysły się tysiące iskier, po czym zapadła ciemność. Nie wiedział już, czy spada, czy nie, utracił

wszelki kontakt ze światem.

Tamci na górze spoglądali w dół. Klęli ponuro i siarczyście, także ze strachu, co wójt na to powie. W końcu jednak poszli sobie. Cóż mogli zrobić? Nikt nie byłby w stanie zejść na dół.

Zresztą po co?

- Niech tam leży, dopóki nie zgnije! - rzekł któryś i z uczuciem zawodu ruszyli do domu.

Villemo do późna w noc stała uczepiona palisady.

- A więc coś jeszcze zostało na dnie kielicha - szepnęła w pewnym momencie.

Dominik nie rozumiał, co ma na myśli.

- Wpadłaś w łapy prawdziwych diabłów, Villemo - powiedział.

- Co oni ci zrobili?

- Mną się nie przejmuj!

- Owszem, bardzo się przejmuję!

- Oni... mnie bili.

Villemo zaskomlała jak młody psiak.

- Och, Dominiku! Ciebie też?

- Też? Czy oni i ciebie bili, Villemo?

- Nie, nie. Nie to chciałam powiedzieć, chociaż i wobec mnie byli bardzo pomysłowi. Nie, myślałam o wszystkich innych. Dominiku, oni zabili we mnie całą chęć życia! Pomordowali najdroższych mi ludzi. Mamę, ojca, starego kochanego wuja Branda i tych nieszczęśników, którzy znaleźli u nas schronienie.

Dominik słuchał przerażony. Słyszał zdławiony szloch, utrudniający jej mówienie.

- Villemo, kochanie, nikt nie umarł. To prawda, że wielu znalazło się w niebezpieczeństwie, ale twoi prześladowcy nie zadali sobie nawet trudu, by sprawdzić, czy ich zamiary się powiodły, czy nie. Bo też i nie o to im chodziło. Oni chcieli dręczyć ciebie.

Palce Villemo wczepione w drewniane paliki zbieleły. Szukała w ciemnościach jego spojrzenia, lecz dostrzegała tylko twarz - jasnoszarą plamę na tle ciemnej ściany. W końcu dała za wygraną.

- Czy to prawda? - wyszeptwała.

- Nie byłbym aż taki okrutny, by dawać ci nadzieję, której nie ma. Jediną poszkodowaną jest twoja matka, lecz i ona niezbyt groźnie. Wkrótce wróci do zdrowia.

Dochodził do niego szept Villemo:

- Boże, Boże, bądź miłościw! Nie okłamuj mnie! Dzięki ci, mój Boże, dzięki!

Dominik nigdy przedtem nie słyszał, by Villemo się modliła.

- To prawda, zapewniam cię.

Villemo osunęła się na kolana, trzymając się wciąż drewnianej ściany, jakby to mogło ją zbliżyć do Dominika. Długo klęczała bez ruchu i tylko od czasu do czasu wstrząsał nią stłumiony szloch.

W końcu znowu się podniosła.

- Dominiku, musimy się stąd wydostać. Zanim oni zrobią coś jeszcze gorszego.

- Tak - powiedział łagodnie. - Tylko jak?

- Muszę przejść się do ciebie. Uwolnić cię z więzów. Oni zbudowali twoje więzienie dzisiaj, a może wczoraj, już sama nie wiem, czy to ranek, czy wieczór. Zrobili to z myślą o tobie, teraz rozumiem. A zatem nie zamierzają jeszcze cię zabić.

94

- Nie, najpierw wycisną ze mnie ostatnią iskierkę życia, a ty będziesz na to patrzeć.

- Nie wolno im, nie wolno, och, nie ciebie, Dominiku! Muszę iść tam, być przy tobie...

Słyszał, że gorączkowo biega wzdłuż palisady, że szarpie z całych sił, rozdrapuje ziemię rękami, by wyrwać któryś z kołków. Kaszłała przy tym strasznie.

W końcu dała za wygraną.

- Ziemia jest za mocno ubita - skarżyła się. - Twarda jak kamień.

Dominik nie odpowiadał. Znowu przysunęła się najbliżej jak mogła.

- Czy coś cię boli, Dominiku?

- Niezbyt dotkliwie. Do bólu też można się przyzwyczać. Tylko sznur obciera mi nadgarstki, akurat teraz to jest najbardziej dokuczliwe. Ale nie przejmuj się mną? Opowiedz mi, co się działo z tobą!

Opowiedziała mu więc o podstępie, o tym, że wójt jest we wszystko zamieszany i że Skaktavl stanowił dla niej wielkie oparcie, więc bardzo cierpiała, gdy go utraciła. I o samotności. O tamtym współwięźniu, który się na nią rzucił i który maltretował Skaktavla.

Podświadomie wyprostowała się z dumą.

- Dominiku, potrafiłam powstrzymać tę bestię wyłącznie siłą woli! Dokładnie tak jak Sol. Moja tajemna zdolność zwiększa się za każdym razem, gdy znajdę się w trudnej sytuacji.

Dominik uśmiechnął się:

- Zawsze wiedziałem, że jest w tobie tajemnicza siła.

Potem opowiedział jej o swoim niepokoju, że przeczuwał, iż ona jest w niebezpieczeństwie.

Jaki był głupi, jadąc do Wollera w nadziei, że można się z nim układać, Mówił o swoim instynktownym przekonaniu, że to Woller jest sprawcą zła...

- Ale to coś więcej. Wiesz przecież, że ja wiele potrafię zrozumieć z nastroju człowieka, i mówię ci, on ma też inne kłopoty. Złość to nie jedyne uczucie, jakie nim włada.

Villemo słuchała w milczeniu. A później rzekła cicho:

- Rozpacz po śmierci syna?

- Nie, ta rozpacz już dawno przemieniła się w żądzę zemsty. Nie, to coś innego. Strach? Coś nie cierpiącego zwłoki. Coś, z czym nawet jego przebiegłość nie może sobie poradzić. Nie wiem.

95

Dominik mówił z wysiłkiem, jakby ból go dławił.

- Chciałbyś się przespać? - zapytała Villemo cicho.

- Przespać? - roześmiał się. - Niedługo pewno zasnę na stojąco z wyczerpania, ale pozycja, w której się znajduję, naprawdę nie nastraja do snu. Nie! Chcę z tobą rozmawiać. W końcu dlatego tu jestem..

- Taka ci jestem wdzięczna, że możemy rozmawiać. I bardzo nieszczęśliwa, że sprawy przybrały taki zły obrót.

- To moja wina. Ale tobie potrzeba snu.

- Nie, nie. Nie chcę spać, skoro ty tu jesteś. Och, Dominiku, w ostatnich dniach wielokrotnie myślałam, by odebrać sobie życie. Żeby moja rodzina mogła odzyskać spokój. Ale nie znalazłam tu niczego, czym mogłabym się posłużyć.

- Nie wolno ci tak mówić! - zawołał gwałtownie. - Co by się wtedy stało ze mną?

- To było przedtem, zanim się dowiedziałam o twojej doli.

Dominik nie odpowiadał, ona także długo milczała.

- Chyba nasza rodzina cię szuka?

- Nigdy nas tu nie znajdą.

- Niestety, a gdzie my właściwie jesteśmy?

- W każdym razie nie jest to parafia Eng, ale gdzieś niedaleko od niej. Było ciemno, gdy mnie tu wieźli, a poza tym bili mnie, tak że traciłem świadomość. Nie wiem, naprawdę nie wiem, gdzie jesteśmy.

- I taki los... to wszystko ja ci zgotowałam... tylko z powodu mojej nieszczęsnej słabości do tego nędznika - szlochała Villemo.

Dominik milczał przez chwilę.

- Wygląda na to, że sprawę z nim masz już za sobą.

- Tak.

- Jak do tego doszło?

Villemo opowiedziała więc o tamtym dniu, gdy została zepchnięta w otchłań nad Głębią Marty. Wspominała mu o tym już wcześniej, ale teraz mówiła przede wszystkim o spotkaniu 96

z rodzicami Marty, o krzyżu upamiętniającym jej śmierć i o pogłoskach, że to Eldar był przyczyną śmierci łatwowernej dziewczyny.

- Robiło mi się niedobrze na wspomnienie, że byłam w nim tak nierozumnie zakochana.

Pragnęłam, żeby żył i żeby mogła mu powiedzieć parę słów prawdy. I dać mu odczuć, że znaczy dla mnie mniej niż... niż krwi ogon!

Dominik powstrzymał uśmiech.

- To są mściwe myśli, kochanie. I niezbyt piękne. Ale brzmią w moich uszach jak muzyka, więc ja też wcale nie jestem lepszy.

Villemo słuchała jednym uchem.

- Myślę, że tak naprawdę, to wyzbyłam się uczuć do Eldara na długo przed jego śmiercią.

Czasami byłam na niego po prostu wściekła, był taki wulgarny, miał takie prymitywne poglądy. I wiesz, co myślę? Otóż zdaje mi się, że tę chorobę, ten katar, wiesz, to ja sama wywołałam, żeby on mnie wtedy, tam na górze, nie mógł dotknąć. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Rozumiem, chociaż nie uważam, że wywołałaś chorobę. Mogłaś jednak pogorszyć swój stan. Tak czasami bywa. O, Villemo, nigdy nie zapomnę tej podróży z Tobronn do domu! Tej długiej podróży w przejmującym zimnie, kiedy siedziałaś pomiędzy mną i Niklasem, a twoi podopieczni w tyle wozu. Kuliłaś się z bólu, byłaś sinoblada na twarzy, ale nie skarżyłaś się ani słowem. Pozwalałaś, bym cię obejmował, ogrzewał i pocieszał. Tyle miałem ci wtedy do powiedzenia, ale ty byłaś jak nieobecna, pogrążona w swoim świecie i pewno nie bardzo zdawałaś sobie sprawę z tego, kim jestem, ani że w ogóle tam jestem.

Villemo popatrzyła w jego stronę zdumiona, ale nie mogła dostrzec jego twarzy.

- Och, moje ręce - jęknął. - Żebym mógł je choć trochę odciążyć.

Słyszała, że szuka oparcia dla stóp, że chce stanąć trochę wyżej. Potem głośno jęknął.

- Dominik, kochany - westchnęła. - Jak mam się do ciebie dostać? Jak ci pomóc?

Dominik nie odpowiadał.

Zastanawiała się przez chwilę.

- Co chciałaś mi powiedzieć wtedy, w drodze do domu?

W dalszym ciągu nie było odpowiedzi.

- Dominik?

97

W jej głosie drżał lęk.

Zawołała znowu. I jeszcze raz, i jeszcze. Ale wciąż odpowiadało jej milczenie.



- O, Boże, on nie żyje - szepnęła czując, że krew odpływa jej z twarzy. - Nie! Nie, to niemożliwe! Boże, czy już nie dość zostałam ukarana? Owszem, byłam marzycielską, niezrównoważoną dziewczyną, zakochałam się w Eldarze Svartskogen i następstwa tego okazały się fatalne, ale czy to takie straszne przestępstwo, że musisz za nie karać tylu niewinnych ludzi?

Zamknęła oczy i półgłosem miotła błuźnierstwa:

- Nie wierzę w ciebie. Nie wierzę, że istniejesz, skoro pozwalasz na takie rzeczy. Nie mam odwagi powiedzieć tego głośno, ale tak właśnie czuję.

Osunęła się na ziemię. Leżała tam długo z rękami wciśniętymi między kołki, jakby chciała dosięgnąć Dominika. I w tej pozycji zasnęła, z gardłem ściśniętym od płaczu i twarzą umazaną łzami; niepokieszona i udręczona tak, że zdawało się, iż nigdy już się z tego nie podźwignie.

Okiennice zza okratowanych okienek pod sufitem zostały otwarte i do obory sączyło się szare grudniowe światło.

Dominik ocknął się, zboląły. Czuł, że ręce ma chyba powyrywane ze stawów. Na widok Villemo, leżącej pod palisadą z wyciągniętymi ku niemu rękami, zalała go fala czułości.

Spała teraz, a on z lękiem patrzył, jak marnie była ubrana przy tym lodowatym zimnie. I ten kaszel...

Co się stało z jej włosami? Dominik był wstrząśnięty. Niewiarygodnie piękne włosy Villemo, które w słońcu połyskiwały jak miedź i złoto! Nieco dalej, rozrzucone po brudnej podłodze, walały się w potarganych kłębach niczym świadkowie krwawej walki na palu bitwy.

Jak oni traktują ta nieszczęsne dziecko!

Villemo, słabość jego serca! A on, który wyruszył na ratunek, wisiał teraz na ścianie zupełnie bezradny i tak naprawdę to jeszcze powiększył jej udrękę!

Drzwi otworzyły się i dwaj strażnicy stanęli w progu. Villemo ocknęła się natychmiast i zerwała na równe nogi.

Przybyli weszli do Dominika.

W rękach mieli pejcze.

- Teraz łaskawa panienska zobaczy, jak skręca się jej kawaler - powiedział jeden, którego znała mało. Widocznie człowiek wójta.

98

Chwiała się na nogach, zaspana i przemarznięta, nie bardzo ogarniała sytuację. Kawaler?

Jej kawaler?

Dominik! O, Boże, przecież Dominik jest tutaj. Bezbronny wisi na ścianie.

Tamten podniósł bicz i smagnął.

Dominik by! zbyt udręczony, by udawać bohatera. Krzyczał rozdzierająco.

Drugi uderzył także.

Villemo poczuła, że ogarnia ją znowu ten niezwykły, święty gniew. Doznawała wrażenia, że skupiła się w niej siła wszystkich dotkniętych dziedzictwem Ludzi Lodu. Co więcej, zdawało jej się, że jedno z nich jest tu, w oborze, patrzy skrzącymi się, zielonymi oczyma i szepcze:

„Powiedz to! Powiedz im, już i tak nic gorszego zrobić ci nie mogą!”

Nikt tego Villemo nie mówił, lecz ona wiedziała, że to Sol, legendarna czarownica.

Wiedziała, że Sol w dalszym ciągu od czasu do czasu się pojawia. Nie ukazuje się, ale pozwala odczuwać swoją obecność.

To dało Villemo niezmierną siłę.

- Odetnijcie go - powiedziała na pozór cicho, lecz natężenie głosu sprawiło, iż słyhać ją było w całej oborze.

Oprawcy opuścili bicze i odwrócili się do niej. Obaj mieli dość głupie miny.

Dominik uniósł obrznięte powieki i spojrzał w stronę Villemo. Dla niego, który nie przywykł

jeszcze do nieustannego mroku, w pomieszczeniu nadal było ciemno, a w tych ciemnościach gorzały dwa żółte punkty, rozplamione gniewem.

Serce łomotało mu jak oszalałe. To jest właśnie Villemo, myślał. To musi być Villemo! Dobry Boże, to przecież szczególny dar Ludzi Lodu w pełnej krasie. Myślałem, że to ja jestem kimś wyjątkowym. Niklas myślał, że on jest kimś wyjątkowym. Ale jesteśmy niczym! Niczym w porównaniu z Villemo!

Z całych sił napinał mięśnie w oczekiwaniu razów. Ale więcej razów nie było. Poczł

natomiast woń ludzi pocących się ze strachu. Poczł chłód noża, przecinającego sznur na jego rękach, czuł, że oprawca spieszy się, by zrobić to jak najszybciej.

I nagle spadł niczym worek, obolały, lecz z uczuciem ulgi.

Leżał długo, nie mogąc się poruszyć. Na wpół przytomny słyszał, że tamci uciekają, jakby im sam diabeł deptał po piętach.

W końcu odważył się odwrócić głowę i spojrzeć na Villemo. Stała bez ruchu przy palisadzie, czekała na znak życia z jego strony, oczy miała już normalne, pełne lęku o niego. Żadnych piekielnych błysków.

- Villemo - szepnął głucho.

- To była Sol - odparła bezbarwnym głosem. - Ona tu była... i wszyscy dotknięci z naszego rodu.

- Nie mogę w to uwierzyć, bo przecież oni byli źli, prawda?

- Może. Ale ona była tu na pewno. I Tengel. I Hanna. I wielu, wielu innych. Zgromadzili się wokół mnie. Nie wszyscy byli źli, teraz to wiem. W każdym razie mieli też dobre cechy.

- Kochana Villemo, oni nie mieli zdolności powracania. To wyjątkowa cecha Sol. Ale może Tengel mógłby...? Pamiętasz, co wuj Brand mówił o Tengelu? Co on powiedział kiedyś swoim trzem wnukom?

- On stosował zaklęcia. Albo czary czy jakąś magię, nie pamiętam. W każdym razie klątwę Tengela Złego osłabił, zrobił coś, dzięki czemu jego potomkowie mogą się bronić przed złem. Czy myślisz, że właśnie teraz stało się coś takiego?

Dominik wciąż leżał w tym samym miejscu. Długo zastanawiał się nad jej słowami.

- Myślę, że to, co przed chwilą pokazałaś, i to, co my z Niklasem mamy, to jest właśnie obrona przed złem. Tak. Lecz nie sądzę, żeby to miało jakieś znaczenie dla...

- Dla czego, Dominiku?

Nie odpowiedział. Znowu pogрузzył się w rozmyślaniach.

- Dla czego, Dominiku? Ty coś wiesz?

- Dla tej próby, na jaką kiedyś zostaniemy wystawieni. To tylko taka przygrywka. Pozwolono ci użyć twojej siły, żeby mnie uratować. Bo nadejdzie czas, kiedy będę potrzebny. Tak samo jak ty i Niklas.

- Ty tak dużo wiesz, Dominiku - powiedziała z podziwem. - To się zgadza z wizją, którą ja też kiedyś miałam. Wtedy, gdy chciałam umrzeć wraz z Eldarem. Ale coś we mnie gwałtownie protestowało. Dzięki ci, dobry Boże, że zesłałeś na mnie tę wizję? Boże, gdybym wtedy umarła! Z jego powodu! Trudno mi znieść tę myśl, Dominiku!

- Nie powinnaś o tym myśleć.

Rzekł to spokojnie, lecz ona słyszała, ile bólu jest w jego głosie.

100

Niepewnie, drżącymi wargami wyszeptała:

- A zatem uważasz, że skoro zostaliśmy wybrani do ważnych rzeczy, nie możemy teraz umrzeć?

- Tak, ale prawdę mówiąc jesteśmy na najlepszej drodze! Oprawcy będą wściekli za to, co przed chwilą zrobiłaś: Dołożą sił, żeby nam za to odpłacić. Zwłaszcza tobie, bo ty ich przestraszyłaś. Mnie zresztą też przestraszyłaś - dodał cicho.

- Naprawdę? Skaktavl też tak mówił. Czy nie mógłbyś podejść bliżej? - poprosiła. - Byłam taka samotna, kiedy go zabrali. To wspaniały człowiek, Dominiku. Zabili go! To okrutne i bezsensowne, że tacy wspaniali ludzie giną, a źli mogą żyć dalej.

- Często tak bywa, niestety, że wygrywają ludzie bez skrupułów. Ale chwały im to nie przynosi, zostają sami ze swoją wątpliwą wygraną.

- Masz rację. - Wyciągnęła do niego ręce. - Podejź do mnie, proszę! Byłam tak bezgranicznie samotna, tak strasznie potrzebuję teraz bliskości człowieka.

Dominik z wysiłkiem stanął na nogach, musiał się na chwilę oprzeć o ścianę, a potem ruszył

chwiejnym krokiem ku palisadzie, piękny jak młody bóg, choć wyczerpany do tego stopnia, że z trudem zachowywał równowagę.

Gdy Villemo zobaczyła jego tors, pokryty obrzmiałymi, krwawymi pręgami, serce ścisnęło jej się z bólu.

- Och, Dominiku! Mój kochany, kochany Dominiku! - zawodziła.

Wsunął ręce w szpary pomiędzy palikami i w pół drogi napotkał jej dłonie.

Villemo jęknęła:

- Boże, twoje nadgarstki! Jakie opuchnięte i pokrwawione! Spróbuję je opatrzyć... Nie, nie mam jak. Wszelkie nadające się do tego części ubrania zużyłam na opatrunki dla Skaktavla.

Jeśli jeszcze coś z siebie zdejmę, będę wyglądać nieprzyzwoicie. Ale co tam, skoro ma ci to pomóc...

- Nie - przerwał ostro Dominik. - Te draby nie mogą cię zobaczyć w takim stanie. Moje rany same się zagoją.

- To przynajmniej je obmyję... Zresztą nie, nie mamy wody, ta w beczce jest zbyt brudna.

- Pijesz ją?

- Nie. Do jedzenia dają przeważnie zupę. Nie chce mi się pić.

Villemo nie chciała puścić jego rąk.

- Jesteś zmęczony - mówiła. - Powinieneś się położyć albo przynajmniej usiąść, ale i tak możemy trzymać się za ręce.

Dominik położył się na boku tuż przy palisadzie. Villemo uczyniła podobnie po swojej stronie. Ona wsunęła lewą rękę w szparę, a on prawą i tak leżeli, oddzieleni dwoma rzędami palików, a jednak połączeni.

Villemo westchnęła. Dominik mógłby odnaleźć odrobinę szczęścia w tym westchnieniu, gdyby chciał. Albo przynajmniej ulgi, że ktoś nareszcie przy niej jest.

Nie mówił nic, śmiertelnie przerażony, że Villemo ma niewiele powodów do radości, że nie czeka jej nic dobrego.

Nagle jakby sobie coś przypomniała, potarła dłonią czoło.

- Muszę wyglądać okropnie. Obcięli mi włosy.

- Tak, widziałem. To potwory! Mnie jednak nie potrzebujesz się wstydzić. Nie wygląda to zresztą tak źle, jak myślisz. Przypominasz chłopca, którego potraktowano nożycami do strzyżenia owiec. Ale ponieważ masz kręcone włosy, to nic nie szkodzi.

- Dziękuję za pocieszenie - rzekła po chwili.

Spoglądali na belki w suficie. W oborze panował przejmujący ziąb.

- Dominiku - zaczęła po chwili Villemo. - Wiele razy wspominałeś o czymś...

Odwrócił ku niej głowę.

- Tak?

- Nie, nie, nie mogę o tym mówić.

- Owszem, nawet musisz!

- Kilkakrotnie miałam wrażenie, że ty... chciałeś mi powiedzieć... że chociaż zawsze się ze mną drażniłeś, to jednak trochę ci na mnie zawsze zależało... Czy też może tylko tak mi się zdaje? Wyobrażam sobie coś, czego nie ma?

Dominik znowu z uporem wpatrywał się w sufit. Zobaczyła, że mięśnie jego twarzy się napinają.

Długo musiała czekać na odpowiedź.

W końcu odpowiedź nadeszła, lecz tak cicha, że ledwie dosłyszalna:

- Ja ciebie kocham, Villemo.

Lekko rozluźniła dłoń zaciśniętą na jego ręce. Dominik śmiertelnie się przeraził, że całkiem ją cofnie.

Nie zrobiła tego. Oddychała jednak szybko, wzburzona, nie znajdując słów, które mogłaby mu powiedzieć.

W pomieszczeniu panowało niczym nie złamane milczenie. Świat na zewnątrz również pogrążony był w ciszy, jakby w ogóle nie istniał. Jakby ściany obory stanowiły ostateczną granicę, a poza nimi nie było nic, absolutnie nic, pustka.

Dominik mówił dalej tym samym przyciszonym głosem:

- Kocham cię od dawna, od bardzo dawna. Od czasu kiedy stałem się dojrzałym mężczyzną.

A to nastąpiło stosunkowo wcześnie.

Villemo szepnęła żałośnie:

- Jeszcze zanim ja...?

- Tak, na długo przedtem, nim zadurzyłaś się w Eldarze.

Zadrżała.

- Ale byłeś w stosunku do mnie taki złośliwy, ironiczny, nawet napastliwy.

- To tylko samoobrona, nie rozumiesz tego?

- Ale to mnie zasmucało. I odpłacałam ci tym samym. Czasami cię nienawidziłam. Może dlatego ja...

Dominik cierpiał, pokryte ranami ciało pulsowało bólem, ale za nic nie chciał zakłócić tego nastroju.

- Mów dalej!

- Może dlatego tak bardzo pragnęłam twojej przyjaźni, jeszcze kiedy byliśmy dziećmi.

Uścisnął mocniej jej rękę.

- Naprawdę? Wybacz mi.

- Już dawno ci wybaczyłam. Wtedy w Romerike też prosiłeś o wybaczenie, nie pamiętasz?

103

- Myślisz, że mógłbym o czymś takim zapomnieć?

- W gruncie rzeczy zawsze byliśmy sobie bliscy, Dominiku.

- Tak.

- I zawsze byłeś mi potrzebny.

- A ty mnie. Dlatego ta bezsensowna walka sprawiała mi tyle bólu.

- Myślę, że nie była tak całkiem bezsensowna. Oboje staliśmy się ludźmi bardziej samodzielnyimi. Żadne z nas nie chce być od nikogo zależne.

- Chyba masz rację. Ale dlaczego nigdy nic nie mówiłaś? Gdybyś tylko...

Z największą ostrożnością ułożył się wygodniej, to przyniosło ulgę obolałemu ciału, a poza tym znajdował się teraz jakby bliżej Villemo.

- Czy moglibyśmy zbudować most ponad tymi straconymi latami?

- Myślę, że taki most już istnieje. Ale... - zawahała się.

- Chcesz powiedzieć, że ty mnie nie kochasz?

- Dominiku, składasz mi takie szokujące oświadczenie! Że ty, którego podziwiałam, którego starałam się naśladować i płakałam z rozpaczy, że tak źle mnie traktujesz... Że ty mogłeś mnie kochać... to mnie tak wzburzyło... Oszło mi, wytrąciło z równowagi, po prostu nic nie wiem. Lecz jednego jestem pewna: to nie było nieprzyjemne zaskoczenie, wprost przeciwnie! Musisz mi jednak dać więcej czasu! Nie mogę kochać mężczyzny tylko dlatego, że on mi się oświadczył. To by było nierozumne.

- Bywasz czasami niezwykle rozsądna, Villemo.

- Czasami? Zawsze jestem taka - odparła nieskromnie. - Ale teraz przepelnia mnie uczucie wprost trudnego do zniesienia szczęścia. Tylko mój rozum, zmysły, moja świadomość muszą mieć trochę czasu, żeby się z tym uczuciem oswoić.

Zamilkła. Wzdychała tylko i uśmiechała się radośnie.

- A ja żaliłam się, że cały świat mnie opuścił! - powiedziała w końcu.

Dominik spoglądał na nią ze smutkiem. Niestety, będzie musiał zakłócić jej radość. Nie chciał nawet myśleć, że nie uda im się wyjść cało z opresji, w której się znaleźli. Opierał swą nadzieję na osobliwym przeczuciu, że los chce, by przeżyli. Zaczął jednak mówić o czym innym, nie mniej ważnym.

- Villemo... Jest jeszcze jeden powód, dla którego byłem... taki powściągliwy.

- Co takiego?

- Przecież żebym cię nie wiem jak kochał, to i tak cię nie dostanę.

- A to dlaczego? - przerwała tonem, który obiecywał więcej niż wszystko, co mu powiedziała o swoich niejasnych uczuciach.

- Nigdy nie będziemy mogli się pobrać. Skoro Niklas i Irmelin nie dostali pozwolenia, to nie dostaniemy i my.

Zareagowała tak gwałtownie, że puściła jego dłoń, uklękła przy palisadzie i uchwyciła się jej obu rękami

- Istnieje między nami duża różnica - oświadczyła gorączkowo. - Oni są znacznie bliżej spokrewnieni niż my.

- Tak myślisz? Nie to dokładnie ta sama sprawa.

- Niemożliwe. Twój ojciec tak długo żył zagubiony gdzieś w Niemczech, a teraz mieszkacie w Szwecji i...

- To dosyć dziwne argumenty, Villemo. - On także ukląkł i wyliczał jej na palcach. - Pomyśl dobrze! Pochodzimy wszyscy od Tengela.

- I od Silje.

- Pochodzimy od Tengela, bo on należał do Ludzi Lodu. Silje nie.

- Masz rację. Przepraszam!

- Mówimy tylko o bezpośrednich potomkach Ludzi Lodu. Jeśli chodzi o Niklasa oraz Irmelin, to ich przodkowie są następujący: Tengel, Are, Brand, Andreas, Niklas. A w drugiej linii: Tengel, Liv, Tarald, Mattias, Irmelin.

- Czyli oni są krewnymi w piątym pokoleniu, prawda?

- Tak.

- A teraz ty: Tengel, Are, Tarjei, Mikael, Dominik. I ja: Tengel, Liv, Cecylia, Gabriella, Villemo. - Bezradnie opadła na ziemię. - My też jesteśmy spokrewnieni w piątym pokoleniu!

Dominiku, to straszne!

- Więc mogłabyś sobie wyobrazić małżeństwo ze mną? - szepnął.



W oczach Villemo pojawiły się łzy.

- Myślę, że niczego na świecie nie pragnę bardziej. To spadło na mnie tak nagle, chociaż...

chociaż nie myślę, że zbyt nagle.

- Ja też tak nie myślę. A zatem Eldar Svanskogen... Był tylko nic nie znaczącym epizodem?

- Myślę, Dominiku, że wtedy nie byłam jeszcze dojrzała do tego, by cię kochać. Musiałam przejść przez to wszystko, by zrozumieć, kim dla mnie jesteś. Och, taka byłam dziecinną, kiedy spotkałam Eldara. Myślałam, żeby nigdy nie wychodzić za mąż, nigdy nie mieć dzieci.

Nie mogłam sobie wyobrazić pójścia do łóżka z Eldarem. Uważałam, że to paskudne i głupie. On sam jednak wydawał mi się fascynujący, rozumiesz, co mam na myśli? Chciałam być jego przyjaciółką, ba, jego niewolnicą, na której mógłby we wszystkim polegać. Później zrozumiałam, że to, co ja określałam jako wszystko, było jedynie małą częścią stosunków pomiędzy kobietą i mężczyzną. Byłam dzieckiem, Dominiku. Dzieckiem wielbiącym wspaniały ideał, zdobyczą z którą on robił, co chciał.

Dominik przełknął ślinę i uśmiechnął się.

- Rozumiem. Eldar odpowiadał tamtej Villemo, którą wtedy byłaś. Ale teraz? Wciąż jeszcze jesteś dzieckiem, czy już kobietą?

Spoważniała i długo wpatrywała się w ziemię.

- Teraz jestem kobietą - odparła cichutko.

Dominik znowu wyciągnął rękę, którą Villemo ujęła mocno. Stali tak w milczeniu i patrzyli na siebie długo i serdecznie, przepojeni głębokim smutkiem. Villemo myślała, jakby to było znaleźć się w objęciach Dominika, i nie można powiedzieć, że była to myśl odpychająca. To, że miała go teraz tak blisko siebie, nie łagodziło cierpienia. Przeciwnie! Myśl o jego uścisku boleśnie paliła ciało.

Dominik dostrzegał zmianę w jej wzroku i w wyrazie twarzy. Jego smutek przemieniał się powoli w rozpacz.

Villemo zawstydziała się.

Czyż nie stoi tu i nie oszukuje go?

- Dominiku, ja... - zaczęła odważnie, lecz natychmiast pożałowała.

- Co chciałaś mi powiedzieć?

- Nie, nic.

- Owszem, to ważne!

- Nie, ja cię przecież tak mało znam!

Zamilkł na chwilę, a potem powiedział cicho:

- Teraz mnie ranisz.

- Trudno. To są sprawy zbyt osobiste.

Czyż miała mu opowiedzieć o królu gór? O tym, co tamtego dnia robiła w lesie?

Przyglądała mu się badawczo. Czy mogła mu się zwierzyć? Bardzo by chciała, lecz czas chyba jeszcze nie nadszedł. Nigdy przedtem nie byli ze sobą tak blisko, co najwyżej dobrze się ze sobą bawili, nie miała odwagi, nie.

- Villemo...

Starał się ją przekonać.

- Nie, to na nic, Dominiku. Kiedy indziej.

- Kiedy indziej? - wybuchnął. - Villemo, czy ty nie pojmujesz, że...?

Wyglądała jak porzucone dziecko.

- Tak, wiem. Ale przecież mogliśmy udawać, prawda? Że istnieje dla nas przyszłość.

Dominik miał ochotę odgryźć sobie język.

- Wybacz mi - szepnął. - Wybacz mi, najdroższa!

Villemo odetchnęła głęboko. Próbowwała wyrwać się z nastroju przygnębienia. Po chwili roześmiała się nerwowo.

- Dominiku, taka byłam głupia, kiedy dostałam twój pierwszy sympatyczny list. Było w nim coś, co mnie zabolalo i sprawilo, że czulam się okropnie.

Dominik zmarszczył brwi.

- Co to było? Czy w ogóle w moim liście mogło być coś takiego?

- Pisałeś, że wiesz, co to znaczy utracić kochanego człowieka. I że ty także coś takiego przeżyłeś. Byłam w jakiś sposób...

Tym razem Dominik uśmiechnął się szeroko:

- Zazdrosna?

- No, coś w tym rodzaju. W każdym razie nie było to przyjemne.

- Niemądra Villemo - powiedział czule. - Nie rozumiesz, co miałem na myśli?

- Nie.

- Ja przecież ciebie utraciłem!

- Mnie? - zdziwiła się.

- Dla niego, wiesz. Wtedy byłem pewien, że moje życie się skończyło. Nigdy nie zwracałaś uwagi na moją obecność. A ja gotów byłem wszystko oddać za ciebie. Dla mnie ta jesień była czasem goryczy, Villemo.

- Och, Dominiku - jęknęła. - Gdybyś ty powiedział choć słowo, choć jedno słowo!

- Tobie? Przecież roześmiałaś mi się w twarz.

Villemo zastanowiła się.

- Tak myślisz? Możliwe, nie wiem. Byłam przecież okropnie zaślepiona w tym brutalu, wyobrażałam sobie, że muszę sprawić, by jego lepsze ja wzięło górę. Gdybym jednak wiedziała, że ty... że tobie na mnie zależy... Wiesz, Dominiku, myślę, że wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej.

- Nie ma się co teraz nad tym zastanawiać. Można żałować, ale czy żal odwróci bieg czasu?

- Masz rację. Powinniśmy raczej myśleć o przyszłości.

Lecz obecna sytuacja dawała boleśnie o sobie znać. Tym razem żadne nie dało się skusić na rozmowy o przyszłości. Villemo bezradnie spuściła głowę.

Dominik się bał, bał się naprawdę. Na zewnątrz czaiła się złowroga cisza.

Co teraz szykują im prześladowcy?

## **ROZDZIAŁ IX**

Właściciel Woller ciężkimi krokami przemierzał pokoje swojego dworu. Szedł wolno jak ktoś, kto poddany został trudnej próbie i zastanawia się teraz, na kogo by przerzucić jej skutki.

Skierował się, jak zawsze w ostatnich czasach, ku zachodniemu skrzydłu. Mieszkała tam jego córka. Tak, bo Woller miał też córkę, choć ona w jego życiu liczyła się mało.

Zresztą czy mogła się liczyć? Zastraszona, pozbawiona energii, bez zdolności i chęci do zajęcia się

gospodarstwem. Mimo wszystko była człowiekiem, choć stary coraz częściej zdawał się o tym zapominać.

Wyszła za mąż za syna sąsiadów i po tym, gdy Mons zginął taką straszną, nagłą śmiercią, oni mieli zostać dziedzicami majątku. Zięć jednak także zginął, przygnieciony wielkim kamieniem, gdy pracował sam na oddalonym polu.

Tyle tylko że zdążył spłodzić następcę. Wkrótce po jego śmierci córka Wollera urodziła chłopca. I właśnie to dziecko stało się jedyną pociechą starego. Chłopiec, teraz już roczny mieszkał w zachodniej części ponurego dworu w Woller razem ze swoją wylęknioną matką.

Na nią gospodarz nie zwracał uwagi, wnuk natomiast był dla niego wszystkim. Nie żeby chciał czy potrafił zajmować się dzieckiem, lecz widział w malcu dziedzica.

I oto ten dziedzic walczył ze śmiercią.

Nikt nie wiedział, co mu jest. Mały, blady, wynędzniały, zwracał wszystko co zjadł i dosłownie gasł w oczach. Teraz już tylko leżał w pięknym łóżeczku, wychudła kruszyna o wielkich, przestraszonych oczach.

Woller wszedł do pokoju bez pukania. Córka zerwała się znad robótki, którą była zajęta, ale nawet nie spojrzała w jej stronę. Podszedł wprost do małego Erlinga i przyglądał mu się uważnie.

Usta chłopca wykrzywiły się w podkówkę. Bał się tego wielkiego człowieka, który nazywał się jego dziadkiem.

- Zadbaj, żeby wyzdrowiał - warknął stary do córki i odwrócił się na pięcie. Zatrzasnął za sobą drzwi.

Wrócił do dużej izby, usiadł na obitym skórą krześle i zaczął się zastanawiać. Do posiłku zostało już za mało czasu, by wziąć się do jakiejś roboty. Pogryzął się w ponurych rozmyślaniach.

Po chwili weszło dwóch ludzi, którzy pracowali dla niego i dla wójta. Zatrzymali się w progu.

Ich obecność przypomniała mu o Villemo, uwięzionej w oborze.

109

Ludzie Lodu mają, co tylko chcą, myślał rozdrażniony. Mnożą się jak króliki. Ich ród nie wygasa. A ja tracę wszystko, co posiadam.

Teraz znowu zeszli się z moimi śmiertelnymi wrogami ze Svartskogen. Ale mnie nie złamią.

Bo ja trzymam mocniej. Mam tę, która zniszczyła moje życie, odebrała życie mojemu synowi. I mam jeszcze jednego z nich. Wytępię ich, jedno po drugim...

Zemsta była teraz jego jedyną pociechą. Nieszczęścia, które na niego spadły, stanowiły jego siłę, były motywem do niszczenia innych.

- No? - ryknął do przybyłych. - Dostał tyle, ile był w stanie znieść? A może trochę więcej?

Gdy jednak podeszli bliżej, zobaczył w ich oczach przerażenie.

- A to co ma znaczyć?

- Ona zrobiła to znowu - jęknął jeden, ów pozbawiony wyrazu człowiek, który zwykle mu towarzyszył.

- Co zrobiła? - zapytał Woller, choć mógł się domyślać, o czym tamten mówi. Sam kiedyś widział oczy Villemo przez szparę w ścianie, wtedy gdy powstrzymała atakującego szaleńca.

Nie mógł tego widoku zapomnieć.

- Chcieliśmy go wychłostać - powiedział pomocnik. - Ale ledwo zdążyliśmy uderzyć ze dwa razy, ona dopadła do nas.

- Co? Chcecie powiedzieć, że przedostała się do was?

- Nie, ale te jej oczy, panie - wtrącił drugi. - Kazała nam go odwiązać, tylko spojrzała na mnie tymi ślepiami, co paliły się jak... Nie mogłem jej nie słuchać,

Panie, ona była, jakby wyszła z piekieł, panie.

- Ludzie Lodu wyszli z piekieł - syknął Woller i wstał. - Ale teraz zrobię z tym koniec!

Będziemy torturować jego, tak żeby ona widziała. Zawołać wójta! Ale już!

Wójt przybył wkrótce.

- Słyszałem, co się stało - oświadczył. - Czy mam ją oddać pod sąd? Czy też mamy...

- Nie będziemy innych do tego mieszać. To pyskata dziewczucha, mogłaby opowiedzieć o więzieniu, o Skaktavlu i nie wiadomo o czym jeszcze. Poza tym te diabły mają asesora po swojej stronie, a ten szwedzki piękniś jest królewskim kurierem. Nie, musimy to załatwić sami.

Wójt podszedł do niego na palcach i judził szeptem:

110

- Co się robi z wiedźmami?

Woller spojrzał na niego.

- Z wiedźmami? O, są różne metody. Najczęściej stosowana jest chyba... - Jego mroczna twarz

pojaśniała. - Tak, oczywiście! Prawdziwą wiedźmę należy spalić na stosie!

- Ale to trzeba zrobić potajemnie. Rozgłosu bym unikał.

Paskudny uśmiech pojawił się na twarzy Wollera.

- To będzie wielki stos...

- Wspaniały! Tylko ona nie może niczego zawczasu wiedzieć. Włada taką siłą, że mogłaby nas zaczarować tymi ślepiami.

- Właśnie! Ale...

- Co?

- Tak się zastanawiam. Ta obora leży w niedobrym miejscu.

- Racja - zgodził się wójt. - Cały dwór. I las w pobliżu.

- Dwór nieważny, i tak same ruiny. Ale najpierw trzeba wyciąć drzewa najbliższe zabudowań.

Nasi ludzie zrobią to w ciągu jednego dnia.

- Dobrze! A co z tym drugim? Z tym „kurierem Jego Wysokości, króla Karola XI”?

- On też nie może mieć okazji, żeby świadczyć przeciw nam.

Wójt skinął głową.

- Tak, on wie za dużo. Najlepiej jeśli spłonie na tym samym pięknym stosie.

- To będzie wspaniałe przedstawienie, mój dobry człowieku! Kiedy może się odbyć?

- Powiedzmy, jutro wieczorem. Wszystko będzie gotowe.

- Znakomicie! Przyda się trochę rozrywki w tych ciężkich chwilach.

Bóg wie który już raz Brand podszedł do okna. Dominik prosił o trzy dni. Minęły dwa, a jego nie widać.

Nie powinni byli pozwolić mu na tę wyprawę. Musieli obiecać, że będą czekać trzy dni, i dopiero wtedy wyruszą w ślad za nim.

111

Ale gdzie go szukać? Najpierw miał się udać do parafii Eng, ale tam przecież wszyscy już jeździli. Potem chciał zdać się na los.

Mieszkańcy wszystkich trzech dworów odchodzili od zmysłów z niepokoju. Gabriella płakała i oskarżała się, że to ona wplątała Dominika w nieszczęście, choć przecież akurat jej winy w tym nie było. Niklas próbował wymknąć się w tajemnicy i na własną rękę poszukiwać obojga zaginionych, lecz Andreas zdołał go zatrzymać.

Niepokój, strach i przerażenie spadło na parafię Grastensholm. Wszyscy pragnęli powrotu Villemo podobnie jak kiedyś wspierali rodzinę w poszukiwaniach małego Mattiasa.

Również Lars, syn Jespera i wnuk Klause, szukał od początku i wciąż nie dawał za wygraną, choć teraz przeważnie przetrząsał las bliżej swojego domu.

Lars zaskoczył wszystkich, gdy się ożenił i został ojcem małej dziewczynki, czym złamał

rodzinną tradycję. Dotychczas wszyscy w tej rodzinie byli ociężali i powolni, ale łagodni niczym jagnięta. Mała Elisa także miała w sobie wiele życzliwości, w to nikt nie wątpił. Ale była pośród nich jak wspaniała róża między ostami, lub jak lilia na nędznym śmietniku.

Była wdzięczna niczym elf, jasne loki spływały na kark, błękitne oczy promieniały czystym blaskiem, a radosne gaworzenie rozlegało się jak dzień długi w małej chatce komorników.

Jesper, który jeszcze żył, nazywał ją księżniczką i nie mógł jej się napatrzeć. „Jak ja się nazywam, Eliso?” - pytał. Mała odpowiadała: „Dada Jappe”, a Jesper jaśniał niby słońeczko.

„To dziadkowa wnuczka - wykrzykiwał zachwycony. - Mądra jak dziadek. Po mnie odziedziczyłaś rozum, dziecinko!”

Matka Elisy nie mówiła nic, lecz wymownie zaciskała wargi.

Małej nadano imię po Eli z Lipowej Alei, która zawsze była dobrym duchem i opiekuńczym aniołem komorników. Nigdy kiedy znaleźli się w potrzebie, nie wychodzili od niej z pustymi rękami. Z Grastensholm wprawdzie też nie, ale gospodarstwo Jespera należało właśnie do Grastensholm, więc Mattias i Hilda mieli obowiązek pomagać, od czego zresztą nigdy się nie uchylali. Stosunek komorników do Eli i innych mieszkańców Lipowej Alei nacechowany był serdeczną przyjaźnią i zrozumieniem. Zaczęło się to tamtego dnia, gdy Sol wróciła do domu z ciężko chorym Klausem.

Teraz cała rodzina komorników cierpiała z powodu lekkomyślnej panienci Villemo.

Pewnego wieczora Lars wyszedł na dwór, by zamknąć oborę na noc. Gdy wrócił, stał przez chwilę pośrodku izby i drapał się w kark.

- Co ci jest? - zapytała żona, zajęta właśnie rozbieraniem małej do snu. Elisa skakała i dokazywała w łóżku, a zniecierpliwiona matka pokrzykiwała co chwila: „Stój spokojnie, bo nigdy cię nie rozbiorę!” Jak miliony matek na świecie.

- Nie wiem - odparł Lars. - Zdawało mi się, że słyszałem krzyk żbika gdzieś nad urwiskiem.

- Co ty mówisz? - przestraszyła się żona. - Czy kot jest w domu?

- Jest. Wszystkie zwierzęta są pod kluczem, nic im nie grozi. Czy żbiki mają teraz młode? To było takie zawrodozenie czy piszczenie, jakby młodego...

- Nie, żbiki nie mają teraz młodych - odparła kobieta z przekąsem. - Dziecko, stójże spokojnie!

Może słyszałeś co innego? Ducha albo co?

- Nie wiem, co to było. Tato, weźmiemy latarkę i pójdziemy się rozejrzeć, dobrze?

Jesper, który nie przepadał za rozmowami o duchach odparł że owszem, chętnie by poszedł, ale tak go coś w nodze łamie...

- Zawsze ojca łamie, jak się ojciec chce od czegoś nieprzyjemnego wykręcić. Chodźmy, jakieś zwierzę mogło się w coś zaplątać!

Sześćdziesięciosiedmioletni Jesper nie miał innego wyjścia, jak zebrać się na odwagę i zapalić latarkę. Na wszelki wypadek położył nad drzwiami kawałek żelaza, do ręki wziął nóż, a nad latarką zrobił znak krzyża.

Tak zabezpieczeni wyszli.

Wieczór był cichy, w powietrzu czuło się śnieg, ale nie o śniegu teraz myśleli. Zbocze nad urwiskiem czerniało na tle nieba. Świat pogrążony był w ciszy. Daleko w dole jaśniały złotym blaskiem światełka dworu w Grastensholm.

- Nie, ja nic nie słyszę - oświadczył Jesper głośno, by odstraszyć ewentualnego ducha.

- Co, tato. Nie gadajcie, posłuchajmy!

Panował chłód. Jesper, który zdążył już zdjąć z siebie kilka ze swoich ośmiu warstw ubrania, drżał. Głośnym sapaniem zakłócał ciszę.

- To może być... w gęstych zaroślach.

- Cicho! - powtórzył Lars. - Czy ojciec nie słyszał? Akurat kiedy ojciec otworzył usta.

Serce Jespera załomotało. Latarka trzęsła mu się w ręce.

Od urwiska dochodził jakiś głos.

- To nie żaden żbik - szepnął Jesper poblady na twarzy.

Czekali przez chwilę. Lars także najchętniej uciekłby do domu i zamknął za sobą drzwi na siedem



spustów, ale zebrał całą odwagę i stał w miejscu. Ogromnie mu zależało, żeby jego żona, którą bardzo kochał, mogła być z niego dumna.

Zawołał w stronę urwiska:

- W imię Jezusa Chrystusa, jeśli życzysz nam źle, to wróć skąd przyszedłeś!

- Nieźle powiedziane, Lars - mruknął Jesper.

- W imię Jezusa, wracaj do piekieł!

A wtedy od urwiska odpowiedział im ktoś z wielkim trudem:

- W imię Jezusa Chrystusa, nie chcę wam zrobić nic złego. Pomóżcie mi, na Boga!

Ojciec i syn spojrzeli na siebie w świetle latarki.

- To przecież człowiek! - wykrzyknął Lars. - Chodźmy, ojcze!

Wciąż jeszcze spłoszony, lecz chętny do pomocy Jesper podążył za synem.

- Poczekaj, chłopcze, nic nie widzę w tych ciemnościach!

Pochylili się nad krawędzią urwiska.

- Ho, ho! - krzyknął Lars i czekał.

- Tutaj - odezwał się głos całkiem blisko nich w gęstych zaroślach.

Zbliżali się ostrożnie, wysoko podnosząc latarkę.

- O Jezu, chłopcze, tu ktoś leży! Chodź no, podniesiemy go!

- Ostrożnie - jęknął człowiek. - Jestem ciężko ranny.

- O, jak on pięknie mówi - rzekł Jesper zdumiony.

- Gdzie was boli najbardziej, panie?

- Wszędzie - wyszeptał ranny. - Ale najbardziej głowa. Chyba mocno ją sobie potłukłem.

Lars podbiegł parę kroków w stronę domu.

- Marit! - wołał podniecony. - Marit!

Drzwi chaty otworzyły się i w strumieniu światła ukazała się żona.

- Znaleźliśmy tu jakiegoś człowieka. Chodź nam pomóc!

- Jest ranny?

- To straszne, jak bardzo! Pospiesz się!

Drzwi zostały zamknięte i po chwili Marit znalazła się nad urwiskiem.

- Elisa jeszcze nie śpi, nie mogę tu długo zostać - powiedziała cicho. - Ale co się stało?

Gdy tylko zobaczyła rannego, natychmiast przystąpiła do działania. To, z czym niezdarni mężczyźni długo nie mogli sobie poradzić, ona załatwiła natychmiast. Kazała Larsowi sprowadzić sanie i wkrótce ranny znalazł się pod dachem, ostrożnie transportowany wspólnymi siłami przez całą trójkę. Położyli go w tym łóżku, w którym najpierw Klaus i Rosa przeżywali swoje radosne chwile, w którym urodził się Jesper i gdzie wprowadzał swoją narzeczoną w błogosławieństwa i trudy małżeńskiego życia, gdzie Lars się urodził i brał w posiadanie Marit. I gdzie przed rokiem przysłała na świat Elisa. Rodzinne dzieje...

- Co z nim? - dopytywał się Jesper, niewymownie podniecony tym, co się działo w jego małym domku.

- Okropnie poturbowany - odparła Marit. - Na prawdę nie wiem, od czego zacząć.

- Wygląda przyjemnie - stwierdził Lars, a miał na myśli to, że chory pochodzi z wyższych warstw. - Choć taki sponiewierany. Ciekawe, skąd on się wziął?

Nieznajomy otworzył oczy. Próbował coś powiedzieć.

- Tak? - zapytała Marit, pochylając się nad nim.

Wargi rannego wyszeptały jakieś słowo.

- Jeszcze raz - poprosiła.

Spróbował znowu.

Marit drgnęła.

- Panie Jezu, zdaje mi się, że on mówi: Villemo!

Chory skinął głową.

- Villemo? Pan wie, gdzie jest panienka Villemo?

Chory znowu potwierdził i dał znak, że trzeba się spieszyć.

Marit ożywiła się.

- Lars, weź konia i pędź jak najszybciej do Grastensholm, przywieź tu pana Mattiasa. Z tymi ranami sami sobie nie poradzimy. I pana Kaleba. I młodego Niklasa też, on ma błogosławione dłonie. Spiesz się!

Lars biegał tam i z powrotem.

- Od kogo mam zacząć?

- Od najbliższych. Jedź do wszystkich po kolei!

- Ale jest tak piekielnie ciemno. Pomyśl, jeżeli koń...

- Pomyśl i pomyśl! Ruszaj i nie gadaj głupstw!

Nikt nie miał czasu dla Elisy, która, uczepiona oparcia łóżka, wielkimi oczyma wpatrywała się w przybysza ułożonego na posłaniu mamy i ojca.

Pod osłoną nocy grupa jeźdźców przybyła do małej zagrody w lesie. Kiedy wszyscy weszli do środka, w izbie zrobiło się ciasno.

Zbliżyli się do łóżka. Nieznajomy był przytomny, Marit dała mu ciepłego picia i parę kęsów jedzenia. Ale niewiele mógł przełknąć.

- Ależ... - wykrzyknął Niklas, lecz zakrył usta dłonią. - Ja go już widziałem!

- Znasz go? - dopytywał się Mattias.

- Tak. Ale... Romerike? Gdzie...? Tak, spotkaliśmy się w górskim szałasie. A najpierw w lesie... On się nazywa...

- Nie pamiętasz?

- On był przywódcą powstania! Szlachcic. Skaktavl!

Niklas pochylił się nad chorym.

- Pamięta mnie pan?

Tamten potwierdził skinieniem głowy.

- Pan ma... cudowne ręce, prawda?

Potem zamknął oczy i leżał jak nieżywy.

Wszyscy byli już w łóżkach, kiedy Lars wpadł konno na dziedziniec Lipowej Alei. Długo dobijał się do drzwi, lecz gdy tylko usłyszeli, o co chodzi, natychmiast wszyscy zaczęli wstawać. Niklas

popędził do Grastensholm, a Lars do Elistrand, żeby było szybciej. Kto żyw 116

ze wszystkich trzech dworów chciał czym prędzej ruszać do leśnej zagrody, nawet chora Gabriella i wszyscy protegowani Villemo z Tobronn.

Mattias jednak protestował. Dom Larsa był niewielki, musieliby zostać na dworze, a panował

nocny chłód. Pojechali we trzech: ojciec Villemo, Kaleb, doktor Mattias i Niklas o uzdrawiają rękach. Ostatecznie zdecydowali się zabrać jeszcze Eli, którą rodzina komomika tak kochała i która była przecież przybraną siostrą Villemo, choć nie dorastały razem. Kaleb i Gabriella wzięli do siebie pozbawioną rodziny Eli ponieważ sądzili, że własnych dzieci mieć nie będą i ponieważ szczerze ją kochali. Gdy Eli dorosła i wyszła za mąż za Andreasa, w odstępnie niecałego roku ona i Gabriella urodziły dzieci - Niklasa i Villemo. Między przyrodnimi siostrami było osiemnaście lat różnicy. Villemo jednak od pierwszych lat odczuwała łączącą je więź i często odwiedzała dorosłą siostrę, by porozmawiać z łagodną, czułą i wrażliwą Eli.

Eli przeżyła zniknięcie Villemo boleśniej niż inni członkowie rodziny.

Kaleb natychmiast zwrócił się do chorego w łóżku:

- Jestem ojcem Villemo. Pan coś wie o jej losie?

Zarośnięty, wynędzniały Skaktavl, z poranioną twarzą, mrużąc oczy i kiwając głową, wykrztusił ledwie dosłyszalnie:

- Niezwykła dziewczyna, Villemo. Może pan być... z niej dumny.

- Żyje?

- Tak. Ale jest w... wielkim niebezpieczeństwie.

Dłonie Kaleba zacisnęły się na oparciu łóżka.

- Gdzie ona jest?

- Ja... ja nie potrafię... powiedzieć...

- Kaleb, poczekaj - zaprotestował Mattias. - Zmęczysz pana Skaktavla tak, że straci przytomność. Pozwól, że najpierw my go obejrzymy!

Oczywiście! Kaleb dobrze to rozumiał.

- Zajrzyj do garnków, Marit - szepnął Lars do żony. - Powinniśmy zaprosić państwa na poczęstunek.

Marit już o tym pomyślała, a gdy z pomocą Eli podawała na stół, co mieli w domu najlepszego, Mattias i Niklas zajmowali się Skaktavlem.

- Jakim, na Boga, sposobem, człowiek tak straszliwie połamany zdołał przeżyć? -

zastanawiał się Mattias.

117

W ciele Skaktavla naprawdę nie było chyba ani jednej całej kości. Obaj, Niklas i Mattias, pracowali szybko i pewnie; Mattias korzystał raczej z wiedzy lekarskiej, Niklas posługiwał się siłą swoich rąk, które układał na wszystkich dostępnych miejscach, podejrzewali bowiem ciężkie obrażenia wewnętrzne.

Zabieg wyraźnie służył choremu, bo wkrótce zaczął mówić:

- Gdzie ja jestem?

Wyjaśnili mu.

- W parafii Grastensholm? - powtarzał zdumiony. - Jakim cudem ja się tu znalazłem?

- Skąd pan przyszedł? - zapytał Mattias.

Spojrzenie chorego zmatowiało.

- Oni chcieli mnie powiesić: Po drodze, kiedy mnie prowadzili, rzuciłem się w przepaść. Nie miałem nic do stracenia. Pojęcia nie mam, jak długo leżałem w dole, ale kiedy ocknąłem się z omdlenia, było ciemno. Sznur, którym związali mi ręce, rozerwał się podczas upadku, na szczęście. Zacząłem się czołgać, bo nie mogłem ustać na własnych nogach. Stwierdziłem, że znajduję się w kamienistej rozpadlinie. Nie wiem ani dokąd się czołgałem, ani jak długo, raz po raz traciłem przytomność. Czasami zdawało mi się, że jest dzień, to znowu noc.

Osypujące się kamienie, wąskie szczeliny, las, góry... To zastanawiające, jaki człowiek jest wytrzymały. A jeszcze bardziej zastanawiające, jak wyszedłem z tej rozpadliny. Bywało, że musiałem się czepiać niemal pionowej skały. Pamiętam, jak przez mgłę potworny lęk, że spadnę z powrotem.

Długie opowiadanie wyczerpało go. Musiał chwilę odpocząć, dyszał jak po długim biegu.

Obecni z trudem powstrzymywali się, by nie zapytać o Villemo.

W końcu chory znowu zaczął mówić.

- Najgorzej jest z głową. Rwie mnie w niej i pali, jakby mi ktoś szpile wbijał.

- Wiem - uśmiechnął się łagodnie Mattias. - Dlatego będzie pan musiał długo leżeć bez ruchu.

- Ale gdzie, w którym miejscu rzucił się pan w tę przepaść? - zapytał Kaleb, który nie mógł

już dłużej czekać.

Skaktavl zmarszczył brwi:

- W dole przed nami widziałem parafię Eng... Duży dwór Woller. Dwór wójta... Niedaleko stamtąd, w lesie, jest dąb-szubienica. Tam właśnie mnie prowadzili. Ale szliśmy od... -

118

Zastanawiał się długo. - Villemo i ja byliśmy uwięzieni w budynku przypominającym oborę.

W opuszczonym dworze, gdzie budynki stoją w szeregu, jeden obok drugiego. Trzeba przejść przez stajnię, żeby się dostać do obory...

Znowu się za bardzo zmęczył, musiał chwilę odpocząć.

Zebrani spoglądali po sobie.

- Opuszczony dwór? W parafii Eng? Nie ma tam takiego - powiedział Niklas.

- Nie, nie - szepnął Skaktavl spierzchniętymi wargami. - Nie w parafii Eng, Moja droga na szubienicę zaczęła się gdzie indziej.

Wahali się, nie dowierzając.

- Skąd? - dopytywał się Kaleb. - Z parafii Grastensholm? Trudno mi w to uwierzyć.

- Nie wiem - odparł Skaktavl. - Tylko musieliśmy przejść na drugą stronę wzgórz, żeby znaleźć się w Eng.

- I Villemo nadal jest w tej stajni? - pytał znowu Kaleb.

- Była, kiedy mnie stamtąd wyciągnęli.

Niklas przerwał mu zaniepokojony:

- A nikogo innego pan tam nie widział? Chodzi mi o jednego z naszych krewnych, tego młodego Dominika, który był razem ze mną w Romerike. Wyruszył teraz na poszukiwanie Villemo i także zniknął.

Skaktavl próbował się uśmiechnąć, lecz uniemożliwiały mu to rany twarzy.

- Dominik! Ona dużo opowiadała o Dominiku, myślę, że jest z nim bardzo związana...

Jakimś takim uczuciem miłości, lecz także niechęci. Nie, nikogo nie widziałem. Ale nie wiem, ile dni już tutaj jestem.

To musiało się stać, zanim Dominik wyjechał - powiedział Mattias. - Ale teraz najważniejsze

pytanie: kim są ci, którzy was więzili? Kto was pojmał i dlaczego... Dlaczego?

Człowiek w pościeli jęknął z wysiłku i bólu. Odpowiadał jednak chętnie:

- Mnie uwięził wójt. Rok temu. Zamknęli mnie w tej oborze, która wygląda na kryjówkę dla specjalnych więźniów. Myślę, że wielu tam już siedziało. Mnie wzięli dlatego, że przewodziłem powstaniu. Wójt nie mógł znieść, że chodzę na wolności. Villemo natomiast...

Eli, która widziała, że choremu zasycha w gardle, podała mu kubek. Pił długo i łapczywie.

119

- Później dostanie pan coś mocniejszego - obiecał Mattias. - Coś, co pobudza krążenie krwi.

Skaktavl sprawiał wrażenie, jakby mu to przypadło do gustu. Westchnął z zadowoleniem i mówił dalej:

- Villemo uwięził Woller. On i wójt współpracują.

- Tak jak myśleliśmy - mruknął Kaleb.

- Woller to stara świnia - powiedział Skaktavl z niesmakiem. - Ma otwór w ścianie, przez który podgląda swoich więźniów. Myślę, że oni się mnie pozbyli, bo między mną a Villemo nie zdarzyło się nic, co by ich podniecało.

- A to... - zaczął Kaleb wzburzony, lecz opanował się. - Więc pan myśli, że Dominik także jest teraz w tej oborze?

- Nic o tym nie wiem, ale to bardzo możliwe. Proszę mi powiedzieć, doktorze - zwrócił się do Mattiasa. - Jaki jest mój stan?

Niklas przez cały czas trzymał swoje uzdrawiające ręce na okaleczonych miejscach. Mattias oparł dłoń na ramieniu swojego kuzyna.

- Z ludzkiego punktu widzenia powinien pan umrzeć już w chwili upadku, panie Skaktavl.

Wygląda jednak, że jest pan zrobiony z twardego materiału. I ma pan szczęście, w nie byle jakie ręce pan trafił. Zajmuje się panem jeden z uzdrowicieli Ludzi Lodu! Bardzo niewielu się takich urodziło. Ostatnim był mój pradziad, legendarny Tengel. Niklas jest jego praprawnukiem.

Skaktavl uśmiechnął się z zażenowaniem:

- Dumny jestem, że mam ten honor. Ale i pan także, doktorze Meiden, potrafi co nieco?

Mattias o ciepłych oczach wyglądał na zaskoczonego.

- Oczywiście odziedziczyłem różne formułki, takie tam hokus, pokus, to prawda. Ale ja sam jestem

zwyczajnym śmiertelnikiem, bez nadprzyrodzonych zdolności.

- O, gorące serce to cecha też nie do pogardzenia. Dziękuję panu za opiekę. Czuję się teraz naprawdę dużo lepiej.

Marit zapraszała nieśmiało:

- Gdyby państwo byli tak uprzejmi, to chciałabym... na małą przekąskę...

- Ależ to nie... - zaczął Mattias.

120

Powstrzymał się jednak. Zobaczył oczy Jespera jaśniejące z dumy, że może zaprosić państwa z Grastensholm na mleko, pszenne suchary i domowej roboty piwo, zobaczył Larsa usadzającego gości, Marit przestraszona, że mogliby odmówić. I przypomniał sobie tamten dzień, kiedy po raz pierwszy spotkał swą ukochaną żonę, Hildę, w domu hycła. To, że częstowała go ciastkami, które zostały od Bożego Narodzenia, te pięknie zdobione ciastka, i zmienił zamiar.

- Dziękujemy - powiedział. - Serdecznie dziękujemy. Na pewno będzie nam smakować. A potem przeniesiemy pana Skaktavla do Grastensholm. Tam dostanie silniejsze lekarstwa i opatrzymy mu jak trzeba wszystkie rany.

Usiedli. Lars i Jesper przycupnęli na brzegu łóżka i patrzyli, czy wszystko jest jak należy.

Mała Elisa wciąż jeszcze dokazywała na swoim posłaniu, w końcu Lars wziął ją na kolana.

Marit posłała mu surowe spojrzenie lecz milczała.

To w czasie posiłku Niklas powiedział coś, co miało doprowadzić ich do rozwiązania zagadki:

- Rozpadliny... Widok na leżące w dole Eng?

Wszyscy pograżyli się w domysłach.

- Nie ma żadnych jarów ani rozpadlin w tamtej okolicy - oświadczył Mattias.

- Powiedzcie mi - ciągnął dalej Niklas. - Wollerowie przecież nie zawsze mieszkali tam gdzie teraz. Skąd oni pochodzą?

Do rozmowy wmieszał się Jesper:

- Skąd się wzięli wtedy, gdy podstępem odebrali gospodarstwo Svartskogenom? Ja wiem, bo mi jeden ze Svartskogenów mówił. Oni pochodzą z Moberg.

Wszyscy zwrócili się ku Jesperowi, który zarumienił się z przejęcia i zadowolenia, że go słuchają. I że może się przydać!



- Moberg? - zastanawiał się Kaleb. - Czy w tamtej okolicy są rozpadliny?

Mattias starał się coś sobie przypomnieć.

- Wzgórza w każdym razie są i wyższe, i bardziej strome niż u nas.

- O, tak. Tam są i okropne urwiska, i rozpadliny - powiedziała Marit. - Moja ciotka mieszkała w tamtych stronach i jak byłam mała, to chodziłam tam na jagody.

- Przecież szukaliśmy w Moberg - wtrącił Mattias. - I nic nie znaleźliśmy. I żadnych urwisk po drodze z Eng do Moberg nie ma.

121

- Ale góry, dalej na zachód? - podpowiadała Eli. - Może tam? Tam nie ma żadnych dróg.

- To właśnie o tej okolicy ja mówię - rzekła Marit z przejęciem. - Tam dalej to są prawdziwe górskie ściany. O... Poczekajcie!

Przyglądali jej się z uwagą.

- Moja ciotka powiedziała kiedyś... Muszę sobie przypomnieć. Tak, pokazywała w stronę wzgórz. My byliśmy wtedy na szczycie. I powiedziała: „Tam leży opuszczony dwór. Ale my tam nie pójdziemy. Dookoła takich opuszczonych dworów zbierają się zawsze nieczyste duchy.” Tak powiedziała.

Przez chwilę w izbie panowała cisza.

- Na wzgórzach? - zapytał Kaleb z niedowierzaniem.

- No, nie wiem. Dwór mógł się znajdować na zboczu albo całkiem nisko, po stronie Moberg.

Nie wiem, bo tam nie byliśmy.

- Opuszczony dwór? - powtórzył Mattias. - To nie musi nic znaczyć.

- No pewnie, że nie - zgodziła się Marit niepewnie. - Moja ciotka wiedziała, do kogo on należy, ale ja nie pamiętam. Mówiła też, że oni dorobili się większego majątku i wyprowadzili się stamtąd, już dawno, do Eng.

- Dzięki! - zawołał Niklas i zerwał się ze stołka do dojenia krów, na którym siedział. A ponieważ stołek miał trzy nogi, to oczywiście przewrócił się z hałasem. Wszyscy zaczęli wstawać. - Jedziemy tam! Jeszcze tej nocy!

- Jedziemy - zgodził się Mattias. - Ale najpierw musimy pana Skaktavla przewieźć do dworu.

I zebrać więcej ludzi.

- Ja też pojedę - zgłosił się natychmiast Lars.

- Dziękujemy, to ładnie z twojej strony. Ale będziemy też potrzebować Marit. Tylko że...

- Ja się zajmę dzieckiem - oświadczyła Eli. - Zabiorę ją i Jespera do Lipowej Alei. Tylko Marit zna drogę.

Jesper nie miał nic przeciwko wizycie w Lipowej Alei.

- Pogadam sobie z Brandem, razem wojowaliśmy. Już się pewnie bardzo postarzał.

Zebrani próbowali ukryć uśmiechy. Jesper wyglądał co najmniej dwadzieścia lat starzej od wciąż młodzieńczego Branda.

122

- Mamy ze sobą do pogadania, Brand i ja. O czasach, kiedy wojowaliśmy dla Christiana Czwartego w Niemczech...

Mattias przerwał wspominki starego.

- Kaleb, jedź przed nami! Zbierz ludzi! Poślij też do Svartskogen i do Eikeby, to rodzina mojej matki.

Nie potrzebował prosić dwa razy. Kaleb w biegu podziękował za poczęstunek i już go nie było.

Teraz powinni odnaleźć Villemo! To najlepszy ślad, na jaki natrafili.

- Tak, tak będzie, powiadam wam - obwieszczał Jesper głośno. - Jak usłyszałem tego pana na urwisku, od razu pomyślałem, że wydarzy się coś ważnego. Dlatego spieszyłem mu na ratunek.

Lars i Marit wymienili znaczące spojrzenia. Stary Jesper zawsze, kiedy już było po wszystkim, oświadczał, że on od początku wiedział, o co chodzi. Ale co tam. Lubili staruszka. Bywał męczący, to prawda, trudno było się jednak na niego złościć.

Mała Elisa skakała rozbawiona po łóżku.

W oczach dorosłych pojawiły się promyki nadziei.

Natrafili na ślad Villemo.

123

## **ROZDZIAŁ X**

Obora tonęła w nocnych ciemnościach.

Villemo spała, zmęczona i wycieńczona. Dominik spał także tak blisko niej, jak to było możliwe przy tych rozdzielających ich przegrodach.

Ktoś delikatnie gładził Villemo. Jęknęła cicho przez sen, przytuliła policzek do pieszczącej ją dłoni.

Dominik, pomyślała.

Ale to nie był Dominik. Dłoń dotykała ją leciutko, tak lekko, że Villemo w jakiś sposób uświadamiała sobie, iż to sen. Był to sen niezwykle, wyrazisty, pełen życia.

- Będziemy musieli umrzeć - szepnęła. - Ja nie chcę, żeby Dominik umarł, on nie może!

- Cii, cii - szepnął czyjś roześmiany głos. - Nie umrzesz. Dominik także nie. Musisz walczyć, Villemo! Nie poddawaj się! Umrzec w młodym wieku to najgłupsze, co może być.

- Skąd o tym wiesz?

- Bo sama tak postąpiłam.

- Żałujesz tego?

- Ja nie miałam innego wyjścia. Ale ty nie możesz powtórzyć mojego błędu. Musisz żyć, pamiętaj! Będziesz potrzebna. I Dominik także, dlatego musi wytrwać. Bądź silna, Villemo!

Odwrociła głowę, by spojrzeć na mówiącą. pomieszczenie, w którym się znajdowała, spowijał mrok i dostrzegala tylko pałające szelmowskie oczy.

- Co mamy robić?

- Po prostu wytrwajcie.

- Wiesz, co się z nami stanie?

- Przyszłość to nie moja sprawa. Wiem jednak mnóstwo o tym, co minęło. A teraz wiem nawet więcej niż dawniej. Chcesz zobaczyć?

- Chętnie. Jeśli to nie jest straszne.

- To jest straszne.

- Trudno. Pokaż mimo wszystko. Czy Dominik też może zobaczyć?

124

- Nie, Dominik śni własny sen.

Jakie to dziwne! Śniła i mogła o tym rozmawiać!

Młoda kobieta o pałających oczach zniknęła.

Villemo znajdowała się w pustym pomieszczeniu, wypełnionym mgłą. Po chwili mgła nieco zrzędała i zobaczyła wokół siebie domy. Ale nie takie, do jakich przywykła. Te przypominały raczej szpiczasto zakończone jurty. Za nimi rozciągała się bezkresna przestrzeń, gdzie wiatr miotał kłębam zmarzniętego śniegu lub gnał je po ziemi.

Jakiś człowiek ukazał się w niskich drzwiach. Od stóp do głów ubrany był we włochate skóry.

Z innych drzwi wyszedł jeszcze jeden. Spoglądali ku południowi i podnieceni wykrzykiwali coś do siebie w całkowicie dla niej niezrozumiałym języku. Villemo widziała ich twarze. To nie byli Norwegowie, o nie. Wystające kości policzkowe, wąskie, skośne oczy, połyskujące złotym blaskiem, szerokie usta i krępe sylwetki.

Mimo to miała wrażenie, że kogoś jej przypominają. Mieli coś w twarzach...

Całkiem niedawno widziała taką twarz. Ale gdzie?

Wokół niskich domków wznosiły się słupy, na których zatknięto totemy i symbole.

Wierzchołki słupów połączone były poprzeczkami, z których zwieszały się skóry różnej długości i barwy. Gdzieniegdzie chrzęściły ludzkie czaszki umieszczone na drewnianych palach. Wisiało tam jeszcze mnóstwo różnych rzeczy, których nazw ani przeznaczenia nie znała.

Ze wszystkich jurt, pokrytych, jak się okazało, zwierzęcymi skórami, zaczęli wychodzić ludzie. Wskazywali na południe, krzyczeli coś do siebie, wbiegali do domów. Zrobiło się powszechne zamieszanie.

Villemo spojrzała tam, gdzie pokazywali. Zobaczyła grupę jeźdźców, zbliżających się w takim pędzie, że wzbijali w niebo kłęby śniegu. W rękach trzymali dzidy i lance, i wydawali straszne okrzyki bojowe, które brzmiały jakby „kuli, kuli”. Widok napełnił ją przerażeniem.

Jeźdźcy byli jeszcze daleko, lecz Villemo nie o siebie się bała. Ona znajdowała się poza tym. Niepokoił ją los mieszkańców małej osady.

Wyglądało jednak na to, że oni są dobrze przygotowani, zebrali się błyskawicznie, dosiedli małych koników i z totemami wzniesionymi wysoko w górę ruszyli galopem na zachód.

Villemo zrozumiała teraz, że to, co ona widziała, zdawało się, z bliska - napastników na koniach - oni dopiero przeczuwali jako bardzo jeszcze dalekie niebezpieczeństwo. W

sennym marzeniu mogła pokonywać wielkie przestrzenie, widziała wszystko, co się poruszało na obu krańcach ogromnej równiny. Jej „przyjaciele” z małej osady mieli w gruncie rzeczy dość czasu.

Zobaczyła napastników, gdy dotarli do osady. Widziała, jak wypędzali bydło, palili domy wściekli, że mieszkańcy zdążyli je opuścić.

Obraz zniknął. Na jego miejsce pojawił się nowy.

Znacznie już mniejsza grupa ludzi brnęła wytrwale naprzód. Opuścili rozległą tundrę, znajdowali się w bardziej górzystej okolicy.

Zobaczyła ich później raz jeszcze. Została już tylko garstka. Nieśli wciąż swoje totemy, a na plecach dźwigali jakieś tajemnicze worki. Rozbili obóz, wyjęli z worków dziwne przedmioty, za pomocą których mogli zaklinać wiatr i pogodę, przyzywali kogoś, pewnie swoich przodków...

Po raz ostatni zobaczyła ich, gdy dotarli do celu. To musiała być jakaś dolina w norweskich górach, bogata i żyzna. Tam się osiedlili.

Villemo poczuła, że nie chce widzieć już nic więcej. przeczuwała, że teraz nastąpi to straszne. Cokolwiek by to było, nie chciała widzieć.

Z całych sił starała się obudzić. Zdawało się to trudne, ale zawsze jest trudno wyrwać się z męczącego snu. Jakby miała mocno sklezione oczy. Wszystko tonęło w tym dziwnym zmierzchu, a senne obrazy mogły znowu napłynąć, jeśli ona się nie pośpieszy.

W końcu zdołała uchylić powieki.

Nie bez zaskoczenia stwierdziła, że leży w oborze. Zdażyła o tym zapomnieć, przynajmniej na chwilę.

Pozostała na ziemi, oddychała głośno, tyle ją kosztowała ucieczka od sennej mary. To, co zobaczyła, było tragiczne. Lecz nie budziło grozy, jak została uprzedzona. Nad przyszłością w tym śnie zawisł jakiś cień, czaiła się tam jakaś istota, z którą Villemo nie była w stanie się spotkać.

Jeden z tych, którzy dotarli do celu, miał pójść w złym kierunku, rozumiała to, przeczuwała. A może któryś z ich potomków, to bez znaczenia, bo we śnie przemieszczała się swobodnie w czasie i przestrzeni. Wiedziała jednak, że tego człowieka widzieć nie chce.

Villemo długo leżała wpatrzona w ciemność. Wciąż jeszcze znajdowała się w nieprzyjemnym uścisku snu. Dramatyczna ucieczka z rodzinnej osady wywarła na niej głębokie wrażenie. Była wdzięczna losowi, że nie widziała, jak grupa traci swoich członków.

Widziała ich tylko na różnych etapach, dostrzegała, że jest ich coraz mniej. Co działo się pomiędzy etapami, mogła jedynie zgadywać. Garstka ludzkich istot wędrująca przez bezkresną tundrę w mróz, wichury, śnieżyce...

Teraz przypominała sobie, gdzie niedawno widziała tę twarz. Wuj Brand pokazał jej i Niklasowi malowidło na drewnie.

Tengel Dobry.

I wiedziała też, kim byli ludzie, których widziała we śnie: to jej przodkowie, sprzed wielu wieków, nie wiadomo jak dawno temu.

Ludzie Lodu.

Lud znający sztukę magii, niewielkie plemię z odległych równin na wschodzie.

A ten, z którym spotkania tak się bała, to ów przodek, który wyparł się ludzkiej wspólnoty i zaprzedał własną duszę za marną zapłatę. Mało tego, zaprzedał spokój duszy swoich potomków na długie, długie wieki. Tengel Zły, ten diabeł w ludzkim ciele, o którym wszyscy myśleli jedynie z gorzką niechęcią. W tym momencie, leżąc w oborze, wyczerpana, przemarznięta, z ostrzyżonymi włosami, skazana na śmierć, Villemo podjęła decyzję, że będzie walczyć. O życie swoje i Dominika, a także z przekleństwem, które rzucił na nich Tengel Zły.

Nie miała wątpliwości, że w tej walce potrzebować będzie pomocy i wsparcia.

Wcale nie była pewna, czy to tylko sen, czy też wciąż ktoś jest z nimi w oborze! Ona, ta piękna młoda kobieta, która nigdy nie opuszcza swoich bliskich w potrzebie. Choć zmarła co najmniej pięćdziesiąt lat przed urodzeniem Villemo, ona знаła jej imię, wiedziała, kim jest.

Sol zapowiedziała, że będzie wracać. Po to, by pomagać, lecz także odradzać się w innych osobach. Tak, i wszyscy mówili, że babcia Cecylia ma w sobie bardzo wiele z Sol. A czy i Villemo nie miała?

Pewna nie była, lecz z całego serca pragnęła w to wierzyć.

Dominik poruszył się, jęknął przez sen i przewrócił na drugi bok. Nie chciała go budzić, powinien spać ile może, lecz jego ból odczuwała jak własny.

Dominiku, najdroższy, myślała. To moja wina, że się tu znalazłeś. Ale mimo wszystko jestem wdzięczna losowi, że możemy być razem.

Ogarnęła ją fala czułości i smutku. Świadomość, że pociągnęła go za sobą w to swoje nieudane życie, sprawiała jej dojmujący, niemal fizyczny ból.

Skuliła się na twardym klepisku i próbowała jeszcze zasnąć. W oborze panowało przejmujące zimno, a nie mieli nic, żeby się przed nim ochronić. Minęła co najmniej godzina, nim jej ciało zapadło w drzemkę, a ona pogrzyżyła się w nowych marzeniach sennych.

Dziwne, lecz natychmiast znowu pojawiły się tamte roziskrzone, świecące, przyjazne oczy.

Tym razem jednak był to zupełnie inny sen.

Biegła pomiędzy niskimi zabudowaniami w jakimś dworze przypominającym Tobronn, ale to nie

było tam. Próbowwała ukryć się przed kimś, kto ją gonił.

I znowu usłyszała wołanie. To był głos młodej kobiety.

- Dlaczego uciekasz, Villemo? Pozwól mu się złapać. Nic ci nie zrobi!

Villemo zauważyła, że mocno trzyma rękami spódnicę.

- Nie - mówiła, potrząsając głową. - Tego mu nie wolno. Jesteśmy za blisko spokrewnieni.

- Ech, jakie to ma znaczenie? Czy zawsze musimy trzymać się konwenansów? Trzeba brać z życia jak najwięcej, dopóki się żyje. Wskakuj z nim do łóżka jak najszybciej, on tego pragnie i ty także.

- Tak, ale to niebezpieczne!

- Nie, skądże! To cudowne, wspaniałe! Dużo bardziej rozkoszne niż spotkanie z królem gór i wszystko.

Villemo wytrzeszczała oczy na swą rozmówczynię.

- Ale ja słyszałam inną historię. O Sol, która nie znajdowała szczęścia w ramionach ziemskiego mężczyzny.

Piękna zjawa odwróciła się.

- Ty nie jesteś mną. Jesteś jedną z tych, które potrafią kochać zwykłego mężczyznę, ty nie potrzebujesz szukać króla gór ani innych książąt.

W jej głosie brzmiał smutek. Choć Villemo wiedziała, że to tylko sen i że wszystko pochodzi z jej własnej fantazji, niedola Sol przejmowała ją tak głęboko, że zaczęła płakać. I zaraz się obudziła, z twarzą zalaną łzami i gardłem ściśniętym od płaczu.

Co było snem, co fantazją? Obrazy z życia Ludzi Lodu? Skąd się brały? Czy powstawały tylko w jej mózgu? Nie miała pojęcia, czy Ludzie Lodu naprawdę przybyli ze wschodu. A Sol? Nie mogła chyba mówić do niej tak otwarcie, to niewątpliwie fantazja Villemo wywołała ów obraz.

Wśród tych gorączkowych wizji najłatwiej było wyjaśnić sen, w którym Dominik goni ją, bo chce ją uwieść. To ona sama pragnęła go zdobyć, choć zarazem lękała się fizycznego zbliżenia z nim. Lecz to skutek niezliczonych napomnień ze strony matki i ojca. I że akurat Sol namawia ją do zerwania więzów, też wydawało się logiczne. Sol nigdy nie ulegała konwenansom.

128

Z drugiej strony jednak te sny dawały jej siłę, odwagę i ufność. Usiadła, oparłszy się plecami o przegrodę, gotowa wyjść na spotkanie nowego dnia.

Stary Jesper rozglądał się uszczęśliwiony po kuchni w Lipowej Alei. Jak dawno był tu po raz ostatni!

Ponieważ jego mózg nie był w stanie zajmować się więcej niż jedną sprawą naraz, na chwilę całkiem zapomniał o Villemo i jej problemach.

Jakie mieli w tej kuchni śliczne pulchne kobietki! Jesper gapił się na nie zachwyconymi, świecącymi oczyma. One jednak biegały wszystkie jak szalone. Co je tak nagliło, że nie miały czasu porozmawiać z najlepszym wojakiem Christiana Czwartego? Wciąż jeszcze zachował tyle krzepy w palcach, by stwierdzić, czy mają dość jędrne zadki, wciąż gotów był

obłapiać wszystkie ich krągłości...

- Hej, panienko, chodź tu do mnie i przysiadź na chwilę...

- Akurat teraz nie mam czasu, wszyscy się szykują na poszukiwanie panienci Villemo i pana Dominika.

- Co? Kogo? Ano tak oni... Tak, co to się porobiło! Ale to my go znaleźliśmy, tego oberwańca, pod urwiskiem. U mnie, tam w lesie. W moim majątku, może panienka wie.

Nie, burknęła dziewczyna, nigdy tam nie była i może dziadek by się usunął na bok i nie stał

tak na środku, bo człowiek przejść nie może. Nie, au, niech dziadek nie szczypie, że też staremu takie głupstwa w głowie, nie ma się czym zająć?

Jesper wyszczerzył w uśmiechu oba swoje zęby.

- Tak, tak, mogłoby smakować, żeby tak troszeczkę, co? O, ja byłem niezły tancerz w swoim czasie, może mi panienka wierzyć. Panny padały na mój widok jak muchy i pokazywały wszystko, co miały najpiękniejszego. Tak, tak, to były czasy! Teraz dziewczyny już takie nie są, zmarniały jakoś, do niczego się nie nadają. Biedaczki, niczego nie umieją. Ale ja bym panience powiedział...

- Niech mi dziadek nie stoi na drodze, powiedziałam! Ludzie muszą dostać jedzenie na drogę, bo nie wiadomo, kiedy wrócą. I ręce przy sobie. Co taki dziad może dać kobiecie w kwiecie wieku!

- Co? Chciałaby panienka zobaczyć?

- O, nie! Tysięczne dzięki! Co ty tam możesz mieć, dziadku? Najwyżej jakiś zwisający sznurek.

- Sznurek? Tak? Powiem pannie, że znamienitszego wyposażenia nie miał nikt w całym wojsku Jego Wysokości Christiana Czwartego. Mierzyliśmy! I ja wygrałem, o dwa palce. To wcale nieźle, możesz mi wierzyć!

129

- To było kiedyś! Od tamtej pory wszystko już na pewno zdążyło skurczyć.

- O, nie! Jakbym stuknął o stół, to ściany zadrzą i talerze na półce zadzwonią.



- No, dosyć już tych przechwałek, dziadku - powiedziała służąca dobrotliwie i poklepała Jespera po plecach. - Jeżeli będziesz teraz grzeczny i usiądziesz gdzieś w kącie, to ci dam kieliszeczek czegoś krzepkiego. Co ty na to?

Bezzębne niemal usta rozszerzyły się w uśmiechu od ucha do ucha.

- O, tak, to by mogło smakować! Bo musi panienka wiedzieć, że miałem ciężką noc. Nie każdy umie zająć się szlachcicem, który popadł w tarapaty, ani ugościć całego rodu Ludzi Lodu w swoim domu. Panienka powinna kiedyś przyjść i obejrzeć moją posiadłość, to też panienkę poczęstuję tym i owym...

Dziewczyna naląła Jesperowi kieliszek wódki i mogła w końcu wrócić do swoich zajęć.

Gorączkowy pośpiech panował w całym domu i w obu sąsiednich dworach, a po godzinie niepokój ogarnął całą parafię Grastensholm.

130

## **ROZDZIAŁ XI**

- Ktoś ścina drzewa na dworze - powiedziała Villemo, spoglądając z niedowierzaniem na Dominika.

- Tak, robią to od rana.

- Mają zamiar wznieść tu jeszcze więcej przegród? Dla kolejnych więźniów?

- Nie wiem.

Stała oparta o palisadę, tak strasznie chciała być przy nim.

- Jestem głodna, Dominiku.

- Ja także, ale nie mamy nic do jedzenia.

- Nie. Czy myślisz, że o to im właśnie chodzi? Że chcą nas zagłodzić na śmierć?

- To po co ścinaliby drzewa?

- W jakimś innym, sobie tylko znanym celu - zastanawiała się Villemo bezradnie. - Jak się teraz czujesz?

- Nieźle. Trochę się tylko boję o jeden nadgarstek. Rana opuchła i zaczerwieniła się.

- Och, niedobrze! A ja nie mogę przyjść do ciebie!

- Co byś zrobiła, gdybyś mogła być bliżej?

- Nie wiem. Może wylizałabym ranę, tak jak to czynią psy. Dla ciebie mogłabym zrobić wszystko!

- Najdroższa, kochana Villemo - szepnął czule i wyciągnął do niej rękę. Nie chciał przyznać, iż podziela jej niepokój, że mianowicie oprawcy zamierzają ich zgłodzić. Strażnicy przełękli się jej ukrytej siły i nie odważą się przyjść do obory z jedzeniem.

Ujęła jego rękę poprzez zagrodę.

- To wielka pociecha, że przynajmniej możemy się nawzajem dotykać. Oprawcy widocznie o tym nie pomyśleli. To w tej ręce masz zapalenie?

- Nie, w tej drugiej.

- Mogę zobaczyć?

131

- Nie, nie przejmuj się tym. I tak nic nie możesz zrobić.

- Ach, żeby tu był wuj Mattias albo Niklas - westchnęła. - Marzniesz?

- Trochę niekompletnie jestem ubrany - uśmiechnął się Dominik, wskazując na swój nagi tors. - Ale ty też nie masz nic ciepłego. Tak mnie martwi twój okropny kaszel.

- Przeszkadza ci w nocy?

- Nie mów głupstw! Po prostu boję się poważnej choroby.

Uścisnęła jego dłoń.

- Gdybyś wiedział, Dominiku, jak rozkosznie jest mieć świadomość, że się lękasz o mnie!

Jeśli nie pozwolą nam się pobrać... To czy mimo wszystko nie możemy żyć razem? Tak bardzo chciałabym być przy tobie.

Dominik potarł dłonią czoło.

- Więc jednak uważasz, że nie dostaniemy pozwolenia na ślub?

- Nie, bo moglibyśmy mieć dzieci obciążone dziedzictwem zła.

- Masz rację - przyznał.

Zalała ją fala gorąca.

- Głupia jestem, oczywiście - powiedziała. - Jakie znaczenie mają słowa pastora?

- Villemo - rzekł cicho Dominik. - Jeśli tak się zdarzy, że przeżyjemy i wrócimy do domu...

Czy zgodzisz się, bym poprosił rodziców o twoją rękę?

Gorączkowo uścisnęła jego dłoń.

- Och, tak, zrób to, zrób, mój kochany, miły! Może się zgodzą.

- Nie ma wielkiej nadziei, ale mimo wszystko chcę spróbować. Villemo, gdybyś mogła być moją... Od tak dawna o tym marzyłem. Żebyś zawsze była ze mną, żebym mógł być dla ciebie dobry, kochać cię...

Musiał się roześmiać, trochę nerwowo, lecz radośnie.

- Jeszcze nie do końca uwierzyłam, że tobie na mnie zależy. Że mnie chcesz. Kiedy myślę, co mogłoby się między nami wydarzyć, doznaję zawrotu głowy.

Dominik uśmiechnął się.

132

- Jesteś bardzo szczerą.

Spoważniała.

- Zapominasz, że groziło mi coś tak mało przyjemnego, delikatnie mówiąc, jak gwałt. I że pracowałam z Eldarem Svartskogen, a on nie zawsze liczył się ze słowami. - W oczach Villemo pojawił się błysk. I jedno powinieneś wiedzieć: nie jestem nieśmiałą gąską.

Dominik znowu się uśmiechnął:

- Nie, zresztą wcale się tego nie spodziewałem. Ale, Villemo... My nigdy nie będziemy do siebie należeć.

- Pewnie nie, ale przynajmniej możemy sobie wyobrażać, że tak jest - powiedziała, próbując żartować, ale śmiech uwiązał jej w gardle. - Chcę marzyć, Dominiku. Marzyć, że wyjdziemy stąd żywi, że będziemy mogli być razem jako mąż i żona, że będziesz mnie brał w ramiona.

Dominik jęknął.

- Proszę cię, nie...

- Ale nie jestem lilią, nie. A poza tym mam kilka paskudnych znamion. Popatrz!

Bez ceregieli podniosła spódnicę i odwróciła się tak, że nagie udo zajaśniało w mroku obory.

- O Boże, Villemo! Nie wódź mnie na pokuszenie!

Spojrzała na niego stropiona.

- Ja tylko nie chciałam, żebyś kupował kota w worku.

Zdumiony jej szczerością próbował znaleźć jakieś rozsądne słowo.

- To musi być znamię czarownicy. Villemo, jak my stąd wyjdziemy?

Ona go już nie słuchała.

- Dominiku, twój tors... Jesteś mocno owłosiony, wiesz.

Fascynacja, z jaką wypowiadała te słowa, nie uszła jego uwagi.

- Wszyscy mężczyźni z rodu Ludzi Lodu są tacy. A fakt, że mam w sobie także krew południowofrancuską, wcale sprawy nie poprawia. Nie lubisz tego?

Oszołomiona wzroku nie mogła od niego oderwać. Oglądała go w tym stanie od wielu godzin, ale najwyraźniej kierowała myśli ku innym sprawom.

133

W ogóle Dominik wyglądał jak młody bóg. Nie tylko jego urzekająca twarz i niezwykle oczy.

Był młodzieńcem świetnie wyćwiczonym, w jego ciele nie było nic zbędnego, brzuch miał płaski, wspaniale umięśniony.

- Nie lubię? - powtórzyła bezwiednie. - Nie, tylko czuję się jakoś dziwnie.

Roześmiał się wesoło:

- Z pewnością tak samo jak ja, kiedy ty podniosłaś spódnicę.

Villemo zawstydzila się, nie miała odwagi na niego patrzeć. Wszystko nabrało nowej tonacji, nowego blasku, nowego nastroju i znaczenia.

- Villemo - powiedział cicho po długiej chwili milczenia. - Co takiego chciałaś mi niedawno opowiedzieć?

- O królu gór? - wyrwało jej się, zanim zdążyła pomyśleć.

- O królu gór? - spytał rozbawiony. - Co, na Boga...?

Villemo zakryła twarz rękami.

- Nie, och, Dominiku, nie wolno ci się wyśmiewać, nie teraz!

- Ależ wcale tego nie robię! - zawołał. - Tylko że to Spadło na mnie tak niespodziewanie.

- Teraz już w żadnym razie nie mogę tego opowiedzieć. To bardzo delikatna sprawa, bardzo krucha, wiesz. Przed chwilą taka byłam rozpalona twoją bliskością i tym, o czym rozmawialiśmy, że byłabym w stanie ci o tym opowiedzieć. Może. Lecz twój śmiech wszystko zniszczył.

- Villemo, proszę cię!

Opuściła ręce.

- Nie, zapomnijmy o wszystkim! Nie chcę o tym mówić.

- Ale przecież ja cię kocham!

- Naprawdę? Więc to, że obcięli mi włosy, nie ma znaczenia? - zapytała, onieśmielona tak, jak bywała w dzieciństwie, kiedy prezentowano ją obcym.

- Zupełnie nie. Z tymi krótkimi lokami bardzo ci do twarzy.

134

- Dziwnie to brzmi. Nigdy przedtem nie widziałam kobiety z krótkimi włosami. Oprócz jednej złodziejki, którą ostrzyżono za karę. Ale ona była stara. To straszny wstyd, Dominiku. Nikt obcy nie może tego widzieć.

Toteż nikt nie widzi, pomyślał ze ściśniętym sercem. Ona mówi, jakby istniała jeszcze dla nas jakaś przyszłość. Czy naprawdę nie rozumie?

Owszem, rozumie bardzo dobrze, przed chwilą przecież sama mówiła. Ale w taki właśnie sposób stara się bronić przed zwątpieniem. I ja powinienem jej w tym pomóc.

- Villemo... Powiedz mi, gdzie chciałabyś mieszkać? W Norwegii czy w Szwecji?

- Tam, gdzie będziesz ty - odparła bez namysłu.

Uśmiechnął się.

- Ja bym bardzo chciał mieszkać w Norwegii. Ale jestem związany ze Szwecją, z rodziną Oxenstiernów, silnymi, choć niewidzialnymi więzami. Oni mnie nie puszcza. Jako kurier królewski też powinienem zawsze być do dyspozycji. A poza tym z czego bym żył w Norwegii?

- Przecież wiesz, że dostałbyś ale Elistrand jako mój posag. Warto ponieść tę ofiarę i ożenić się ze mną.

- Głuptasie - śmiał się. - Handlujesz swoim posagiem? Ale ja nie jestem chłopem, moja kochana. Mówi się, że Gabriel Oxenstierna zaproponował Jego Wysokości, by nadał tytuły szlacheckie mojemu ojcu i mnie za nasze zasługi dla królestwa szwedzkiego. Nie dlatego, iżby to były bardzo znaczne zasługi, ale przynajmniej były zabawne!

- Nadać a tytuł szlachecki? - Villemo bardzo to zaimponowało. - Szlachecki ród Lindów z Ludzi Lodu? O, tak, brzmi to niezłe!

- Dotyczyłoby to jednak tylko szwedzkiej linii.

- Rozumiem. Wiesz co? - zapytała udając wyniosłą. - Myślę, że chyba mogłabym przyjąć twoje konkury.

- O ile wiem, jeszcze nie podjąłem żadnych konkurów.

- Jak to nie? Przecież pytałeś, czy się zgodzę, byś poprosił rodziców o moją rękę. - Nagle spoważniała. - Ech, Dominiku, wygadujemy te wszystkie głupstwa, by zapomnieć, gdzie jesteśmy.

- Nic nam nie grozi, dopóki stoimy każde po swojej stronie trudnej do pokonania przegrody.

Gorzej byłoby, gdybyśmy mogli się dosięgnąć.

135

- Tak? Gdybyśmy mogli się dosięgnąć?

Dominik wbił sobie do głowy, że musi wydobyć z niej tę tajemnicę, związaną z królem gór.

Dlatego nie wahał się wzmagać napięcia. Był pewien, że w każdej sytuacji zachowa się wobec niej z szacunkiem.

Oczy przybrały wyraz powagi i pociemniały.

- Wtedy wziąłbym cię w ramiona i zapomniał o całym dziedzictwie Ludzi Lodu.

- Naprawdę tak byś zrobił? - szepnęła przestraszona, prawie bez tchu. - Nie powinniśmy tak się zachowywać, bo przez cały czas ktoś nas podgląda przez ścianę. Albo nigdy się stąd nie wydostaniemy i nie będziemy mogli się pobrać, tak że nigdy nie weźmiesz mnie w ramiona.

Mimo to opowiadaj, Dominiku, opowiadaj!

Słyszał żalną skargę w jej głosie.

- Dobrze - zgodził się. - Chciałbym jednak, żebyś wiedziała, że nigdy przedtem nie miałem kobiety. Nie mam doświadczenia, więc niewiele będę mógł ci opowiedzieć.

- Ty nigdy nie...? - Trudno było niewłaściwie zrozumieć radosny ton tego okrzyku.

- Miałem niemało okazji, ale ja mogłem myśleć tylko o tobie. Z żalem w sercu, bo nic nie wskazywało na to, że kiedykolwiek zapomnisz tego, no wiesz.

- Kogo? - zapytała szczerze, nic nie rozumiejąc.

- Jego, nawet imienia nie chcę wymawiać.

- A, Eldara Svartskogen? Wiesz, o nim już naprawdę zapomniałam. Całkowicie! Bez reszty!

- Bogu dzięki!

- Dominiku, ja także jestem czysta, nietknięta. To znaczy...

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że on...?

- Nie, nie on.

- A kto? - niemal krzyknął. - Masz na myśli tamtego gwałciciela?

- Nie, on niczego nie osiągnął. Nie, to ma związek z królem gór.

Dominik zdrętwiał. Znowu ta historia. Ale...

- Villemo - rzekł niebezpiecznie cicho. - Chcesz powiedzieć, że ktoś cię uwiódł? Twierdził, że jest królem gór, i wykorzystał twoją bujną fantazję?

136

- Nie, nie, jestem nietknięta, przecież mówię! To ja sama, Dominiku, wpadłam na okropnie głupi pomysł!

Dominik nie wiedział, co o tym myśleć. Z wysiłkiem zapytał:

- Jaki pomysł? Mnie możesz powiedzieć wszystko, wiesz przecież.

- Nie, wcale nie wiem.

- Kochanie, my chyba stąd nie wyjdziemy. Uczyń mi więc tę radość i okaż mi zaufanie.

Stała w milczeniu, tocząc ze sobą walkę.

- Villemo - szepnął Dominik. - Pragnę cię.

To pomogło. Uniosła głowę i patrzyła na niego promiennym wzrokiem, choć jeszcze z wahaniem, jakby nie miała odwagi mu zaufać.

- Jak to było z królem gór? Co takiego wymyśliłaś?

- To nie ja wymyśliłam - powiedziała pospiesznie. - To nie ja. To służący.

- Musisz mi wytłumaczyć jaśniej.

- Oni śpiewali.

- O królu gór?

- Tak. I nagle zobaczyłam, jak on wygląda. Był podobny do ciebie. Szczerze mówiąc, ty i on byliście jedną osobą.

Dominik czekał. Ale pospieszne wyjaśnienia Villemo urwały się.

- Czy to takie trudne?

- Tak, bo... - nie mogła się zdecydować. - Bo piosenka nie była zbyt piękna.

- Nie? - Dominik starał się zachować powagę.

- Prawdę mówiąc, to była po prostu obrzydliwa.

Czekał chwilę.

- Zaśpiewaj ją, Villemo!

- Nnie - szepnęła spłoszona. - Nigdy w życiu.

137

- I to wszystko, co cię tak gnębi?

Villemo nie odpowiadała.

- A więc jest coś jeszcze? - Jego głos brzmiał ciepło i łagodnie. Zbliżył się na ile mógł do przegrody i wyciągnął do niej ręce. Nie zastanawiając się dłużej, Villemo uścisnęła je.

Pieścił jej dłonie powoli i rytmicznie.

- Czy nie rozumiesz, że chciałbym wiedzieć? Teraz, kiedy jesteśmy zupełnie sami. Pozwól mi marzyć!

Oparła czoło o przegrodę i przymknęła oczy.

- Kiedy oni śpiewali, ja myślałam o tobie. A wtedy z moim ciałem działo się coś dziwnego.

- Jak to odczuwałaś, opowiedz.

- Nie, wtedy udało mi się to stłumić...

- Zdławić ogień?

- Właśnie. Ale skąd wiesz...?

- Mnie także nawiedzały marzenia i fantazje - uśmiechnął się z czułością. - Na twój temat.



Choć nie uciekałem się do czarów. Ale powiedziałaś „wtedy”. Czy to znaczy, że innym razem było podobnie?

- Och, tak! - zawołała szczerze, gotowa opowiedzieć wszystko, skoro on wyznał, że doznawał podobnych przeżyć. - To był dopiero początek. Następnego dnia poszłam do lasu.

Było tak cudownie ciepło.

- Tak, pamiętam. W Szwecji też mieliśmy bardzo ciepłą jesień. Mów dalej!

Koniuszkami palców gładził jej dłonie, lekko, leciuteńko, ledwie dotykał skóry. Podniecało ją to bardzo, sprzyjało wyznaniom.

Przełknęła ślinę.

- Tam w lesie... znalazłam małą polankę. I wtedy... Nie!

- Tak, Villemo, tak!

Nie krył niecierpliwości. Ona wciąż patrzyła w ziemię, w końcu powiedziała:

- Wyobrażałam sobie, że król gór, to znaczy ty, stoisz w zaroślach i... patrzysz na mnie.

138

- Że cię pożadam? - zapytał cicho.

- Coś w tym rodzaju, tak. Po raz pierwszy w życiu rozebrałam się i studiowałam swoje ciało.

W oborze zapadła obezwładniająca cisza. Villemo słyszała tylko pospieszny, urywany oddech Dominika.

- Ja... leżałam na mchu. Było gorąco. Nie odważyłam się spojrzeć w stronę zarośli, ale wiedziałam, że podchodzisz coraz bliżej. Że stoisz nade mną.

- Czy położyłem się przy tobie?

- Tak. Dotykałeś mnie. I ja... Nie, tego nie mogę powiedzieć!

- Twoje ciało było rozpalone, czy tak?

- Właśnie.

- Tak, że nie mogłaś dłużej się opierać...

Wstyd po prostu przygniatał ją do ziemi.

- Tak - szepnęła. - Nie mogłam się oprzeć.

Dłonie Dominika drżały. Długo stał w milczeniu, nie mogąc znaleźć słów. - Nie musisz się wstydzić, Villemo. Ja też przeżywałem coś podobnego. Wielokrotnie. Gdy człowiek jest samotny, to normalne.

- Ty także miałeś podobne marzenia? - bąknęła. - Takie fantazje?

- Tak. I zawsze marzyłem o tobie. - Uśmiechnął się z zawstydzeniem. - Villemo, doprowadzasz mnie do ostateczności!

- Jak to ? Co masz na myśli?

- Pragnę cię, rozumiesz. Właśnie teraz.

Villemo na moment zamarła, a po chwili rozpromieniła się, jakby słońce rozjaśniło jej twarz.

- Dominiku! - szeptała przejęta. - Ach, najdroższy, najdroższy Dominiku, sprawiasz mi tyle radości! Myślałam, że zachowałam się głupio, wyznając ci wszystko.

Spoglądał na nią łagodnym, dobrym wzrokiem.

- Kochana moja! Przecież należymy do siebie, czyż nie?

139

- Tak, należymy. Ale ty mówiłeś, że nie masz mi o czym opowiadać, bo brak ci doświadczenia. Mimo wszystko chcę, żebyś opowiedział. O tym, jak marzyłeś o mnie. Taka jestem zarozumiała, że chcę słuchać o sobie. O twoich uczuciach do mnie. Bo ja już za dużo mówiłam o swoich.

- Jeśli o mnie chodzi, to nigdy nie mam dość twoich opowiadań. Ale, owszem, powiem ci.

Milczał przez chwilę. Chciał, by ta atmosfera gwałtownej tęsknoty pochłonęła ich całkowicie.

Na dworze przestali już piłować drzewa, dzień chylił się ku wieczorowi, lecz dwoje młodych więźniów zdawało się nie zwracać na to uwagi. Widzieli tylko siebie, znaleźli się w świecie marzeń, w świecie, którego tak naprawdę nie było i nigdy nie miało być.

Dominik mówił teraz ledwo dosłyszalnie.

- Gdybym mógł cię dosięgnąć... to najpierw ująłbym w dłonie twoją twarz. Wpatrywałbym się w ciebie długo, bardzo długo, by na zawsze zapamiętać twoje rysy. Potem dotykałbym wargami twojej delikatnej skóry. Jak w magicznym rytuale całowałbym czoło, powieki, policzki... a w końcu usta.

Villemo westchnęła głośno.

- Taaak - szepnęła.

Pomyślała o swoich okropnie ostrzyżonych włosach, o sinej z zimna twarzy i katarze. Akurat teraz pragnęła być czysta i bardzo ładna. Wiedziała jednak, że nie jest.

Wciąż jeszcze nie dotarło do niej w pełni to niewiarygodne, że oto Dominik stoi tu przed nią i wyznaje jej miłość! Była to myśl tak wspaniała, że nie miała odwagi w nią uwierzyć.

- Mów dalej - prosiła drżąc.

- Potem moje dłonie odkrywałyby ciebie. Wolno, wolniuteńko, i ostrożnie, by cię nie spłoszyć.

Roześmiała się niepewnie.

- Spłoszyć, to nie jest właściwe słowo, Dominiku. Mów dalej!

Przelotny uśmiech rozjaśnił jego twarz.

- Tak wiele pragnąłbym w tobie odkryć. Często ogarniała mnie dojmująca tęsknota, by cię objąć w pół. Niekiedy byłem szalony z pożądania... Chciałem mieć cię naprawdę, mieć... nie, uff, takich rzeczy nie mówi się głośno. Powinienem pozostawić coś także twojej wyobraźni.

- Mojej wyobraźni nie trzeba już pobudzać - jęknęła Villemo. - Dominiku, ja już chyba więcej nie zniosę!

140

- Ani ja - szepnął.

- Mimo to chcę, żebyś mówił dalej.

- Później moje ręce zsuną się na twoje piersi tuż przy szyi. Od dawna pragnęły tam być. To miejsce pociąga mnie najbardziej. Obejmę twoją szyję... i kark...

Nie miał pojęcia, na ile śmiałe słowa Villemo jest w stanie znieść.

- Wiem - powiedziała szybko. Czowała dreszcz i mrowienie w całym ciele. - Dominiku, sprawiasz, że jest mi... gorąco. Jakby tu ktoś rozpalił ognisko.

- Nie tylko ty to czujesz - bąknął. - Czy mam przestać?

- Nie, nie! Tymczasem ja zarzuciłam ci ręce na szyję. Przytulam się do twojej piersi, nie widzę cię, ale chcę, żebyś znał moje... pragnienia.

Zdesperowani ściskali swoje dłonie.

- Tak - szeptał. - Tak, a gdy ty chowasz twarz na mojej piersi, ja przytulam cię do siebie, podnoszę twoją sukienkę.

- A pod spodem nie mam nic.

- Villemo, posunęliśmy się już tak daleko, że nie sędzę, bym jeszcze był w stanie utrzymać się na

nogach. Powinniśmy... Musimy się położyć, nie sądzisz?

Odpowiedziała z westchnieniem:

- Owszem. - A potem szybko dodała przestraszona: - Uważam, że powinniśmy z tym skończyć. To nie do wytrzymania.

- Ja chcę do ciebie.

- Tak, chodź, szybko!

- Przecież już próbowaliśmy. To niemożliwe. Gdybym miał swą zwykłą siłę, na pewno bym wyrwał któryś kołek, chociaż są tak mocno powbijane. Ale teraz ręce mam słabe. Nie dam rady, gdy całe ciało w ranach. Villemo, co robić?

Głos jego zabrzmiał bezradnie, jakoś głucho, i w tym momencie marzenie się rozwiało.

Ponura rzeczywistość ukazała im się z całą porażającą ostrością.

Villemo ukryła twarz w dłoniach i osunęła się na ziemię z rozpaczliwym szlochem.

Dominik nie znalazł żadnych słów pociechy.

141

Nad oborą zapadł zmierzch. Robiło się coraz zimniej. Wszystkie kontury rozmazywały się w mglistoszarym mroku, beznadziejnym jak uczucia obojga więźniów. Usta Dominika wykrzywiły się z goryczą. Nie potrafi pomóc swojej ukochanej... Miał jedynie nadzieję, że przez noc odzyska siły na tyle, by rankiem podjąć próbę wyłamania przegrody lub ściany.

Wtedy mogliby wydostać się z obory. Skąd jednak miałyby mu się brać siły, skoro nic nie jadł? Głód skręcał mu wewnątrz, podobnie musiało być z Villemo.

A poza tym nie wiedział jeszcze, że dla nich żaden ranek nie miał zaświtać...

Stary Woller i jego przyjaciel wójt zbliżali się konno do opuszczonego dworu. Zwołali wszystkich swoich ludzi, by każdy mógł zobaczyć wspaniałe widowisko, gdy zabudowania wraz z oborą pogrążą się w morzu płomieni.

Stos godny wiedzy z rodu Ludzi Lodu!

142

## ROZDZIAŁ XII

W Grastensholm panowała zgoda co do tego, że powinni zabrać ze sobą asesora. Mieli mieć do czynienia z wójtem, daleko więc nie zajądą sami jako zwykli obywatele. Zatem o świcie Andreas

pojechał po urzędnika, a tymczasem Mattias, wspomagany przez Niklasa, zajmował się Skaktavlem.

Niklas, który chrzest bojowy jako uzdrowiciel przeszedł w wieku lat pięciu, kiedy to uratował

życie Mikaelowi, nieczęsto czynił użytek ze swojej niezwykłej siły. Sam chyba trochę się jej lękał, a poza tym doznawał dziwnego uczucia, że powinien ją oszczędzać - dla zadania, które czekało go w przyszłości. W dodatku po tym, jak musiał rozstać się z Irmelin, zobojętniał na wszystko i wszystkich. Dla Skaktavla żywił jednak jakieś nieokreślone uczucie. Może lojalność...

Nie mieli wielkiej nadziei, że szlachcic przeżyje; na to rany były zbyt poważne. Lecz mimo to jeszcze się w nim tliło życie i chcieli zrobić wszystko, co w ich mocy. Mattias wydobył nawet stary skarb Ludzi Lodu, co czynił nader rzadko. Przeglądał teraz starannie posortowane czarodziejskie pigułki w poszukiwaniu czegoś, co dałoby udręczonemu ciału nową siłę do obrony przed uściskiem śmierci.

Niklas należał do tych, którzy szczególnie dotkliwie przeżyli zniknięcie Villemo. Nie mógł

sobie wybaczyć, że przez ostatni rok odnosił się do niej tak niechętnie.

To prawda, że nie znosił Eldara Svanskogen i uważał, że Villemo zachowuje się jak głupia gęś. Irytowało go jej zapatrzenie w siebie, cała ta żaloba i tęsknota za zmarłym. Ale czyż mimo wszystko miał prawo spoglądać na nią z góry? Czy sam nie miał okazji stwierdzić, jak gruntownie miłość człowieka odmienia? Czy on sam nie zachowywał się beznadziejnie, kiedy starał się zdobyć przychylną Irmelin? I w czym mu zachowanie Villemo przeszkadzało?

Niklas wstydził się i żałował swego zachowania. A świadomość, że może już nigdy nie będzie miał okazji poprosić jej o wybaczenie, nie dawała mu spokoju ani w dzień, ani w nocy i gnała do nieustannych poszukiwań. Nikt nie szukał tak niestrudzenie w lasach parafii Grastensholm i Eng, nikt tak szczerze nie błagał Boga jak Niklas.

Niklas bowiem, podobnie jak Dominik, należał do tych członków rodu, którzy głęboko i szczerze wierzyli w Boga. Obaj znali niechęć Villemo od odwiedzania kościoła i wiedzieli, że ma to coś wspólnego z dziedzictwem, którym została dotknięta. I dlatego też przypuszczali, że z nich trojga, obdarzonych kocimi oczami, Villemo obciążona jest najbardziej. Niklas jednak nigdy nie stwierdził, na czym polegają jej nadzwyczajne zdolności, wciąż nie wiedział, do czego została stworzona, na dobre czy na złe dostała te kocie oczy.

Biedny Niklas, nie było mu łatwo, gdy tak siedział z rękami na klatce piersiowej Skaktavla.

Nie bardzo mógł się skoncentrować na rannym. Mimo wszystko stwierdził poprawę pracy serca, zatem pozytywne działanie jego rąk nie ustawało, nawet jeśli myślał o czym innym.

143

Przez cały czas Mattias mu towarzyszył. Dobry, miły Mattias, który z całych sił starał się pomóc choremu.

Między innymi dlatego wyruszyli dopiero, gdy dzień był już pełny, a wtedy zjawił się też asesor ze

swoimi ludźmi i posiłkami z Akershus.

Marit z małej komorniczej zagrody poczuła, że kolana jej się uginają na widok tak dostojnych osób. Nie pamiętała zbyt wiele z tamtych okolic za zachodnimi wzgórzami pomiędzy Eng i Moberg. Co będzie, jeśli wyprowadzi całą liczną i szacowną gromadę na manowce?

Nareszcie orszak wyruszył. Marit siedziała przed Larsem na ich starej chabecie, mieli jechać na początku, wśród dostojnych panów. Zebrał się cały ród Ludzi Lodu, nawet Gabriella, choć Kaleb protestował energicznie. W domu została tylko Eli, by zająć się Elisą i Jesperem, oraz Hilda, która opiekowała się Skaktavlem. Ten ostatni zdążył odbyć krótką rozmowę z asesorem.

Przyszli wszyscy mężczyźni ze Svartskogen. Nie zostało ich już wielu, lecz ci, którym udało się uniknąć śmierci, owładnięci byli wolą walki. Nareszcie stary Woller dostanie to, na co od dawna zasługuje!

Zjawili się też inni komornicy z należących do Grastensholm gospodarstw, aż się roiło od mieszkańców Eikeby, a także ludzi, którzy z tą sprawą w żaden sposób związani nie byli. Ale trochę odmiany od szarości powszedniego dnia zawsze się przyda, a panienkę Villemo, szczerą i niezależną, lubiła cała okolica. Dominika znali mniej, mieszkał przecież w Szwecji.

Minęło już ponad trzy dni, odkąd wyruszył na poszukiwanie Villemo, było oczywiste, że coś mu się przytrafiło.

Nie wszyscy mieli konie, ten i ów musiał szukać dla siebie miejsca na zadzie wierzchowca jakiegoś znajomka czy kompana. Jechać powinien każdy, kto może! Odprawiono tylko chłopców dziesięcio-, dwunastoletnich, poza tym z wdzięcznością przyjmowano każdą pomoc.

Uformował się spory oddział i leśnymi dróżkami ciągnął w górę, ku Moberg.

Zdecydowano wyruszyć wprost na poszukiwanie miejsca, gdzie przetrzymywana była Villemo, nie zahaczając ani o Woller, ani o siedzibę wójta. Nie należało ich ostrzegać przed czasem, by nie wyrządzili Villemo krzywdy.

Ludzie Lodu nie mieli teraz nikogo, kogo by można nazwać głową rodu. Obowiązki z tym związane dzielili pomiędzy siebie Kaleb, Brand, Andreas i Niklas. Mattias nigdy nie był

typem przywódcy. Był dobry, miły, kochany przez wszystkich. Hilda, jego żona, miała jednak dużo bardziej zdecydowany charakter i to ona zarządzała majątkiem. W tę podróż jednak nie wyruszyła, wojenna wyprawa to nie jej świat.

Stary Brand natomiast jechał i nikt przeciwko temu nie protestował. Gdy Jesper zobaczył

swego przyjaciela z młodzińskich lat szykującego się na wyprawę, także zapragnął wziąć w niej udział. Wszyscy jednak grzecznie, lecz stanowczo mu ta wyperswadowali. Nikt nie chciał wlec za sobą kuśtykającego gaduły. Zmarkotniały patrzył w ślad za odjeżdżającymi, dopóki całkiem nie

zniknęli za dalekimi drzewami. Wtedy westchnął ciężko i poszedł do kuchni, by przy obficie zastawionym stole zjeść po trudach nocy śniadanie.

W oborze panowała cisza. Nad opuszczonym dworem kładły się coraz gęstsze ciemności.

Oczy Villemo przyzwyczały się już do mroku, tak że dostrzegała jeszcze Dominika skulonego przy zagrodzie. Podkurczył nogi i siedział, opierając głowę na kolanach.

Villemo zanosila się suchym, gwałtownym kaszlem, który przejmował Dominika lękiem.

Nagle podniósł głowę.

- Ciii!

Na sianie w kącie coś zaszeleściło.

- To tylko jeż - szepnęła. - Przychodzi tu od czasu do czasu szukać jedzenia.

- Jaka szkoda, że nic dla niego nie mamy!

- Lubisz zwierzęta?

- Bardzo. Ojciec mnie tego nauczył, ale ja sądzę, że z tym człowiek się rodzi. W dzieciństwie miałem psa.

- Trolla. Pamiętam. Był bardzo stary, prawda?

- Tak, a kiedy w końcu musiał odejść do swoich przodków, ja przez tydzień nie mogłem się ludziom pokazać na oczy, tak bardzo po nim rozpacziałem. Zresztą rodzice także.

- Twój ojciec przywiózł go z Inlant, jeśli dobrze pamiętam.

- Tak, to prawda. - Dominik uśmiechnął z czułością. - Mój ojciec to wspaniały człowiek.

Trochę nieobecny, jakby go otoczenie zupełnie nie interesowało, żyje bardziej w świecie swoich książek niż w świecie realnym. W praktycznych sprawach mama nie może liczyć na jego pomoc, ale nie protestuje, zwłaszcza że ojcu tak jest dobrze. Dzięki ojcu mama bardzo się zmieniła. Na lepsze. Przedtem była niesłuchanie wymagająca i nudna, sam to pamiętam z wczesnego dzieciństwa, zanim ojciec wrócił do domu. Uważała, że śmiech jest grzechem, że okazywanie uczuć jest grzechem. Przysięgałem sobie, że ja nigdy taki nie będę. Dlatego byłem taki szczerzy wobec ciebie, Villemo. Chciałem, żebyś wiedziała, jak bardzo cię kocham, jak cię pragnę. Twoje ciało zostało stworzone dla mojego, twoja dusza i moja to dwie połówki, które zostały rozdzielone na długo przedtem, zanim my pojawiliśmy się na ziemi, a które teraz się odnalazły.

145

Słuchała poruszona, później uklękła, trzymając się mocno przegrody.

- Ja myślę podobnie. Dominiku, zaczynam wierzyć, że...

- Tak, co chciałaś powiedzieć?

- Nie, na to jeszcze za wcześnie.

- Dziecino, zaraz może się okazać, że jest za późno!

- Wiem. No dobrze! Zaczynam wierzyć, że cię kocham, Dominiku. Ale to inna miłość niż do...

No wiesz. Wtedy to było dziecinne, pełne egzaltacji zadurzenie. Teraz moje uczucie jest nieporównanie głębsze. To coś, co kształtuje się powoli, co wypływa z samego jądra mojej istoty.

Dominik westchnął głęboko, potem także uklęknął i poprosił:

- Mów dalej !

- Powiedziałaś przedtem, że boję się, bym nie wzięła za miłość dumy wypływającej z tego, że mnie kochasz. Wiesz przecież, że zawsze czułam się z tobą związana, że cię potrzebowałam. Chciałam u ciebie szukać pociechy i opieki, ale oboje czyniliśmy to niemożliwym. Dziś nauczyłeś mnie wiele. Pokazałeś mi, że moje ciało tęskni za tobą, że pragnę, byś mnie obejmował, całował... Mogę to bez obawy wyznać teraz, na progu unicestwienia i gdy dzieli nas solidna przegroda. Gdy cierpisz, cierpię wraz z tobą. Chociaż to wszystko nie musi oznaczać miłości.

- To prawda - zgodził się Dominik.

- Miłość to coś bardzo trudnego do określenia. Ale właśnie zaczynam odczuwać, że ten tajemny dar został mi dany. To ogromne szczęście, które sprawia, że doznaję zawrotu głowy, gdy na ciebie patrzę. Które pozwala mi zapomnieć o domu, o mamie i ojcu, o grożącym nam niebezpieczeństwie, o głodzie, chorobie i zimnie. To jest miłość, prawda?

- Masz rację, że uczucie miłości trudne jest do określenia. Jeśli jednak czujesz do mnie wszystko to, o czym mówisz, to jesteś na dobrej drodze. Byłbym wdzięczny nawet za połowę. Villemo, czynisz mnie takim szczęśliwym, że chyba zaraz się rozpłaczę!

Jeż skończył poszukiwania; usłyszeli, że przeciska się pomiędzy dwoma palikami i rozczarowany wraca do lasu.

Villemo znowu zaczęła roztrząsać ich zmartwienia.

- Gdybyśmy tak mogli stać się małymi zwierzątkami i uciec stąd, tak jak ten jeż. Och, Dominiku, co myśmy uczynili Panu Bogu, że tak surowo nas karze?



- Jak słyszę, nadal masz problemy ze swoim stosunkiem do Boga? Zawsze je miałaś, jesteś do szpiku kości przeniknięta wolą walki.

- Niestety, trudno mi wierzyć w jakąś siłę wyższą. Zwłaszcza teraz! Ty, jak wiem, jesteś człowiekiem religijnym. Nie zasłużyłaś na to, by na ciebie spadły moje kłopoty. Ja nie mogę wierzyć w Boga, który pozwolił, by jego jedyne go syna przybito gwoździami do krzyża. A potem już nikt nie słyszał jego głosu, choć ludzie Kościoła mówili i mówili, że musimy czuwać, bo przybycie Pana się zbliża. Oni mówią to po to, by narzucić ludziom swoją władzę.

- No, no - Dominik starał się ją uspokoić.

- Oczywiście, jest wiele słuszności w dziesięciorgu przykazań, lecz chrześcijaństwo nie ma wyłączności na prawdę. Przecież takie zasady, jak „Nie czyn drugiemu, co tobie niemiło”, można w różnych formach spotkać także poza chrześcijaństwem. Znam wspaniałych, przenikniętych chęcią czynienia dobra ludzi wśród tak zwanych pogan czy sekciarzy, lecz należy ich karać, ponieważ nie wierzą w Boga. Co takiego nadzwyczajnego jest w tym, że się wierzy? A jeśli komuś umrze ktoś z bliskich, to dla pociechy mówi mu się, że powinien to potraktować jako próbę albo że Bóg wie, co robi. Ja uważam, że to bluźnierstwo. Coś takiego mogłoby się odnosić do jakiegoś żadnego przyjemności, nielitościwego i próżnego boga, który tylko chce sprawdzić, jak bardzo go kochamy!

Villemo mówiła teraz z wielkim podnieceniem.

- Wielu ludziom wiara jest potrzebna dla stłumienia lęku przed śmiercią. Jesteś miły dla nieznośnego młodszego brata, nic dręczysz kota i wierzysz, to pójdziesz do nieba. A nie, to niech cię diabeł porwie.

Po chwili jednak głos jej przycichł, a wzrok złagodniał.

- A mimo to potrzebujemy czegoś, w co byśmy wierzyli. My, biedne ziemskie istoty, potrzebujemy czegoś czy kogoś silniejszego od nas, do kogo można się zwrócić, gdy wszystko inne zawodzi. Siły natury są zbyt potężne dla małego człowieka. Wynajdujemy sobie siłę, która by nas chroniła. Jedni wierzą w byka, inni w trolle i jakieś ponadnaturalne istoty. Nie uważam, że istnieje wielka różnica między wiarą a wierzeniami, to jest dokładnie ta sama sprawa. Ale wiara jest dozwolona, a za wierzenia i przesady można pójść na stos.

Chętnie przyznaję, że kiedy popadnę w prawdziwe tarapaty, modłę się do Boga. Jestem jak wielu zatwardziałych grzeszników na łożu śmierci, którzy nagle stają się bardzo religijni, bo w przeciwnym razie widzieliby przed sobą jedynie pustkę i nicość. Ale to krótkotrwała religijność. Gdy tylko niebezpieczeństwo mija, znowu zaczynam bluźnić jak teraz. Dlatego taka jestem chwiejna w moim stosunku do Boga.

Dominik rzekł łagodnie:

- O, nie! Kiedy popadasz w tarapaty, sięgasz do źródeł siły Ludzi Lodu.

- Ale to tylko teraz, w ostatnich czasach - rzuciła pospiesznie. - Zdarzyło mi się to trzykrotnie. Pierwszy raz w Romerike, kiedy miałam tę wizję o przyszłości, drugi raz już tutaj, kiedy rzucił się na mnie szaleniec, i trzeci raz, kiedy cię bili. A, i jeszcze przedtem coś czułam na strychu w Grastensholm. To znaczy cztery razy.

- Czy nie możesz... skorzystać z tej siły, żeby nas stąd uwolnić? - zapytał cicho.

- Ja nad nią nie panuję. Nie mogę jej wywołać na żądanie. Ona się we mnie pojawia sama, narasta jak gwałtowny gniew lub jak przerażająco jasna świadomość. Nic nie mogę zrobić, to powstaje we mnie sama z siebie. Ale ty? Co z tobą, przecież potrafisz czytać w ludzkich myślach. Nie możesz nam pomóc?

- Villemo, powiadam ci po raz już nie wiem który, że ja nie umiem czytać w ludzkich myślach. Odbieram jedynie jakby następstwa ich myśli, ogólny nastrój, atmosferę.

- Owszem, potrafisz odczytywać myśli. Zrobiłeś to kiedyś, gdy byliśmy jeszcze mali. Ja schowałam ciastko, a ty odgadłeś gdzie, pamiętasz?

- Tak, ale wiedziałem, czego szukam, a poza tym ty także pochodzisz z Ludzi Lodu i jesteśmy sobie bliscy.

- Czy nic mógłbyś się jednak skupić? Nad tym, co te bestie zamierzają z nami zrobić? Czy może chcą nas zagłodzić?

- Są zbyt daleko ode mnie.

- Nonsens! W Szwecji wyczuwałeś, że Are czeka na twojego ojca i że czas nagli. I teraz też wyczuwałeś, że ja ciebie potrzebuję.

- Masz rację. Wobec tego mogę spróbować, chociaż taki jestem zmęczony i głodny. Mózg mam zupełnie pusty. Spróbuj mi pomóc, jeśli możesz!

Dominik znowu usiadł skulony. Villemo trwała w śmiertelnym milczeniu, nie miała odwagi nawet drgnąć, koncentrowała się, by wspierać jego myśli. Drapało ją w gardle, z nosa kapało, ale teraz najłżejszy nawet dźwięk mógł wszystko zniszczyć. Niech więc kapie!

Dominik nie potrzebował wiele czasu.

- Nie! - krzyknął nagle.

Villemo wytarła nos brzegiem spódnicy i zapytała:

- Widzisz coś?

Dominik zerwał się na równe nogi.

- Oni są blisko! Dlatego tak prędko wyczułem, co się dzieje. Widzę płomienie. Czuję gorąco i zapach dymu...

Villemo zdawało się, że powoli kona ze strachu. Zdążyła wykrztusić jedno tylko słowo:

- Nie!

- Zaraz tu będą.

- Dominiku! O Boże, ta przegroda! Chcę być przy tobie!

Dominik rzucił się do drzwi, zaczął nimi szarpać, ale czynił to już wielokrotnie - bez rezultatu.

Drzwi były solidne, a zamek umieszczony tak wysoko, że nie mógł go dosięgnąć. Szarpał za kołki w przegrodzie, biegał wzdłuż ścian, szukając jakiejś szczeliny... Nic nie znalazł.

Wrócił do Villemo i wziął ją za rękę.

- Villemo, kocham cię - próbował ją uspokajać.

- I ja ciebie. Teraz jestem tego pewna i to jest dobra pewność, daje mi poczucie bezpieczeństwa.

- Dziękuję ci, że mi o tym mówisz. To dlatego ścinali drzewa. Żeby się las nie zapalił.

Podskoczyli oboje, bo drzwi zewnętrzne otworzyły się z hałasem.

Było zupełnie ciemno, ale na zewnątrz, w oddali płonęły pochodnie i w ich blasku zobaczyli na progu zwalistą sylwetkę starego Wollera.

- Villemo córko Kaleba!

Widzieli, że odwraca twarz, jakby spoglądał za siebie. Początkowo nie rozumieli dlaczego, potem uświadomili sobie, że on się boi oczu Villemo. Nie wiedział, że nie ma w nich teraz żadnej siły. Był tylko bezgraniczny smutek wywołany myślą o tym, że Dominik będzie musiał

umrzeć. Villemo bała się, bała się śmierci, choć starała się tego nie okazywać.

- A, więc to tak? Postanowiliście nas tu spalić żywcem?

Stary drgnął.

- Skąd, u diabła, o tym wiesz?

- Nie zapominaj, że pochodzimy z Ludzi Lodu.

opanował się.

- Villemo córko Kaleba - powtórzył. - Zostałaś skazana za czary. Sama jesteś sobie winna.

Pójdiesz na stos.

Ze wszystkich sił starała się, by jej głos zabrzmiał pewnie.

- Oskarżyliście mnie o śmierć waszego syna i trudno, przyjmę ten niesprawiedliwy los, ale proszę was... Dominik nic wam nie zrobił. Puśćcie go wolno!

Zwalisty chłop pomyślał przez chwilę.

- Masz rację, jeżeli chodzi o ciebie, to musi być oko za oko. Postanowiłem to już w chwili, kiedy przyniesiono mi wiadomość o śmierci syna. Teraz nadszedł czas spełnienia. Oddasz życie za życie mojego syna. A ten tam, twój szwedzki zalotnik, on umrze za mojego umierającego wnuka.

- Nie wiedziałam, że macie wnuka.

- Już niedługo nie będę miał.

- A co mu jest?

- Nic ci do tego.

- Ale przecież Dominik nie jest winien choroby waszego wnuka.

- Oko za oko, ząb za ząb.

Podeszła bliżej, a stary odskoczył z lękiem, choć przecież Villemo nie mogła wyjść z zamknięcia.

- Skoro dziecko jest chore, to dlaczego nie prosicie o pomoc mojego wuja, Mattiasa Meidena? Albo Niklasa? On ma uzdrawiające dłonie.

- Ludzi Lodu? - Właściciel Woller splunął z największym obrzydzeniem. - Mam prosić o pomoc diabelskiego pachołka?

- Mattias Meiden co niedziela bywa w kościele. A nie robiłby tego, gdyby służył diabłu.

Dostała gęziej skórki wymawiając te słowa. Wielu było wśród Ludzi Lodu takich, którzy z trudem przekraczali kościelne progi. Hanna i Grimar. Tengel. Sol. Kolgrim... Wszyscy obciążeni.

150

A ona sama? Czy też coś jej nie odpychało? Czy to nic dlatego nie umiała się uładzić ze swoim Bogiem?

Stary Woller powiedział brutalnie:

- Dosyć tego gadania! Teraz zrobię z wami koniec.

I poszedł sobie. Tam gdzie stał wójt i jego ludzie.

- Podpalimy dom najpierw od tamtej strony, to widowisko będzie dłuższe, a oni będą mieli więcej czasu, żeby się bać. Chcę słyszeć krzyki, błaganie o litość. Ale litości się nie doczekają.

151

## ROZDZIAŁ XIII

Marit rozpaczliwie rozglądała się w zapadającym zmierzchu. Była bardzo zdenerwowana tym, że niczego nie pamięta.

- Wydaje mi się, że to w tamtą stronę - powiedziała niepewnie.

Oczy jeźdźców powoli przyzwyczajały się do zmroku, bez trudu rozróżniali drzewa i krzewy.

Ale to co innego niż z głębi lasu na wzgórzach określić, gdzie leżą poszczególne doliny.

- Widzisz, tam niebo jest jaśniejsze - powiedział asesor. - A ponieważ mamy grudzień, musi to być południowy zachód. W zimie droga słońca jest krótka. Czy przypominasz sobie, gdzie mógłby się znajdować dwór?

Zdawało jej się, że umrze ze wstydu, ale nie była w stanie udzielić lepszej odpowiedzi:

- Dużo zależy od tego, gdzie teraz stoimy, ale myślę, że to tam... - jąkała nieśmiało.

- Tak, chyba masz rację - powiedział pan przyjaźnie. - Pojedziemy tam, gdzie pokazujesz, bo wydaje się to rozsądne.

Droga na wzgórza pomiędzy Eng i Moberg zabrała im dużo czasu. Do Zachodnich Wzgórz było dalej, niż sądzili.

Do asesora podjechał jeden z komorników.

- Chciałbym coś powiedzieć, jeśli wasza wysokość pozwoli.

- Bardzo proszę - uśmiechnął się asesor, rozbawiony tym królewskim tytułem.

Był to człowiek, który dużo przebywał na świeżym powietrzu, polował i łowił ryby, a od wielu lat przyjaźnił się z rodziną Meidenów z Grastensholm i dlatego przyjechał natychmiast, gdy tylko po niego posłano. Ów wójt, któremu teraz mieli się bliżej przyjrzeć, od dawna zwracał

na siebie uwagę asesora, bo wciąż ktoś się skarżył na jego korupcję i nadużywanie władzy.

Dotychczas jednak wójt zawsze jakoś umiał się wykręcić. Teraz nadarzała się okazja, by nareszcie

zrobić z nim porządek.

- Tak, o co chodzi? - zapytał asesor komornika, bo ten jakby języka w gębie zapomniał, stanąwszy twarzą w twarz z władzą.

- No tak, bo jeżeli Marit Larsowa dobrze pokazuje, to by się zgadzało. Bo po tej stronie wzgórz idzie prosta droga do dworu Woller. Ale to taka stara leśna droga i pewnie wszyscy o niej zapomnieli.

- Że też nikt z nas nie odkrył tego dworu - zastanawiał się Kaleb. - Przecież szukaliśmy wszędzie.

152

- Na tym wzgórzu to nie za bardzo - powiedział Niklas. - To zbyt daleko.

- Nie jest tu specjalnie miło - wtrąciła Marit. - Bagna i...

- Ach, tak, to ta okolica! - przypomniał sobie Kaleb. - Byliśmy tu, Gabriela i ja, ale zawróciliśmy na skraj bagien, myśleliśmy, że tam się nie da przejechać. Tak, chyba jesteśmy na właściwej drodze.

We wszystkich wstąpił nowy zapach.

Nie ujechali jednak daleko, gdy ludzie zaczęli wołać:

- Patrzcie! Pali się!

Żółte i czerwone płomienie strzelały w niebo, zasnuwając je gęstym dymem i krwistą poświatą.

- Jezus, Maria - szeptali ludzie i poganiali konie jak się tylko dało w tej spowitej mrokiem nieznannej okolicy.

- Patrzcie pod nogi! - wołał Kaleb. - Zaczyna się bagno. Ale musi prowadzić jakaś droga do dworu. Musimy ją odnaleźć.

Dziedziniec dworu zamknięty był z jednej strony kamiennym budynkiem o drewnianym dachu, który już dawno się zawalił. O tym Woller nie pomyślał i nagle pożar wygasł. To znaczy paliła się, ale tylko w tej części, gdzie kiedyś był dom mieszkalny. Wiatr wiał jednak w niewłaściwym kierunku, iskry nie padały na oborę.

- Musimy podpalić jeszcze raz - wołał stary, przekrzykując syk ognia. - Tym razem od ściany stajni.

Wraz z kilkoma ludźmi okrążył budynek, by dostać się do drzwi stajni. Wójt i jego żołdacy stali kawałek dalej, za zabudowaniami, by mieć lepszy widok. Z obory nie dochodził żaden dźwięk. Villemo i Dominik uważali, że nie wolno im krzyczeć - tak długo, jak długo zdołają wytrzymać. Klęczeli oboje bez ruchu, trzymając się za ręce. Dominik szeptał słowa miłości płaczącej cichutko Villemo, ona odpowiadała mu także wyznaniem. Jeszcze nie ulegali panice, jeszcze nie czuli ani dymu, ani ognia.

- W takich chwilach człowiek zaczyna wzywać Boga - powiedziała Villemo, próbując się uśmiechać poprzez szloch.

- Ja wzywam Go od dawna - rzekł Dominik z powagą.

- Ale przynajmniej jesteśmy razem - westchnęła Villemo.

- Tak. A skoro i tak nie moglibyśmy żyć ze sobą...

153

- To lepiej, że tak się stało? Może powiemy o tym Wollerowi?

- On nie ma pojęcia, czym jest miłość na śmierć i życie.

W tej samej chwili wójt i jego ludzie zastygli przerażeni. Ze skraju lasu dobiegł ich gromki głos.

- W imię Jego Wysokości Króla Christiana Piątego, ugaście ten morderczy pożar!

- A co to za dowcipniś nadużywa królewskiego imienia? - odkrzyknął wójt. - Ja jestem wójtem Jego Wysokości i ja tu rozkazuję.

W blasku promieni ukazał się liczny orszak konnych, mężczyzn i kobiet. Widok najbliższych sprawił, że wójt zadrżał i poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

Asesor powiedział władczo:

- Madsie Asmundsson, jesteś pozbawiony godności wójta. A za śmierć tej młodej dziewczyny ty też odpowiesz śmiercią.

Stary Woller usłyszał, o czym mowa, i nie zastanawiając się długo krzyknął do swoich:

- Teraz lepiej mieć ich żywych niż umarłych. Wyprowadzić ich, szybko! I pędźcie z nimi do Woller, jakby diabeł deptał wam po piętach!

Sam dosiadł konia i ruszył jako pierwszy.

Wójt prędko otrząsnął się z szoku. Miał szczerą nadzieję, że Woller słyszał jego rozmowę z asesorem i zniknął z obojgiem więźniów. Oddalający się stukot końskich kopyt utwierdził go w tym przekonaniu.

- Jaka dziewczyna? - zapytał, udając zdziwienie. - Palimy stare zabudowania, żeby przygotować ziemię pod uprawę.

- I potrzebujesz do pomocy aż tylu dragonów?

- Mój panie, obrażacie mnie! Skoro sądzicie, że trzymamy tu więźniów, to najlepiej sprawdzić!

W spalonej części dworu nie było już nic do roboty. Kaleb i Gabriella na czele reszty orszaku okrążali zabudowania, żeby dostać się do stajni.

Asesor przywołał ludzi z Akershus:

- Pilnujcie dragonów, żeby żaden nie uciekł! Najpierw zobaczmy, czy Mads Asmundsson jest tak niewinny, jak mówi. Chodź, Mads! Sam!

154

Nie przypadło to wójtowi do smaku. Najlepiej czuł się w gronie swoich lub starego Wollera pomocników, ale cóż, intruzów było zbyt wielu. Nie pozostawało mu nic innego, jak słuchać.

- Doprawdy nie rozumiem, o co jestem oskarżony, panie asesorze. Miałbym tu więzić jakąś kobietę? - pytał z obrażoną miną. - Uważam, że to niesłychane pomówienie. Nie godzi się tak oskarżać najwierniejszego sługi Jego Wysokości...

- Ach, tak? Skaktavl jest innego zdania.

- Ska...?

Wójt był tak wstrząśnięty, że odebrało mu mowę. Przeklinał w myśli swoich ludzi, którzy nie sprawdzili, czy Skaktavl naprawdę zginął.

Nikt jednak nie zwracał na to uwagi, wszyscy pobiegli ku drzwiom do stajni.

- Skaktavl mówił, że tu jest wejście - powiedział Kaleb, którego nerwy napięte były do ostateczności. - Wygląda na to, że obora jeszcze się nie zapaliła. Prośmy Boga, żeby nie było za późno.

- Tam nic nie ma - krzyczał wójt, którego prowadzili ze sobą. Pochodnie oświetliły otwarte drzwi obory. - Jak wszyscy widzą, pomieszczenie jest puste.

Stanęli w przejściu.

- Na Boga, co znaczą te przegrody? - zastanawiał się Andreas.

- Trzymali tu owce - pospieszył wójt z wyjaśnieniami.

Kaleb obejrzał paliki i stwierdził, że drewno jest zupełnie świeże.

- Całkiem niedawno je tu wbili. Do kogo należy ten dwór?

- Teraz do nikogo. Jak widać, wszędzie pustki.

Gabriella weszła do jednego z pomieszczeń i pochodnią oświetlała klepisko. Nagle podniosła coś z ziemi, po czym wróciła do męża z wykrzywioną bólem, śmiertelnie pobladłą twarzą.



Kaleb jęknął:

- Włosy Villemo! Włosy Villemo!

Chwycił wójta za gardło i potrząsał nim, nie będąc w stanie wykrztusić ani słowa więcej.

Trzeba go było oderwać siłą, bo byłby zabił niegodziwca.

155

Nadzieja opuściła szukających, ogarnęła ich rozpacz. Niklas wpadł do drugiego pomieszczenia, skąd wołał:

- Ktoś tu wisiał na ścianie!

- Nie! - Krzyknął rozdzierająco Brand. - Zamordowaliście syna Mikaela...

Wszyscy wiedzieli, jak trudno jest ugasić gniew Branda, gdy już się rozпали. Wójt, który czuł się osaczony wśród tłumu wrogów, wrzasnął:

- To nie ja, nie ja, to nie moi więźniowie, przysięgam!

- Być może - odparł Andreas chłodno. - Ale Skaktavl był twoim więźniem. Trzymałeś go tu przez cały rok, ty nędzna kreaturo, tylko dlatego, że twoim zdaniem zbyt łatwo uniknął kary za powstanie.

Jeden z mieszkańców Svartskogen od dawna próbował coś powiedzieć.

- Panie asesorze zdaje mi się że słyszałem tętent końskich kopyt, oddalający się stąd zaraz po naszym przybyciu.

- Ja też słyszałem - poparł go inny.

- Tutaj jest droga w dół! - zawołał ktoś trzeci.

- Dokąd prowadzi ta droga? - zapytał asesor wójta.

- Ja... nie wiem.

- Nie udawaj głupiego, bo to się źle dla ciebie skończy!

- Ja... ja myślę, że ona prowadzi do Woller.

- Dziękuję, to właśnie chcieliśmy wiedzieć. Mattias, ja muszę tutaj zostać. Odpowiedzialność za wójta i dragonów spoczywa na mnie i moich ludziach. Ale wy weźcie kilku dragonów z Akershus, zresztą was samych by wystarczyło. Pędźcie co sił do Woller. Przyjadę za wami, jak tylko unieszkodlimy tych tutaj.

Nie musiał dwa razy powtarzać. Większość obecnych natychmiast dosiadła koni i pognęła drogą przez las prosto do Woller.

Okazało się to bliżej, niż sądzili. Opuszczony dwór dlatego tak trudno było znaleźć, że z jednej strony od suchego łądu oddzielały go bagna, a poza tym leżał w głębokiej kotlinie, co prawda w obrębie parafii Moberg, ale bliżej Eng.

156

Majątek Woller pogrążony był w mroku i ciszy. Budynek ustawiony w czworobok ściśle otaczały rozległe dziedzińce. Ku wielkiemu zdziwieniu przybyłych brama stała otworem, więc nie zastanawiając się rozjuszeni wpadli na podwórze.

Komornicy na swoich powolnych szkapach nie nadążali za innymi, część została w tyle.

Nieoczekiwanie za pierwszą, stosunkowo nieliczną grupą, brama się zatrzasnęła...

Na dziedzińcu zapłonęły pochodnie. W ich blasku Ludzie Lodu i mieszkańcy Svartskogen, jedyni, którzy zdążyli przekroczyć bramę, zobaczyli, że, zewsząd mierzą w nich dzidy i widły do siana, które trzymają zdecydowani na wszystko ludzie Wollera.

Brand nie zwracał na to uwagi. Kipiąc gniewem rzucił się do drzwi i zaczął walić w nie z całej siły.

- Wychodź, Woller! Wytlumacz się! Jeżeli zamordowałeś nasze dzieci, to cię osobiście zaprowadzę na szubienicę!

Czekali przez chwilę. Na dziedzińcu atmosfera była napięta do ostateczności, ludzie Wollera przestępowali nerwowo z nogi na nogę, przybysze trwali w bezruchu. Kaleb zabronił im atakować.

W końcu drzwi otwarły się z trzaskiem.

- Kto tu zakłóca nocny spokój uczciwym ludziom? - ryknął stary Woller.

- Nie udawaj głupiego! - krzyczał Brand. - Przecież trzymujesz tu Villemo i Dominika.

Żądamy, byś ich wydał! Żywych! Wiesz, że zaraz tu będzie asesora z dragonami z Akershus, więc jeśli chodzi o ciebie, to gra jest skończona.

- Nie licz na to. Oni mają dość roboty z pilnowaniem ludzi wójta.

- Zachowuj się rozsądnie. Możemy to załatwić spokojnie, bez rozlewu krwi! My nie chcemy walki.

Właściciel Woller rozejrzał się po podwórzu, oświetlonym chybottliwym światłem pochodni.

Szybko ocenił siły i stwierdził, że szanse są wyrównane; po obu stronach było mniej więcej tylu samo chętnych do walki. Jeśli pozwoli na starcie, dojdzie do krwawej łaźni, której rezultat jest niepewny. Jego ludzie wpuścili zbyt wielu gości.

- No to załatwiamy spokojnie - oświadczył krótko.- Dostaniecie ich, jeżeli podpiszecie dokumenty, które właśnie przygotowuję.

- Co w nich jest?

- Że w zamian za to dostanę Grastensholm, Lipową Aleję i Elistrand.

157

Przybysze jęknęli. Nad dziedzińcem zaległa cisza.

Po chwili rozległ się ponury głos komornika ze Svanskogen.

- Taką samą lisią przebiegłością twój ojciec wydarł mojemu ojcu Woller.

Gospodarz nie uznał za stosowne mu odpowiedzieć.

Gabriella, blada jak chusta, co sprawił ból ramienia i lęk o córkę, nie wytrzymała dłużej.

- Najpierw chcemy zobaczyć nasze dzieci! Przekonać się, czy żyją!

- Po co wam oni? Dziewczyna to czarownica. Prędzej czy później skończy na stosie.

Chcieliśmy tylko skrócić jej cierpienia.

- Villemo nie jest czarownicą.

- Nie? To zapytaj, kogo chcesz tutaj. Zapytaj...

- Ja chcę ją zobaczyć! - krzyknęła Gabriella, tłumiąc wściekłość i strach. - Coście z nią zrobili?

Woller dał znak komuś stojącemu za nią i na oświetlone schody została wyprowadzona Villemo. Ręce miała związane z tyłu. Bez przerwy pociągała zakatarzonym nosem.

Wydawała się taka drobniutka i bezradna. Była ostrzyżona niemiłosiernie krótko i przemarznięta.

- Niech ktoś zrobi choćby jeden krok, a ona padnie martwa - warknął Woller.

- Villemo!

Krzyk Gabrielli zabrzmiał jak stłumiony szloch.

- Mamo, najdroższa mamó i ojczu - łkała Villemo i w tym łkaniu zawierały się wszystkie cierpienia, przez jakie przeszła.

- A Dominik? - zapytał Brand. - Gdzie jest wnuk mojego brata?

- Ten młody człowiek sprawiał kłopoty, kiedy przewoziliśmy dziewczynę tutaj. Byliśmy zmuszeni

potraktować go dosyć szorstko, ale sam temu jest winien. Nic takiego mu się nie stało. Z moim synem, Monsem, obeszliście się gorzej.

Kaleb zapytał ostro:

- Po co wam tyle majątków, skoro nie macie dziedzica?

158

To było brutalne, Kaleb zdawał sobie z tego sprawę, ale widok tak okropnie potraktowanej córki sprawiał, że tracił panowanie.

- On ma dziedzica - powiedziała Villemo i teraz wszyscy usłyszeli, jak bardzo jest przeziębiona. - On ma córkę i wnuczka, który teraz jest śmiertelnie chory. Wuju Mattiasie, może wuj by spróbował go uratować? Wuj i Niklas?

- Trzymaj gębę, dziewczyno! - uciął Woller.

- Owszem, chętnie spróbuję - oświadczył Mattias. - Zabrałem ze sobą duży zapas środków leczniczych na wypadek, gdyby młodzi potrzebowali pomocy.

- Nie potrzebuję niczego od czeladników diabła.

- Mattias jest całkiem normalnym doktorem - powiedział Brand. - A Niklas ma uzdrawiające dłonie. On może...

- Nigdy w życiu! - warknął Woller. - Do tego domu żaden z Ludzi Lodu nie wejdzie! Bo Ludzie Lodu to szatański pomiot! Sam będę leczył mojego wnuka.

W zachodnim skrzydle domu, na górze, otworzyło się jakieś okno.

- Ojczy! Proszę cię!

Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę. Stała tam młoda blada kobieta, dygocząca ze strachu, bo odważyła się przeciwstawić ojcu.

On, czerwony na twarzy ze złości, wycelował w nią wskazujący palec.

- Trzymaj się z daleka od tego! I zamknij okno! Natychmiast!

Twarz dziewczyny skrzywiła się w grymasie niezdecydowania, już chciała się cofnąć, lecz powstrzymał ją głos Andreasa:

- To jej dziecko. Ona ma prawo decydować. Jeśli ona chce, żeby Mattias obejrzał dziecko, to trzeba jej usłuchać!

- Usłuchać? Baby?

Brand pochylił głowę i groźnie popatrzył na Wollera.

- Ty nie Szatana się boisz, bo od dawna jesteś w jego mocy, ty, który sam od Złego pochodzisz. Chodzi o to, że nienawidzisz Ludzi Lodu, i jest sprawą twojej ambicji, by nas pokonać. Dla tej właśnie chorej ambicji chcesz poświęcić życie dziecka i spokój matki. Twój wnuk ma szansę ratunku, a ty nie chcesz jej przyjąć! To jakim ty właściwie jesteś ojcem i dziadkiem?

159

- I tak nie potraficie uratować dziecka, więc po co to całe gadanie? - syknął Woller z nienawiścią.

- Tego nie możesz wiedzieć. Jeżeli boisz się ponadludzkich zdolności Niklasa, to przynajmniej zgódź się na pomoc Mattiasa! On jest najzupełniej normalny.

- Niczego się nie boję...

Stary zorientował się, że zaczyna przeczyć sam sobie, więc odwrócił się zirytowany.

- Dobrze, chodźcie! Wy dwaj, doktor i magik. Daję wam godzinę. Nie uzdrowicie chłopca w tym czasie, to majątki są moje. A jak je dostanę, to możecie sobie zabrać i czarownicę, i jej rycerza.

Nikt nic na to nie odpowiedział. Villemo wprowadzono znowu do domu, Dominika w ogóle nie zobaczyli. Mattias i Niklas poszli do chorego dziecka, reszta czekała dziedzińcu. Usiedli na schodach i gdzie kto mógł.

Noc była pogodna, ale nie zwracali na to uwagi. Lęk ściskający ich serca stawał się coraz trudniejszy do zniesienia.

- Godzinę? - szeptała Gabriella do Kaleba. - Co oni mogą zrobić przez godzinę? On celowo stawia takie warunki.

- No właśnie. Ale ja go nie rozumiem. Asesor ze swoim orszakiem nadjedzie lada moment, a wtedy co on będzie miał na swoją obronę? Prawdopodobnie liczy na to, że wymusi podpisanie dokumentu, zanim asesor przybędzie z odsieczą.

- Słyszałeś, co on powiedział do Mattiasa, zanim zamknęli drzwi?

- Nie.

- Że w dokumentach napisał, iż majątki zostają sprzedane za dwie cielece skóry. „I zgadnij, czyje skóry mam na myśli”, syknął. Co to za okropny człowiek!

Kaleb pobladł jeszcze bardziej.

- Ale ona żyje - dodała Gabriella. - A to najważniejsze.

- Tak. Dzięki ci, Boże! Wierzę, że zdołamy ją stąd wydostać.

- Oczywiście! Ale nie mów tego głośno, żeby Woller nie usłyszał!

Mattias z Niklasem weszli do izby, gdzie czekała już córka Wollera z dzieckiem. Z bliska wydawała się jeszcze bardziej bezbarwna, lecz jej miłości do synka nie można było nie

dostrzegać. Splatała nerwowo dłonie i wpatrywała się w przybyłych wielkimi, pełnymi nadziei oczyma.

- Odsuń się, dziewczyno - rozkazał jej ojciec.

- Teraz zobaczymy, do czego się nadaje wasza sztuka!

Mattias przyniósł ze sobą skrzyneczkę z lekami, postawił ją teraz na stole i pochylił się nad dzieckiem.

Malec spał, a może był nieprzytomny, trudno określić. Oddychał szybko, lecz cichutko niczym pisklę.

- Od dawna jest taki? - zapytał Mattias.

- Od zawsze - rzucił stary cierpko. - Zawsze to było chuchro, ale od kiedy ci ze Svartskogen zabili mu ojca, w nim cała moja przyszłość.

- A córka nic nie znaczy? - zdziwił się Mattias.

Stary tylko prychnął.

- A poza tym skąd wiecie, że to ludzie ze Svartskogen zabili waszego zięcia?

- Skąd wiem? To przecież jasne! Mój zięć był sam, kiedy to się stało. Oni tylko na takie okazje czyhają!

- Każdy sądzi według siebie - powiedział Mattias.

- Czy mogę rozebrać dziecko? - zwrócił się do matki.

Ta rzuciła się do łóżka i drżącymi rękami zaczęła zdejmować z małego ubranie. Dziecko obudziło się i popiskiwało słabiutkim, pełnym udręki głosem.

Mattias westchnął.

- Godzina to naprawdę bardzo mało. W najlepszym razie zdążymy tylko postawić diagnozę.

Może będziemy mogli powiedzieć, jak należy z nim postępować. Ale uzdrowić go przez ten czas...

- Taki jest warunek.

- W takim razie myślę, że tylko Niklas mógłby tchnąć w niego życie.

- Żadnych nieczystych sztuczek!

161

Zobaczyli drobne, wynędzniałe dziecięce ciało. Mattias położył chłopca na okrytym kołderką stole. Ostukiwał malca dokładnie, systematycznie. Od czasu do czasu z małej buzi wydobywał się słaby pisk. Dziecko wyglądało na nie więcej niż pół roku.

- Co on dostaje do jedzenia?

- Najlepsze, co mamy - warknął dziadek. - My tu nie skąpimy na jedzeniu.

Mattias spojrział pytająco na matkę.

- Dostaje mleko... i chleb, i wszystko, co my jadamy. Ale on wszystko zwraca. Przeważnie, oczywiście, zupę mleczną.

- I zawsze tak było?

- Nie. Z początku szło nawet dobrze. Ale teraz jest tylko gorzej i gorzej. - Młoda kobieta zaczęła płakać, a ojciec pokrzykiwał na nią, żeby przestała.

- A krew się pokazuje?

- W pieluchach? Tak.

Mattias zmartwił się. Niełatwo postawić tu diagnozę.

- Powiedz mi, jest może jedzenie, coś, co szczególnie źle znosi?

- Nie. Ze wszystkim tak samo.

- A krowie mleko? Wiele dzieci źle znosi mleko od krowy.

Zastanawiała się przez chwilę spłoszona, wzrok miała rozbiegany.

- Nie, zawsze tak samo, cokolwiek zje.

- A śluz w pieluchach bywa?

- O, tak!

- To by się zgadzało! Wygląda to na katar kiszek, który trudno leczyć.

- Patrzcie, patrzcie! Tyle to ja sam bym powiedział! - szydził stary.

- To trzeba było powiedzieć! - odciął się Niklas, który do tej pory stał w milczeniu pod ścianą. - Nie musielibyśmy niepotrzebnie tracić czasu.

- Milcz, bezwstydnny szczeniaku!

162

Było oczywiste, że Wollerowi żaden katar nigdy nawet przez myśl nie przeszedł.

Mattias starał się ich uspokoić.

- Teraz przepiszę dietę, tylko to należy mu dawać do jedzenia i zioła do picia.

- Co? Jakieś znachorskie sposoby? - skrzywił się stary.

- Nic podobnego! Ale to - tu wyjął ze skrzynki jakieś pudełeczko - to jest proszek, który odziedziczyliśmy po naszych znających się na magii przodkach. Zostawiam to waszej córce, bo ona najlepiej potrafi ocenić stan dziecka. Mały powinien dostawać co rano szczyptę tego proszku.

- Wyrzuć to! - zawołał Woller, wyciągając rękę do córki.

Zdążyła jednak odskoczyć i mocno zacisnęła dłoń na drogocennym skarbie.

- Nie robiłbym tego na waszym miejscu - powiedział Mattias do Wollera niezwykle łagodnie. - Duński król Christian Czwarty bardzo chciał zdobyć przepis na ten proszek po tym, jak mój kuzyn, Tarjei Lind z Ludzi Lodu, wyleczył jego brzuszne dolegliwości. Ale go nie dostał. Mój pradziadek Tengel leczył pewnego pastora tym właśnie proszkiem i duchowny nie protestował, chociaż wiedział, że to czary.

Stary mruknął coś pod nosem, ale dał za wygraną.

- Teraz przygotuję wywar, który dziecko powinno natychmiast wypić. Używam do tego wyłącznie uznanych ziół, tak że nie musicie się niczego obawiać. Mogę dostać gorącej wody?

Córka Wollera podeszła do drzwi, żeby wydać polecenia, i natychmiast wróciła do synka.

- Przez jakiś czas nie należy mu dawać krowiego mleka - powiedział Mattias. - Zupę dla niego proszę gotować tylko na czystej wodzie, tak jak napisałem w recepcie. Ale, mój dobry Woller - zwrócił się do starego - jak wy sobie wyobrażacie wyleczenie takiego kataru w ciągu jednej godziny? Zresztą już wiele z niej nie zostało.

- Taka jest moja wola.

Mattias westchnął. Poszukał w skrzynce lekarstwa przeciw gorączce i mieszał je w miseczce:

- W takim razie nie widzę innej rady, jak poprosić Niklasa o pomoc - powiedział.

- Szarlataneria - mruknął właściciel majątku. - Ale proszę bardzo! Chcecie wezwać diabła do łóżka dziecka, to niech będzie!



- Sztuka uzdrawiania to dar, mój panie - powiedział Mattias łagodnie. - I nie naszą rzeczą jest rozstrzygać, czy pochodzi on z nieba, czy skądinąd. Ja wiem jedynie, że mój pradziad Tengel przyczynił ludziom wiele szczęścia i pociechy swoimi rękami, a Niklas dotychczas nie chciał, żeby ktokolwiek wiedział, co potrafi. Mógłby być bogaczem, bóstwem, do którego ludzie pielgrzymują, ale on nie chce. Jest bardzo skromnym młodym człowiekiem, który nie rozgłasza, że sam Pan w niebiosach wybrał go, by mu służył. Ani że wybrał go księżę ciemności.

- Ale teraz to robisz - syknął Woller, patrząc ze złością na Niklasa. - Dlaczego?

- Bo chcę uratować moich krewnych. Zawsze byliśmy sobie bliscy, my troje, i wszyscy przynieśliśmy na świat szczególne zdolności.

- O, dziękuję, widziałem, jakie zdolności ma Villemo. I nie chcę mieć z niczym takim do czynienia. Aha, to ten drugi też nie jest normalny? A co on umie?

- Czytać w waszych myślach - oświadczył Niklas nie bez triumfu w głosie.

Stary spojrzał na niego przestraszony.

- Ach, to był on...

- Co on?

Woller gadał teraz sam do siebie.

- To on wiedział, że mamy podpalić.

- Tak, Dominik mógł coś takiego wiedzieć.

Starego przeniknął dreszcz.

Niklas mówił dalej już nieco łagodniejszym tonem:

- A ja zrobię, co będę mógł, ponieważ to małe dziecko zasługuje na ratunek. I ze względu na jego matkę, która w tym domu nie zaznała chyba wiele radości.

W oczach Wollera pojawiło się zdziwienie, jakby chciał zapytać: „a nie ze względu na mnie?”

Wkrótce jednak twarz jego przybrała znowu swój normalny wyraz.

- To bierz się do roboty, zamiast stać tu i wygłaszać kazania!

Niklas popatrzył na swoje ręce i uważnie obserwowany przez matkę dziecka, która nie mogła opanować drżenia, położył je na chudziutkim ciałku. Przesuwał dłonie po sinobladej skórze malca, gładził przez chwilę jego zapadłe policzki i z uśmiechem spoglądał w 164

przestraszone oczy. Nawet stary Woller musiał przyznać, że nie było w tym nic, co by przywodziło na myśl wiedźmy i demony.

W pokoju panowała cisza. Gospodarz także siedział bez ruchu. Jedyne, co zakłócało spokój, to chrobot łyżki w naczyniu, w którym Mattias mieszał swoją miksturę, i kroki dziewczyny, która przyniosła gorącą wodę.

Wkrótce lekarstwo było gotowe.

- Najlepiej, żebyś dała to dziecku sama - zwrócił się Mattias do matki.

Usłuchała natychmiast. Mały połykał obojętnie, ledwie otwierając drobne usta. Niklas przez cały czas nie odrywał od niego rąk.

Gdy chłopiec zjadł wszystko, matka wyprostowała się i powiedziała:

- Zaraz pewnie wszystko zwróci, trzeba tylko poczekać.

- Długo to zwykle trwa? - spytał Mattias.

- Nie, już powinno się zaczynać.

Czekali, ale nic się nie stało.

- A reszta, to trochę, co zostaje, przelatuje przez niego w pieluchy - dodała matka z westchnieniem.

Znowu chwilę czekali.

- Czy on siada?

- Tak, ale trzeba go podpierać. Jest za słaby.

- To podnieś go! Tak będzie mu lepiej po jedzeniu.

- Ale on zaraz wszystko zwymiotuje.

- Musimy spróbować.

Matka ujęła maleńką istotkę pod paszki. Odnosiła się do synka z największą czułością i miłością.

Chłopcykowi odbiło się lekko.

- No tak... - przestraszyła się matka. - Tak się zawsze...

165

- Może lepiej, żebym ja się znowu nim zajął - powiedział Niklas i wziął chłopca w ramiona. -

Jeszcze nie skończyłem. Jak mu na imię?

- Erling - szepnęła matka nieśmiało.

- Cześć, Erling - Niklas uśmiechał się czule do malca. Trzymał go mocno pod pachy, bo plecki dziecko miało wiotkie. Matka pojaśniała ze szczęścia i dumy, że ktoś tak się zajmuje jej dzieckiem.

Ręce Niklasa były ciepłe i delikatne, mocno trzymały małe ciało. I nagle, kiwając niepewnie główką, mały spojrzął w stronę matki. Dostrzegł znajomą twarz pośród tylu obcych i uśmiechnął się słabiutko, jakby brakowało mu wprawy.

- On się śmieje! - zawołała matka. - Erling się śmieje, ojczy! Nie robił tego od nie wiem jak dawna.

- Po prostu nic go już nie boli - rzekł Mattias spokojnie. - Lekarstwo i ręce Niklasa zrobiły swoje.

Woller wstał.

- Możecie sobie zabrać waszych krewnych - powiedział sucho i wyszedł z izby.

Niklas oddał dziecko matce i także ruszył ku wyjściu, Mattias zaś pouczał ją jeszcze, jak ma postępować z chłopcem. W sieni na dole stary Woller z rozmachem otworzył drzwi wejściowe i wrzasnął do Branda:

- Możecie iść! Nie będziemy więcej walczyć.

Sam wrócił do swoich pokoi. Nie wiadomo, co miał zamiar robić.

Na dziedzińcu zapanował chaos. Przybył asesor ze swymi ludźmi. Strażnicy Wollera, którzy nie bardzo wiedzieli, jak się zachować, wpuścili ich za bramę, Niklas wyjaśnił, co się stało, i na wieść o tym Ludzie Lodu rzucili się uwolnić oboje więźniów. Asesor oświadczył, że tak łatwo Woller nie uniknie odpowiedzialności za wszystkie swoje sprawy, i wszedł do domu, a Gabriella głośno wzywała Villemo, która w końcu wyszła z jakiejś izby, wciąż z rękami skrępowanymi na plecach, prowadzona przez dwóch strażników.

- Gdzie jest Dominik? - dopytywała się żałośnie.

- Tu - odparł jeden z nadzorców i otworzył jakieś drzwi.

Dominik siedział skulony pod ścianą, związany, z pokrwawioną twarzą.

Villemo padła przy nim na kolana i szeptała:

166

- Och, Dominiku!

Nic jednak nie mogła zrobić, mając sama spętane ręce.

Dominik spojrział na nią i, choć cierpiał, twarz mu pojaśniała.

- Villemo! - szepnął pełnym miłości głosem.

Kaleb i Gabriella, Brand i Niklas i wszyscy, którzy przyszli, by ich uwolnić, zdrętwieli na dźwięk tych słów i spoglądali po sobie bezradnie. Na twarzach wszystkich malowało się przerażenie.

Po chwili Gabriella pochyliła się z rozpaczą nad Villemo. Zaczęła rozwiązywać sznur na rękach córki i podniosła ją, zanim ta zdążyła zbliżyć się do Dominika.

- Chodź, Villemo - szeptała.

Inni zajęli się tymczasem Dominikiem, uwolnili go z więzów i pomagali mu wstać.

- Mamo, wytrzymaj mi nos - szepnęła Villemo. - Nie mogę ruszyć rękami.

Wtedy Gabriella wybuchnęła płaczem:

- Ach, dziecko, dziecko najdroższe!

- Taka jestem głodna, mamo - skarżyła się Villemo. - I taka brudna. I przemarznięta. I zaziębiona. Chcę do domu!

167

## **ROZDZIAŁ XIV**

Tak zimno w tej oborze. Marzną okropnie.

Wiatr wieje mi w twarz. Czy już nie jestem w oborze?

Siedzę na koniu! Ktoś trzyma mnie mocno. Dominik. Czuję się bezpieczna. Ktoś mnie otulił

peleryną. Zdaje mi się, że to samodiał, ale nie jestem pewna. Końskie kroki... Słyszę wiele końskich kroków. Za nami. Ścigają nas, Dominiku. Musimy się spieszyć. Jedź szybciej!

Strach, wciąż strach. Czy moje życie było kiedyś wolne od strachu?

Tak trudno oddychać. Ciężko. Coś rozrywa mi piersi. Czuję ból w boku. Jakieś klucie.

- Ten kaszel mi się nie podoba, Villemo.

Głos ojca. To ojciec trzyma mnie tak mocno.

- Dominiku?

- Dominik jest z nami. On i Niklas jadą na jednym koniu.

- Jest tak zimno, a on jest prawie nagi i okaleczony.

- Daliśmy mu pelerynę.

Gdybym mogła odwrócić trochę głowę... Tak, jadą za nami. Wielu, wielu jeźdźców. Cały orszak podąża za nami w tym zimnym, mglistym rozświcie, wszyscy milczący, poważni.

Teraz sobie przypominam, chociaż słabo, ale sobie przypominam. Zostaliśmy podpaleni w oborze. Pamiętam, jaki to był szok dla moich przeziębionych płuc, kiedy wyprowadzono mnie z obory na dwór, na mroźne nocne powietrze...

Zdaje mi się, że tego nie zniosłam.

- Robisz się coraz cięższa w moich ramionach, Villemo. Czy ty nie zasypiasz?

- Nie, tato. Tylko czuję taki ból w piersiach.

Gniew w oczach ogromnego mężczyzny.

- Oni bili Dominika, ojciec.

- Teraz czuje się już lepiej. Ale Mattias mówi, że dostał zakażenia krwi w tych ranach na rękach. Musimy się bardzo spieszyć do domu.

168

- Ja jestem jak ptak, który sprowadza nieszczęście. Tyle cierpień z mojego powodu.

- Jesteś wspaniałą małą dziewczynką, Villemo. Skaktavl też to mówi.

- Skaktavl?

- Ciężko ranny leży w Grastensholm. To on opowiedział nam o was.

- Skaktavl uratowany? Bogu niech będą dzięki!

Taka jestem słaba. Wszystko wiruje wokół mnie. Nie mam siły rozmawiać. Ojciec obejmuje mnie mocno. Jedźcie szybciej.

- Orszak robi się coraz mniejszy?

- Ludzie wracają do swoich domów, odłączają się jeden po drugim, na każdym rozstaju ktoś ubywa. Teraz możemy im tylko dziękować, ale później odpłacimy im za tę pomoc jak należy.

- Tak. To już jesteśmy w naszej parafii?

- Już.

- Jak dobrze wrócić do domu!

Ojciec nic na to nie mówi. Wygląda na przestraszonego.

Boże, jaka jestem zmęczona!

- Marzyłam o kąpeli. W ciepłej, rozkosznej wodzie. Ale teraz nie wiem, czy dam radę.

- Zobaczymy w domu.

Jakaś aleja. Wszyscy się zatrzymali.

Głos Dominika:

- Zobaczymy się jutro, Villemo.

Ja go nie widzę. Jest tak ciemno. Niebo szarzeje nad horyzontem, lecz poza tym ciemno.

- Tak. Dziękuję ci za wszystko, Dominiku!

- I ja ci dziękuję!

Wuj Mattias:

- Kalebie, najpierw opatrzę Dominika, a zaraz potem przyjadę do Elistrand.

169

- Dobrze.

Odjechali lipową aleją. Drzewa są teraz nagie, ale ja uważam, że jest tu pięknie, nawet kiedy nie ma liści. Gałęzie jak czarne ręce wyciągają się ku niebu.

Teraz zostało nas już tylko kilkoro. To mama, na swoim koniu.

- Hej, mammo!

- Hej, kochanie! Zaraz dostaniesz jeść, ogrzejesz się porządnie i odpoczniesz.

- Czy łóżko jest czyste? Z białą pościelą?

W niebie nie może być lepiej niż w takim marzeniu o świeżej pościeli.

- Villemo, Villemo, czy ty zasypiasz?

Ojciec pyta, ale ja nie mogę mówić.

- Musimy się spieszyć, Gabriello.

Lęk w głosie ojca. Nie jestem w stanie odpowiedzieć.

Jak ja się tu znalazłam?

To kuchnia w Elistrand. Ciepło, ogień trzaska w piecu. Jestem opatulona w ciepłe skóry.

- Powinnam się chyba najpierw wykąpać...

- Już się kąpałaś, nie pamiętasz?

To mama mówi. Ma takie błyszczące oczy.

- Tak, mam mokre włosy.

- Umyliśmy je. Dokładnie.

- Mamo, bądź tak dobra i obetnij mi równo te postrzępione kosmyki. Najlepiej jak potrafisz.

- No wiesz co? Masz siłę myśleć o urodzie o szóstej rano po takiej nocy?

- Ale Dominik dzisiaj przyjdzie.

- Nie przyjdzie. Mattias kazał mu leżeć w łóżku, a Niklas pilnuje, żeby się nie ruszał. U ciebie też Mattias był i cię badał. Masz zapalenie płuc, Mattias nie mógł zrozumieć, jakim sposobem trzymałaś się na nogach, bo musisz być chora już od dawna. On uważa, że masz niezwykle silną wolę.

170

O, jak wszystko wiruje! Ja... nie widzę dobrze...

- Kaleb! Zdaje mi się, że ona znowu mdleje! Musimy ją położyć do łóżka.

- Tak, myślę, że zjadła już wystarczająco dużo tej zupy mlecznej, prawda?

- Udało mi się wlać w nią kilka łyżek. Choć myślę, że tego nie zauważyła.

Ktoś mnie niesie. Wszystko mi się zamazuje. Dominiku, dlaczego cię tu nie ma? Chcę być z tobą.

Twarze.

Ludzie, którzy wchodzą i wychodzą. Zawsze ktoś siedzi przy moim łóżku. Zmieniają się, ale zawsze ktoś jest.

Przełknięte, piękne oczy mamy. Nie bój się, mamo. Jest mi dobrze, chociaż nie mogę mówić.

Bezpieczna dłoń ojca.

Wuj Mattias od czasu do czasu. Niklas o ciepłych rękach.

Jakie one ciepłe. Nigdy przedtem ich nie dotykałam. Promieniuje z nich siła.

Raz zdawało mi się, że to Dominik, ale nie jestem pewna, to mógł być sen. Widziałam go jednak. Stał bez ruchu i patrzył na mnie, i tyle miał smutku w oczach. Chciałam go dotknąć, ale nie mogłam.

Zmieniają mi pościel. Często. Służące są dla mnie takie miłe. Wszyscy są mili. Jak ja im to powiem?

Czy to nie pastor przychodził tu do mnie? Czytał coś i czytał.

Światło. Radość. Dobre jedzenie. Wszyscy do mnie przychodzą. W pokoju jest pięknie.

Ładne kilimy na ścianach.

To znowu zwyczajny pokój.

Twarze pojawiają się i znikają. Kiedyś widziałam je tu wszystkie razem. Cała rodzina przyszła. Głaskali mnie po policzkach.

A potem poszli sobie. Ale nigdy nie jestem sama.

Strach. O, pomóżcie mi!

- Villemo, Villemo, spokojnie, to tylko zły sen.

171

Walka, żeby wrócić do rzeczywistości.

- Och, ojcie, zdawało mi się, że jestem w oborze. To było takie upokarzające! Takie upokarzające, ojcie, nigdy wam nie opowiadałam, przez co musiałam przejść. A oni jeszcze uwięzili Dominika. I Skaktavla. Paliło się, ojcie, ogień huczał, a ja krzyczałam...

- Słyszeliśmy to. Ale mimo tych koszmarów czujesz się teraz lepiej, prawda?

I znowu strach. Zapomnij o tym, zapomnij o tym!

- O, tak. Oddycham dużo lżej. I nie boli mnie w boku. Ale jestem bardzo zmęczona.

- To zrozumiałe. Mattias jednak mówi, że zdrowiejesz. Dominik też już wstał, a i Skaktavl się chyba wygrzebie.

- Czy będę mogła ich odwiedzić?

- Skaktavla nie. Leży jeszcze w łóżku.

- A Dominika?

- On już tu był wiele razy. Dziś pewnie też przyjdzie.



Jak rozkosznie to słyszeć. Czuję, że uśmiecham się całą twarzą.

Mroczne myśli przepływają przez moją głowę.

- A stary Woller? A wójt?

- Wójt został uwięziony, osądzony i stracony.

Przenika mnie dreszcz, głęboki, mocny.

- Czy muszę zawsze zostawiać za sobą śmierć?

- Przecież to nie twoja wina! Został tak surowo ukarany przede wszystkim za traktowanie Skaktavla. I za mnóstwo innych przestępstw. Mamy już nowego wójta, rzeczowego i sprawiedliwego, na pewno go polubisz. Co do Wollera, to są argumenty za i przeciw. Chodzi o krwawą zemstę między rodzinami z Woller i ze Svanskogen, a po części także pomiędzy ludźmi ze Svartskogen i nami oraz Wollerami i nami.

- Nigdy nie było krwawej zemsty między nami i Svartskogenami!

- Nie, ale wiesz przecież, jak oni nas nienawidzili. Teraz to już chyba minęło. Okazało się zresztą, że krwawa zemsta pomiędzy rodami z Woller i ze Svartskogen zebrała bardziej krwawe żniwo, niż ktokolwiek przypuszczał. Przez te lata Svartskogenowie zabili ośmiu ludzi 172

z Woller, Wollerowie zaś dziesięciu ze Svartskogen. Stało się to co prawda w ciągu blisko pięćdziesięciu lat, ale mimo wszystko!

- Boże kochany, przecież to szaleństwo!

- Oczywiście. A ukoronowaniem wszystkiego była śmierć Monsa Wollera z rąk Eldara Svanskogen i twoich. To był jedyny syn starego. Tym samym krwawa zemsta objęła i nas.

Wstyd. Ręce na twarzy.

- Tak mi przykro z tego powodu, ojcze. Tak strasznie mi przykro.

- Zrobiłaś to, co musiałaś. Nikt cię nie oskarża. Nie powinnaś się tym obciążać! Teraz odpoczywaj, przyjdę później.

- Ojcze, czy wszyscy z Woller i ze Svartskogen zostaną teraz osądzeni? Za swoje przestępstwa?

- Właśnie to asesor stara się rozstrzygnąć. On uważa, że wszystko jest bardzo skomplikowane. Stary Woller to potwór, ale nie można oskarżać tylko jego. A znowu ludzie ze Svanskogen tyle wycierpieli...

- Rozumiem.

- Ale teraz musisz spać. Potrzebujesz bardzo dużo snu, żeby nabrać sił.

- Dobrze. Tato, poproś mamę, żeby przyszła do mnie z lusterkiem! I z grzebieniem.

- Oho! Teraz wierzę, że naprawdę zaczynasz wracać do zdrowia!

Pewnego dnia przyszedł Niklas. Przyjaciel z dzieciństwa, który odwrócił się od niej w złości i rozgoryczeniu. To on powiedział, że Villemo jest samolubna i że przesadza.

Bardzo ją to wtedy zabolalo. Od tamtej pory nie mogła mu patrzeć w oczy. A potem w ogóle przestał zwracać uwagę na otaczający go świat.

Usiadł na brzegu łóżka i ujął jej rękę. Uśmiechał się jakby zawstydzony, z poczuciem winy.

- Wybacz mi, Villemo. W ostatnich czasach nie byłem sobą.

- Chyba nie ma co wybaczać - bąkała skrępowana.

- Owszem, jest. Po twoich oczach widziałem, jak bardzo cię wtedy uraziłem. Twoja twarz zawsze była jak otwarta księga. Villemo, bardzo cierpiałem z tego powodu, że cisnąłem ci kiedyś w twarz takie słowa. Byłem zły, że tak się obnosisz z tą swoją nieszczęśliwą miłością, 173

a nie zwracasz uwagi na uczucia innych. Ale przecież ja od dłuższego czasu robiłem to samo. Człowiek zamyka się w sobie, staje się nieczuły.

- O tak! - zawołała Villemo z przekonaniem. Ona umiała wybaczać i teraz jej twarz jaśniała szczęściem.

- Ale powiem ci, że wtedy ja byłam po prostu głupia. Jak mogłam tyle czasu chodzić w żałobie po takim...

Zdecydowała się nie kończyć zdania. Słowo, które miała na końcu języka, nie wydawało jej się odpowiednie. Niklas należał do najbardziej wrażliwych członków rodziny, jeśli chodzi o zachowanie i język. Ona sama potrafiła rzucić w gniewie mocniejszym słowem, ale doskonale zdawała sobie sprawę z tego, co wypada, a co nie.

Niklas uśmiechnął się smutno.

- A teraz jest Dominik?

- Na nic się chyba zda zaprzeczać - westchnęła.

- A zatem jedziemy na tym samym wozie, i ty, i ja.

- Niestety, my wszyscy. Irmelin i Dominik także.

- Wiesz, ostatnio dużo się zastanawiałem nad tą starą legendą.

- Tak?

- O kociołku.

- Który trzeba wykopać? Żeby przekleństwo straciło moc?

- Właśnie.

- Bardzo by nam to było potrzebne - zgodziła się zadumana. - Ale przecież my nic nie wiemy. Zupełnie nic!

- Powiadają, że Kolgrim wiedział. I Tarjei, dziadek Dominika. Ale obaj nie żyją.

Villemo pomyślała o dziwnym przeżyciu, jakie miały z Irmelin na strychu. Kiedyś mu o tym opowie, ale jeszcze nie teraz.

- Uważam, że to okropne.

- Tak, ale co oni mogli wiedzieć? Ta myśl nie daje mi spokoju.

174

- Niklas - rzekła Villemo półgłosem. - Może właśnie do tego zostaliśmy przeznaczeni ty i ja, i Dominik? Żeby odnaleźć kociołek?

Patrzył chwilę przed siebie rozmarzonym wzrokiem.

- Dominik mówi, że nie. Zastanawialiśmy się już nad tym. Wiesz, on przeczuwa więcej niż my. Ja potrafię tylko uzdrawiać ludzi. W tobie jest jakaś wielka siła, która jeszcze nie ujawniła się w pełni, ale Dominik powiada, że jest straszna. Widział kiedyś jej zapowiedź.

Dominik natomiast jest jasnowidzem, może widzieć poprzez mury. Także poprzez mur przyszłości. On mówi, że kociołek nie ma z tym nic wspólnego. Natomiast przekleństwo Ludzi Lodu tak. On przeczuwa, że jesteśmy z nim związani.

- Ale co się konkretnie ma stać, tego nie wie?

- Nie, wie tylko, że się boi.

- Ja także.

- I ja. Naprawdę przepelnia mnie strach.

Chwyciła go za rękę.

- Wiesz, na co liczę i czego pragnę najbardziej?

- Nie.

- Żebyśmy mogli być razem. Wszyscy troje.

- Mam nadzieję, że tak będzie. Wybaczyłaś mi?

- Jakbym mogła ci nie wybaczyć? Zwłaszcza że wszyscy jesteśmy dotknięci tym samym cierpieniem. Dziękuję ci, że przyszedłeś.

Wstał, gotów do wyjścia, a ona patrzyła na jego postawną sylwetkę, blond włosy, lekko skośne oczy i wystające kości policzkowe.

- Jesteś wspaniały, Niklasie - powiedziała. - W niczym nie przypominasz tych solidnych, przyciężkich, trochę ponurych mężczyzn z twojej rodziny. Jak wuj Brand czy twój ojciec Andreas albo stary Are.

- Mówią, że Tarjei był taki jak ja - uśmiechnął się.

- Bóg sprawił, że mam także jego duchową siłę.

- Ale on umarł. Nie potrafił przeciwstawić się przekleństwu.

175

- Tak, on umarł - potwierdził Niklas z powagą.

Znowu spadł na nich ten okropny strach. Villemo odszukała jego dłoń, on uściskał ją mocno i trwali tak przez chwilę. Czuli się tak rozpaczliwie mali wobec tego czegoś niepojętego, nieznanego, co kiedyś miało ich spotkać.

Ale kiedy? I w jakiej postaci?

Następnego dnia Villemo mogła już siedzieć. I wtedy przyszedł Dominik. Nie pozwolono im jednak zostać samym. Ojciec i matka byli z nimi jako stróże moralności. Może zresztą nie moralności. Niepokoiło ich raczej, jak potoczy się rozmowa pomiędzy obojgiem młodych.

Dominik usiadł na brzegu łóżka i ujął nieprawdopodobnie teraz chude dłonie dziewczyny.

Ona przyglądała mu się w milczeniu, wzruszona.

- Villemo, ja...

Był tak przejęty, że wciąż musiał przełykać ślinę.

- Jakiś ty piękny - szepnęła. - Jesteś taki przystojny, że aż mi dech zapiera. I jakie śliczne ubranie!

- Ubrałem się ładnie ze specjalnego powodu.

Choć domyślała się, dlaczego, musiała zapytać.

- Naprawdę?

- Tak. Ale najpierw muszę ci powiedzieć, że jutro wyjeżdżam. Wracam do Szwecji.

Dzień zgasł dla Villemo.

- Nie możesz tego zrobić!

- Chodzi raczej o to, że nie mogę tu dłużej pozostać. Już i tak trwało to zbyt długo. Chciałem tylko przed wyjazdem porozmawiać z tobą.

Rozpaczliwie próbowali odnaleźć ten nastrój, który wytworzył się w więzieniu, a teraz zniknął

albo się gdzieś ukrył. Tam, twarzą w twarz ze śmiercią, byli wobec siebie tacy szczerzy.

Zwierzyli sobie tyle sekretów!

Teraz było inaczej. Wiedzieli, że nadal łączy ich serdeczna, głęboka więź, ale zewnętrzne okoliczności nie pozwalały jej się ujawnić. Nie byli w pokoju sami. Tyle tu światła, nic z atmosfery marzeń. Villemo była strasznie wynędzniała, a Dominik zdawał się obcy w swoim eleganckim ubraniu kurierskim.

176

- Nie mógłbyś zostać przynajmniej do Bożego Narodzenia? - szepnęła w desperackiej próbie zatrzymania go.

Patrzył na nią zakłopotany.

- Droga, kochana Villemo - odezwała się Gabriella z głębi pokoju. - Czy naprawdę nie zauważyłaś, że obchodziliśmy Boże Narodzenie już dawno temu? Ze względu na ciebie odbyło się to nawet w tym pokoju. Mamy już rok tysiąc sześćset siedemdziesiąty piąty.

Villemo spoglądała na wszystkich po kolei, przestraszona, niczego nie rozumiejąca.

- Czy byłam aż taka... chora?

Kaleb poważnie skinął głową.

- Znajdowałaś się na progu śmierci, Villemo. Uratowali cię Mattias i Niklas. I nasze modlitwy.

- Przychodził tu pastor, pamiętam...

- Zabieram ze sobą do Szwecji Skaktavla - powiedział Dominik. - Po próbie powstania nie ma dla niego miejsca w Norwegii. Jest już na tyle silny, by siedzieć w powozie, może mi zatem towarzyszyć.

Villemo starała się jakoś uporać z tymi wiadomościami. Nie było to łatwe. W końcu jednak

opanowała się.

- Mówiłeś, że ubrałeś się elegancko ze specjalnego powodu?

Dominik wstał.

- Tak, Villemo. Przybywam do Elistrand, by prosić o twoją rękę. Pamiętasz, że pytałem, czy będzie mi wolno.

Zwrócił się do rodziców Villemo.

- Ciociu Gabriello i wuju Kalebie... Mam zaszczyt prosić o rękę waszej córki.

Z piersi Gabrielli wyrwał się jęk, a Kaleb zamknął oczy.

- Miałem nadzieję, że tego nie zrobisz - rzekł głucho. - Bo to dla nas okropny ból, że musimy powiedzieć ci: nie.

Dominik tylko zacisnął zęby. Spodziewał się przecież takiej odpowiedzi, lecz mimo wszystko zapiekło.

Villemo nie chciała przyjąć żadnych argumentów.

177

- Ja nie rozumiem, co...

- Najdroższa Villemo - westchnęła Gabriella. - Czy ty zawsze musisz wybierać nieodpowiedniego mężczyznę?

- Nie widzę, żeby Dominikowi czegoś brakowało.

- Nie. I nikogo bardziej nie pragnęlibyśmy mieć za zięcia, wiesz o tym, Dominiku - tłumaczył

Kaleb zbolalym głosem. - Ale pochodzicie z rodu Ludzi Lodu, oboje, i ściągnęlibyście na siebie nieszczęście. Nie chcemy ryzykować jeszcze jednego dziecka obciążonego dziedzictwem zła ani nie możemy ryzykować, że ty stracisz życie, Villemo. Za bardzo cię wszyscy kochamy.

- A moje szczęście?

- Musimy wybierać, choć to trudny wybór.

Gabriella usiadła obok córki.

- Ja urodziłam obciążone dziecko, twoją siostrę, wiesz o tym. Na szczęście mała zmarła.

Lecz rozpaczy, jaką przeżyłam, chciałabym ci oszczędzić.

- A ja widziałem Kolgrima, gdy zawładnęło nim zło - rzekł Kaleb. - Przemienił się w monstrum, w piekielnego potwora! Był owocem związku dwojga potomków Ludzi Lodu.

- Ale ja nie potrafię żyć bez Dominika!

On próbował okazać więcej rozsądku, choć także czuł się śmiertelnie zraniony.

- Pozwólmy się sprawom toczyć, Villemo. Spotkamy się na ślubie Leny, a do tego czasu zdążymy się przekonać, czy możemy żyć z dala od siebie.

Villemo wybuchnęła szlochem, lecz już po chwili próbowała się opanować.

- Tak, masz rację. Poczekajmy do lata.

- Nie - rzekła Gabriella z żalem. - Dostałam list od mojej matki, Cecylii. Ślub został odłożony do przyszłego roku. W Danii panuje dżuma, a mama wciąż czuje się źle po ciężkiej chorobie płuc, którą przeszła w ubiegłym roku. Najpierw musi wydobrzeć. Poza tym Orjan Stege, przyszły mąż Leny, ma jeszcze jakieś plany w związku ze swoją karierą, zanim założy gniazdo.

- Założy gniazdo! - prychnęła Villemo. - To brzmi, jakby chodziło o parę wróbli! Ale to gniazdo to zamek w Skanii, prawda?

178

- No, niemal. Eleonora Sofia, córka Leonory Christiny, okazała się bardzo hojna. Tylko dlatego, że matka Leny, Jessica, była kiedyś jej opiekunką. Do tej pory są przyjaciółkami.

- Co się stało z Leonorą Christiną? - zapytał Kaleb. - Czy wciąż jeszcze siedzi w Błękitnej Wieży?

- Oczywiście! I wszyscy ją szanują. Jest to ciągle jeszcze dama pełna temperamentu.

- Och, nie zmieniajcie tematu! - zawołała Villemo porywczo. - Czy to nie ja miałam pojechać z Dominikiem do Szwecji? I mieszkać przez jakiś czas u ciotki Anette i wuja Mikaela?

Kaleb odparł spokojnie:

- Owszem, ale to było, zanim się okazało, co was łączy. W tej sytuacji wyjazd jest wykluczony.

Villemo sprawiała wrażenie, że za chwilę wybuchnie, lecz opadła z powrotem na poduszki.

Mówiła głosem pełnym gorzkiej rezygnacji:

- Wiem, że macie rację. Że nie chcecie być dla mnie okrutni i że lubicie Dominika.

- Serca nam się krają - powiedziała Gabriella cicho. - Wiemy, że z Dominikiem byłabyś bezpieczna. Bylibyśmy pewni, że jest ci z nim dobrze. Ale cóż! Zostaliśmy skazani na cierpienie przez naszego przodka z trzynastego wieku. Musimy płacić za jego żądzę władzy.

- Tak - zgodziła się Villemo. - Gdyby to było parę tygodni temu, walczyłabym o Dominika zębami i pazurami. Ale już przyczyniłam wam wszystkim tyle bólu swoją lekkomyślnością, że ustępuję. Dobrowolnie? Nie. Nie zniosę jednak, byście jeszcze raz przeze mnie cierpieli.

Rozumiem i uznaję to, co w waszym lęku podbudowane jest rzeczywistością. A teraz proszę, żebyście sobie poszli, zanim zacznę płakać. Ty także, Dominiku. Oboje pragniemy spędzić sam na sam kilka minut, nim odjedziesz, ale...

- Właśnie o to chciałem prosić - powiedział zgnębiony. - Proszę zrozumieć, ciociu i wuju, że nigdy nie mieliśmy możliwości być blisko siebie. Wyznawaliśmy sobie miłość poprzez podwójną zagrodę. Nigdy nie trzymałem Villemo w ramionach, nigdy jej nie pocałowałem.

Ale ona ma rację. Gdybym teraz mógł to uczynić, nigdy bym już jej nie oddał.

- Ani ja ciebie - szepnęła Villemo. - Dlatego proszę cię, idź, nie podchodź do mnie. A czy wolno nam będzie pisać do siebie?

Gabriella skinęła głową. Podobnie jak córka miała łzy w oczach. Wszystkim udzielił się nastrój tej smutnej chwili.

- Nie możemy wam tego zabronić. Irmelin i Niklas pisują do siebie, a ich cierpienie możemy się jedynie domyślać. Że też taki los stał się udziałem naszych dzieci, dla których pragnęliśmy jedynie dobra!

179

- Tylko dzieci z duńskiej linii uniknęły nieszczęścia - westchnął Kaleb. - Lena sprawia wrażenie, że znalazła mężczyznę swego życia, a Tristan jest jeszcze taki młody...

Gabriella wyglądała na zakłopotaną.

- Tristan nie jest szczęśliwy, wcale nie! Jessica i Tancred bardzo się o niego martwią. Stał się samotnikiem!

- Biedny Tristan, taki był miły i nieśmiały - powiedziała Villemo, po czym odwróciła się do Dominika, który stał przy łóżku, wysoki i przystojny, w swoim najpiękniejszym stroju.

Wszelka radość w jego oczach jednak zgasła. Ale na ślubie Leny się spotkamy?

- Oczywiście.

- Jak to jeszcze daleko - westchnęła.

- Spróbujemy ci w tym czasie znaleźć dobrego męża, Villemo. Kogoś, kogo będziesz mogła kochać i szanować prawie tak samo jak Dominika. I wiem, że Anette i Mikael znajdą dobrą żonę dla ciebie, mój chłopcze - powiedział Kaleb.



- Proszę cię, ojczy... - jęknęła Villemo.

Dominik także poczuł się dotknięty.

- Och, to głupio z mojej strony mówić teraz takie rzeczy - przyznał Kaleb. - O przyszłości porozmawiamy później, kiedy smutek minie.

Zebrawali się do wyjścia. W drzwiach Dominik odwrócił się i spojrzał na Villemo. W jego oczach skupiła się cała miłość do niej i cała rozpacz.

Villemo czuła, że płacz ją dławi.

- To takie niesprawiedliwe! Takie niesprawiedliwe?

- Tak - przyznał spokojnie.

- Przeklęty Tengel Zły! - wykrztusiła. - Przeklęty za to, co nam zrobił!

- Masz rację - zgodził się Kaleb, który także zatrzymał się w drzwiach. - Gdybym tylko mógł wam pomóc! Wam, a także Niklasowi i Irmelin! Cała rodzina cierpi razem z wami.

- Ale, ojczy - zaprotestowała znowu Villemo - czy to nie jest tak, że mimo wszystko w każdym pokoleniu rodzi się tylko jedno obciążone dziecko?

180

- Tak, lecz nie wolno wam kusić losu. Bowiem Kolgrim, który urodził się z dwojga zbyt blisko spokrewnionych, zabił przy urodzeniu swoją matkę. Nie chcemy, by coś podobnego stało się z Irmelin lub z tobą. Niklas i Dominik też by tego nie chcieli.

- Nie, nie chcemy - wtrącił pospiesznie Dominik. - Żegnaj, Villemo! Żegnaj, ty małe, uparte, nieszczęsne piskle! Chciałbym dać ci szczęście, ale...

Nie był w stanie dokończyć zdania.

Wyszedł, a ona rzuciła się na poduszki i szlochała tak, że serce o mało jej nie pękło.

Sąd nad Wollerami i Svartskogenami zakończył się kompromisem. Ponieważ winni byli wszyscy dorośli mężczyźni z obu rodów, a sąd nie chciał dopuścić do wyginięcia obu rodzin, wobec tego zdecydował się skazać ich na więzienie, choć długość kary wyznaczono różną.

Stary Woller załamał się. Takiego upokorzenia jak więzienie nie był w stanie znieść. Jego córka, która została teraz we dworze z wracającym do zdrowia synkiem, przyjęła to zapewne z westchnieniem ulgi. Nie umiała co prawda kierować majątkiem, lecz znaleziono jej dobrego zarządcę. (Z czasem wyszła za niego za męża i, choć był niższego stanu, żyła z nim szczęśliwie, ale ta historia nie ma nic wspólnego z Ludźmi Lodu.)

Svartskogenowie próbowali odzyskać majątek, skoro przodek Wollerów zdobył go podstępem. Asesor zbadał sprawę gruntownie i odkrył, że co prawda rzeczywiście sposób, w jaki Wollerowie nabyli majątek, trudno nazwać uczciwym, ale doszło do tego już po licytacji, na której Svanskogenowie dwór i tak stracili. Ci zaś, którzy naprawdę ucierpieli w wyniku intryg Wollerów, dawno pomarli. Tak więc nieszczęsna córka Wollera i jej słabowity synek zachowali dwór. Svartskogen zresztą też nie należało do najgorszych, więc właściwie nikt nie miał powodu do narzekania.

Tego dnia, gdy właściciel Woller usłyszał zatrzasnącą się za nim bramę więzienia, poprzysiął sobie, że wyjdzie stąd wkrótce, a wtedy zemści się krwawo na wszystkich. Ale czy to sprawił jego choleryczny charakter, czy też zanadto już nadwerżył swoje zdrowie, trudno powiedzieć... dość że wolnego świata nigdy już nie zobaczył. Wkrótce potem z więzienia wyniesiono ciężką trumnę i bez rozgłosu złożono w ziemi.

Daleko od miejsca tych wydarzeń Szatan zostawiał już na ziemi ślady swoich stóp. Nikt ich jeszcze nie widział i nieprędko ktoś je dojrzy. Dużo wody upłynie, zanim Niklas, Dominik i Villemo staną twarzą w twarz z budzącym grozę przeciwnikiem, by stoczyć walkę, do której zostali wybrani...